TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

CZERWIEC 1946

ROK II ZESZYT 6

TWÓRCZOŚĆ

CZERWIEC

1946

TREŚĆ ZESZYTU

JAN SMUTEK: CZARNE PŁOMIENIE / CIENIE / ODCIĘTA RĘKA / SZKLANY DOM
ROMAN BRATNY: INNY BRZEG
TADEUSZ BREZA: KAPEROWANIE POETY
ROMAN KOŁONIECKI: DO MOJEJ RZEKI / AUBADE / ELEGIA XV / DO MOJEJ RZEKI: CIĄG DALSZY
JAN WIKTOR: NA RUINACH
JÓZEF FELDMAN: ROZKŁAD KULTURY MIESZCZAŃSKIEJ
KAZIMIERZ WYKA: SPRAWA SIENKIEWICZA
STANISŁAW FURMANIK: WERSYFIKACJA MICKIEWICZA
SPRAWY I TROSKI: W WALCE PODZIEMNEJ Z FASZYZMEM
SPRAWOZDANIA
NOTY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK II ZESZYT 6

CZERWIEC 1946

8.000 EGZEMPLARZY

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 13131

JAN SMUTEK

CZARNE PŁOMIENIE

W kruszcowych górach, gdzie zagłębie
nieodwołalnie schodzi w przepaść
złożyłem skrzydła — te gołębie
i by z mej góry w otchłań nie paść
rozpiąłem skrzydła nietoperza
i w dół zacząłem spadać bez dna,
gdzie wzrok się ścieśnia — nie rozszerza,
gdzie gwiazd strąconych noc bezgwiezdna.
Leciałem szybem wprost do wnętrza,
w otwartą otchłań, w czeluść sztolni,
gdzie szereg pięter wciąż się spiętrza
i gdzie się leci coraz wolniej.
Powietrze jest tam takie gęste,
że braknie tchu najtęższym płucom
i czarne skrzydła mknące z chrzęstem
zaledwie popiół z siebie zrzuca,
już nowy na nie z góry spada.
Popiołu coraz gęstsza smoła
stopniowo krzepła w skał pokładach —
i dalej lecieć nikt nie zdoła,
bo węgiel staje ścianą stromą
i skrzydła stają nieruchomo.

Już czas najwyższy, czas tworzenia.
Na samym dnie tak wokół ciasno,
że każdy ruch się w ból przemienia,
nim z bólu wyda gwiazdkę jasną.
Z tej gwiazdki wziąłem jedną iskrę
i wydobyłem światło serca,
i niczym górnik z lampki błyskiem
zacząłem w ścianę tak się wwiercać,

że wyżłobiłem świdrem stali
węglowy otwór pod dynamit,
co tak się w iskrach sam zapalił,
żem ledwie zdołał krok wycofać,
a węgiel u nóg legł zwałami.

Już tylko teraz rzecz kilofa:
rozbijać złomy, skalne bryły,
zwęglone słoje rąbać w płaty
i tyle w sobie znaleźć siły,
ile jej człowiek miał przed laty
w tych czasach, kiedy bramę skalną
zwalisty olbrzym skał odłamem
wybijał w ścianie, kiedy walnął.
Tej siły kilof użył tyle,
że u stóp moich złomy same
w dławiącym mroku, w węgla pyle
po serce wzrosły w wielki nasyp...

A były to najdroższe drzewa,
pradawne moje śpiewne lasy.
Ich śpiew wciąż jeszcze we mnie śpiewa,
ich szum wciąż jeszcze we mnie szumi,
a teraz leżą jak zwęglone
i trzeba lat minionych tu mi,
by trafić w lasów moich stronę —
a nie tych dni, gdzie czeka praca
szuflami węgiel w wózki walić,
gdzie trzeba w głąb korytarzami
po szynach sunąć coraz dalej
i dłonią czarną jak aksamit
otwierać wyjście.

Jeszcze chwila,
a winda sama na dół spłynie.
Ta winda z mroku się wychyla
po ciężar natchnień o godzinie,
o której księżyc spływa na dno,
i stamtąd w górę sunie zwolna
nie ujarzmiony sztuką żadną.
Skończona praca, ta mozolna
i teraz tylko na wyjezdne
zapalić trzeba lampki gwiezdne,
narąbać węgla, wzniecić ogień.

W mieszkaniu jasno, księżyc w oknie,
gałązki suche na kominie,
tylko je ogień z lekka dotknie,
a już dym w górę z nich popłynie.
Już czas na węgiel, by się zajął,
już iskry tańczą i pełgają
i w ogniu naraz...
wszystkie gasną
i gaśnie księżyc światłocieniem

i jest już ciemno, a nie jasno,
i czarny ogień i płomienie
buchają z głębi prosto we mnie.
Jest ciemno. Nie może być ciemniej.

CIENIE

1

Cieniem ręki, co ślepców przygarnia
Okna zabierz z mojego mieszkania.
Niepotrzebna przed domem latarnia,
Tylko drogę przede mną zasłania..

A ta droga to błędne bezdroże,
Którym duchy pod rękę mię wiodą,
Gdzie noc krucza i czarne jest morze,
Gdzie nad czarną pochylam się wodą.

Łowię myśli na głębiach bez granic,
Tam gdzie nawet zejść cienie nie mogą
Ani pomoc nie przyda się na nic,
I sam wołam nie wiedzieć do kogo:

— Jeśli pragniesz świat objąć nieznany
I potrafisz ogarnąć barw przepych,
Spojrzyj — proszę — na straszne dwie rany —
Ziemię oświeć. I wybaw od ślepych.

2

Mówisz, że twojej władzy potęga
W motorach bije sercem ze stali,
I w głąb przenika, że w niebo sięga
I woła głosem w radiowej fali,

Że twa membrana — to ucho świata,
Że twa antena — to świata ramię,
Że ludy wiąże i z sobą brata,
Więc jeśli możesz, uczyń to dla mnie:

I smagłe tyki umocuj w ziemi,
Zaczep anteny na łby żyrafie,
Aparat w czaszkę wbuduj, złącz z niemi,
A może... może słyszeć potrafię.

Może dźwięk iskrą przełamie ciszę
I wróci dawna melodia słowa,
Może iskrowy sygnał usłyszę
I mówić zacznie człowiek — niemowa.

3

Jedna noga w szpitalu skonała,
Druga po niej na patyk wychudła,
Więc w upadku pochyły pień ciała
Podporami wspierają dwa szczudła.

Ręce i nogi — pijane wahadła
Kreślą w powietrzu potworne zygzaki,
A cień przyjęty z małpiego zwierciadła
W kopiach szkicuje straszydła na ptaki.

Na plecach tłomok mam twardy,
Potwornie wielki guz ciała,
W nim noszę przedmiot pogardy,
Co mi się w darze dostała.

Ulicą — prosto przed siebie
Pod krzyżem idę złamany.
Na ziemi, w piekle i w niebie
Pasuję garbem do ściany.

4

Łachmany ciała i ciało w łachmanach,
Przy tym dwa wory: w jednym kości stare,
W drugim jałmużna prośbą wyżebrana
I grosz świecący jak życia ogarek.

Z pokorą sterczę na skrzyżowań drodze
I lice stroję w wyraz pełen troski,
I oczy mrużąc tak rzewnie zawodzę,
Aż mię rozczula mój wiersz częstochowski.

Odprawiam modły za dusze umarłych —
Za dusze dziadów, do których należę,
A z bliźnich kocham pokraki i karły,
Bo na nich patrzeć tylko litość bierze.

Proszę „co łaska" — i śledzę spod oka,
Jak rośniesz w niebo, a ja w ziemię rosnę.
Wystawiam chorób kalectwo na pokaz
I szpecę sobą ulicę i wiosnę.

5

Krokiem samotnym z krainy cierpienia
Idę jak jesień z melodią żałosną.
W oczach dzień jasny na ciemny się zmienia,
W mroku sny gorzkie kiełkują i rosną.

W blade poranki i smutne wieczory
Składam elegie pisane w udręce,
Składam litanie wzgardzonych i chorych
I jak przy trenach załamane ręce.

Z pustych ogrodów zarosłych chwastami
Stopą niechętną podążam w te strony,
Skąd się nie wraca, a tylko czasami
Człowiek przystaje pod sercem schylony.

Rzucam świat ciemny, lecz biorę na drogę
Ciężar, o który na ziemi nikt nie dba.
Wiary z miłością pogodzić nie mogę.
Piekło przyjąłem, nie wejdę do nieba.

ODCIĘTA RĘKA

Siwa wierzba szepcze do mnie
Gałązkami półprzytomnie.

— Rak mię toczy, kora pęka,
Tylko jedna zdrowa ręka.

Jeszcze w niej jest życia siła,
Jeszcze chce, by zdrowa była.
Weź więc topór, odrąb rękę,
Niech zapłaczę po niej sękiem. —

Wziąłem topór, odrąbałem
I wyrosła z ziemi ciałem.

SZKLANY DOM

Jan Smutek, sztukmistrz, robotnik boży,
Pracę powierza natchnionym dniom —
W przestrzeni wolnej pośród przestworzy
Buduje szklany niebieski dom.

Pracują ciemne dłonie brązowe,
Blady horyzont rozpina sznur —
Co dnia pracuje zadarłszy głowę
Na rusztowaniu z przelotnych chmur.

Rozpina piętra — ptasie estrady
Z powietrza i błękitnego szkła —
Dzieło natchnione i bez przesady
Jeszcze dla oczu przysłania mgła.

Chce mieć kopułę czystą, błękitną —
W zenicie słońca niech wisi herb,
A nocą gwiazdy niech w oknach kwitną
I złoty zbiera je sierp.

ROMAN BRATNY

INNY BRZEG

„Wolno. Wooolno. Wolno. Uwaga". Wysoki głos pierwszej biegł przed nimi roztrącając ludzi. Piotr z grymasem bólu, czy mężnego uśmiechu, usiłował zawołać na te dziewczyny, żeby odpoczęły, to i prędzej zresztą doniosą. Stanęły. Ze zdziwieniem zauważył, że wysoka przewodniczka pochyla się nad nim. Patrzył z przyjemnością na jej wysokie brwi i piękne czoło z kilkoma kropelkami potu. Chciał się do niej uśmiechnąć, ale wtedy spostrzegł, że ona mu coś w tajemnicy mówi — wargi jej poruszały się bezgłośnie. Chciał unieść głowę... raptem wyraźnie i głośno usłyszał jej głos — pytała czy boli. Skinął przecząco. Ale ona pytała znowu. Powiedział, że nie. Pochyliła się i nagle kiwnęła ze zrozumieniem. Piotr zaniepokoił się. Zrozumiał, że jego pierwszy ruch głowy nie udał się. Że tylko chciał ją dźwignąć. Spróbował unieść teraz. Ale już podnosiły nosze. Gwałtowny ruch obsunął głowę. Opadała mu na bok. Zaczęło się bolesne kołysanie. W skroń i kark uderzał teraz chlebak. Głowa zsuwała się na brzeg kołyszących noszy. Widział tylko nogi mijających go ludzi. Męskie „kamasze", półbuty, damskie pantofelki. Chciało mu się uśmiechać na myśl, że przecież poznaje swoich — to dziwne wojsko powstania. Spodnie cywilne, ale spięte u dołu czasem wojskowym spinaczem, częściej paskiem czy sznurkiem; o, te tutaj — cholewy, ale i damskie buciki pod kombinezonem roboczym — to swoje dziewczyny. Poczuł się lepiej. Zaczął podnosić głowę, przetaczał ją powoli, dźwigał na wyżynę leżącego za skronią chlebaka. Zgrzał się. Uspokoiło go dopiero dalekie radosne uderzenie cekaemu. Przecież ci wszyscy na ulicy to swoi. Tamci siedzą gdzieś za murami i boją się. Uspokoił się. Wyraźniej począł odczuwać ból, wyraźniej słyszał strzały. Kołysanie noszy sprawiało mu ból i ulgę jednocześnie. Teraz już jednym zamachem uniósł głowę. Zalało mu oczy słońce. Ulica była tutaj dość pusta. Po drugiej stronie chodnika szły nosze, ale prędzej niż Piotra. Uważają na mnie — pomyślał z niepokojem. Dochodzili do rogu ulicy, tam włączyli się już w ostry prąd ciągnących ludzi. Kilku rannych szło w grupie. Prowadziła ich sanitariuszka trzymając wysokiego chłopca z zawiązaną przez oczy głową. Piotr uczuł gorącą falę słońca płynącą przez ulicę. — Właściwie nic mi nie jest — całe osłabienie

to z upływu krwi. Ostatecznie wyliże się prędko, to ramię nie jest straszne, gdyby nie upływ krwi, sam by tu przylazł jak tamci. A takie oczy to najważniejsze. Z radością i uważnie patrzył na smukłe nogi przewodniczki prowadzącej jego nosze.

Teraz znikły. Nie zauważył kiedy podeszli pod sam gmach szpitala. Przez chwilę jeszcze, niesiony nogami na przód po schodach, głową niżej, widział chwiejący się wysoko błękit. Już zagłuszył mu oczy tupot machających dłoni i biegnących nóg: postawili go na podłodze. Tamta gdzieś poszła. Ogarniał go lęk. Ludzie chodzili tu szybko, tuż koło twarzy jego stąpały ich nogi — kamaszki, półbuty, pantofelki, drewniaki... Zamknął oczy. Gwałtownie podniósł mu powieki gwałt i krzyk nowej fali ludzi. Lżej ranni stukając kulami i laskami szli, stukając nimi, stukając. Chciał złapać jakąś laskę, która zawisła mu nagle nad oczami... szarpnął rękę — ból przytrzymał mu ją mocno — jęknął. Pochyliła się nad nim któraś z dziewcząt. Tuż nad jej głową ujrzał straszną twarz dziecka. Ktoś trzymał je w powietrzu, przyciśnięty do ściany przez przechodzący tłum. Z wysiłkiem dźwignął głowę, słysząc jak sanitariuszka tłumaczy mu, żeby się nie niecierpliwił, że to tylko przybywają z ewakuowanego szpitala, że jego zaraz wezmą na salę opatrunkową. — Przecież się nie niecierpliwi. Odsunął głowę. Teraz widział: nad niską, wpadłą w ramionko owiązane grubo szmatami twarzyczką widział w półmroku zatłoczonego korytarza siwą twarz zmordowanego człowieka. Dziecko było bez ręki. Przypomniał mu się czas sprzed paru dni, gdy to dowiedział się, że Zych jest w tamtym szpitalu. Wyrwał się na chwilę z placówki i pognał wiedząc, że dziś cały szpital wyewakuują — dzielnicę musieli poddać. Wpadł w bramę, lazł przez ciemny, piwniczny korytarz zastawiony noszami, ranni jęczeli i klęli — nad miastem huczał nalot. Za nim biegł ktoś szybko, wciąż popychając go szeptem: prędko, prędko... Poddenerwowany obejrzał się, wtedy pchnął go ktoś z tyłu w plecy. Piotr odsunął go ze wściekłością ręką i trafił w czyjąś malutką twarz — obejrzał się — w tym momencie minął go człowiek z dzieckiem na ręku. Głowę miało bezwładnie rzuconą na ramię. Półprzytomne, obie rączki trzymało w górze, jak zastygłe. Jedna była krótsza, narzucona jakimś łachmanem ciężkim, wilgotnym. Twarz i ubranie mężczyzny obsypane były szarym pyłem. Piotr usunął się pod ścianę — to z tego bombardowania, które jeszcze trzęsło tam w górze. Tego dnia nie znalazł Zycha.

Patrzył uważnie ku górze. Nad niską, zapadłą prawie twarzyczką poznawał tamtą siwą twarz. Ale już szarpnęły się pod nim nosze. Znalazł się w szerokim pokoju, gdzie rzędem leżeli pod ścianami ranni. Widział jakiś ruch i pośpiech wśród sanitariuszek. Po chwili już zaczęły dźwigać śpiesznie nosze — po pięć, po pięć, co jakiś czas po pięć, gdzie: za drzwi, za jasną smugę słońca za nimi. Jeszcze dobiegła ku niemu przewodniczka, uklękła przy nim i wyjmować poczęła z torby strzykawkę. Dam panu zastrzyk — ślicznie i prędko się uśmiechała. Pamiętał to jeszcze Piotr, gdy za chwilę i jego poderwali, wynieśli przez drzwi i biały korytarz na szerokie podwórze zalane słońcem.

Aha. Stały już tam dwa auta z prędko i niedbale namazanymi znakami

UCZTA U KURCEWICZÓW W ROZŁOGACH

(„OGNIEM I MIECZEM")

Czerwonego Krzyża. Zrozumiał. Czuł się po zastrzyku świetnie. Szpital się ewakuował. A tamtych wszystkich zostawiają, tych oczekujących na opatrunki cywilnych, przypędzonych z jakiegoś już opuszczonego miejsca. Przecież tamtego dziecka bez ręki nie zabiją, choćby ich tu wzięli — myślało się prędko.

Do auta ładowali nosze. Już siedzieli tam lżej ranni. Teraz koło nich, przy nich, na nich kładli ciężej rannych. Na noszach, bez noszy. Piotr uczuł jak go unoszą z krwawego posłania. Zawył z bólu — usłyszał swój cichy jęk — sanitariusz chwyciwszy go pod pachy taszczył do wozu. Znalazł się półoparty na czyichś kolanach, nad sobą mając błękit zawalony do połowy białą lawiną bandaży na ręce tamtego. Wóz ruszył. Na budce szoferskiej leżało dwóch ludzi eskorty z pistoletami maszynowymi. Nad ich głową ożywczo łopotała biała flaga z czerwoną plamą krzyża. Wstrząsy jadącego coraz szybciej auta ocuciły Piotra zupełnie. Uniósłszy głowę usiłował poznać gdzie są. Wysokie brzegi platformy ciężarowego auta przeszkadzały. Widział tylko górny poziom domów częściowo wypalonych. Ciemne szeregi opuszczonych budowli trzymały ich w ciężkich mięśniach. Raptem samochód podskoczył raz i drugi — błękit zwalił się na wszystko. Głowa opadła Piotrowi. Uniósł ją wyżej. Usłyszał jak ktoś mówi: ghetto. Uniósł się trochę — pochwycił okiem olbrzymie fale ruin i opadł. Teraz miał przed sobą czyjąś toporną twarz w hełmie przybrudzonych bandaży. To eskorta coś z daleka mówi do sanitariusza ściśniętego niewygodnie. Z bardzo daleka. Piotr słyszy: pewnie ich jeszcze zabiorą, tych cywilów, a choćby i nie zabrali, to nic im Niemcy nie zrobią. A choćby i zrobili no to co takiego? Tu popatrz — kiwnął głową za siebie. Piotrowi zdawało się jakby ją wyrzucił — teraz miał błękit w tym miejscu. Nie, to wstrząs osunął ich wszystkich. Tamten mówił — już Piotr znów go widział, dziwił się, że jego głos idzie z tak daleka — tu popatrz, tu naszych cały rok ostatni rozbijali i palili ciała. To wiesz — głos mu trząsł się i skakał przy wstrząsach — ci z rozbiórki, robociarze, różni tam łazili, popiół przegarniali, szukali złota, ponoć ci zabijani mieli czasem w ubraniu zaszyte dolary i złoto, to te prochy przesiewali. Co się tam cywilami przejmować. Sanitariusz żachnął się — no to i co? Jakbym w czapę utargował, to niech sobie mój popiół rewidują, jakbym co i miał, po co ma się zmarnować. Ale tutaj to żywi.

Piotr uczuł, że drętwieją mu podkurczone nogi. Poruszył się. Zbudził ból. Jęczał rytmicznie drgającym głosem. Dopiero teraz usłyszał, że całe auto naładowane jest jękiem i stękaniem ludzi. Pęd powietrza znosił to w tył. Zostawały za nimi te ruiny, jeszcze raz nawożone jękiem i cierpieniem. W momentach, gdy ból słabnął, odczuwał Piotr dopiero bolesne zdrętwienie nóg. Ale już ściany ulicy obejmowały ich pęd. Stawali przed szpitalem.

Za kilkanaście minut leżał już z okładem chłodnych białych ścian na oczach zasypanych jeszcze kurzem, zaczerwienionych przez jazdę wśród czerwonych od pyłu ruin. Ten szpital był jeszcze daleko od miejsc katastrofy. Ze zdumieniem patrzył na czystą pościel, stojący obok kubek wina, jakieś sucharki i na spokojny uśmiech pielęgniarki (tak właśnie pomyślał, nie sanitariuszki). Już po piętnastu minutach wracał z powrotem na noszach, po opatrunku, na swoje łóżko,

przy którym siedział Zych z łapą uroczyście w bielutkich bandażach. Piotr był tak oszołomiony, że nie dziwił się niczemu. Zych pomagając go ułożyć gadał, jak się o nim dowiedział, jak go tu znalazł na sali, opowiadał coś tam o swojej radości. Piotr uśmiechał się. Było dobrze. Teraz Zych podaje mu wino. Piotr pamięta cudowny smak sprzed pół godziny, gdy go tu tylko przynieśli i chciwie łapie wargami brzeg kubka. Po chwili ruchem całej głowy przechyla go mocniej w wargach. Wypił cały. Zych się śmieje i za chwilę kuśtyka z drugim kubkiem. Dobry chłop z Zycha — myśli Piotr, choć tamten zabiera mu sprzed ust do połowy tylko wypity kubek. Czuje w sobie miłe ciepło. Ciekaw jest teraz, skąd się Zych tu wziął. Choć nie — już sam wie, tak dobrze i prędko mu się myśli. Już wie, nim mu przyjaciel zacznie mówić, że go tu przecież wzięli z tamtego szpitala, który się już ewakuował wtenczas, gdy to Piotr Zycha chciał odwiedzić.

Raptem Zych pochyla się bliżej. Tylko ta głowa mu się śmiesznie chwieje. O, upiłem się — myśli Piotr z humorem. Zych pochyla się bliżej i mówi. — O, całkiem się urżnąłem — myśli Piotr zdenerwowany. Co on mówi? Powtórz? prosi. Nie, wyraźnie Zych mówi to samo: — Tadeusz się odnalazł. Piotr jest wściekły na rozczarowanie, które mu grozi, bo czuje, że serce wali mu prędko. Nasz Tadeusz? — Tak. — Zych kiwa głową — jest w oddziale. Widziałeś go? No tak. Już z tydzień temu.

Piotr nie może zrozumieć i zasypywany radosnym stukotem serca i wirującymi mu nad głową promieniami słońca leży na wprost okna. Jak to? Teraz Zych opowiada mu historię ucieczki Tadeusza z egzekucyjnego transportu i jego powrót piechotą, by zdążyć na powstanie.

Piotr pamięta niedawny dzień, gdy to stracili Tadeusza, gdy to nakryli ich drukarnię. Właściwie pamięta teraz tylko Tadeusza, jak stoi tam u siebie w drzwiach i pokazuje wspaniałą dziurę wybraną w ścianie tak misternie, że od zewnątrz, od zewnętrznego muru domu wychodzącego na ruiny ghetta zostaje tylko cienka powierzchnia ściany, którą zwali w potrzebie jednym uderzeniem i zwieje. No tak — śmieje się Piotr — ale jak się stłoczycie tam wszyscy, to ci gestapowcy taki korek po prostu wyjmą i po zabawie. Tadeusz patrzy jakoś pogardliwie, choć z uśmiechem — ja będę wychodził ostatni. Tak. Teraz już tylko Piotr pamięta zmierzch tego dnia, gdy Niemcy zabrali Tadeusza i wszystkich, jak sądzili, jego zecerów. Pracowali teraz ostro w zecerni Piotra, aby nadrobić na jutro stracone u Tadeusza kolumny druku. Ludzie się bali. Wiedzieli, że Tadeusz, ranny, już na ruinach, został schwytany żywcem. Chociaż mu ufali, bali się tego lokalu, którego adres on znał tak dobrze. Wtedy ten dzwonek u drzwi. Ostry. Zecerzy zbledli. Piotr podszedł do swojej szuflady, wziął pistolet do kieszeni — spostrzegli to, mimo że stanął do nich tyłem. Szedł ku drzwiom, za nim była cisza. Pamięta potem bladą twarz zecera Jana przed mrocznym progiem otwartych drzwi. Przypuszczali, że Jan poległ przy Tadeuszu rano. Piotr pamięta teraz tylko jak otoczony przez zecerów stoi Jan, trzymając w podrapanej w skoku przez jakieś mury czy druty ręce brudny świstek. „To jeszcze rano, przedtem kazał Tadeusz panu przesłać". Była

tam prośba o złożenie jednej kolumny dla nich, bo są opóźnieni. Tadeusz redagował pismo codzienne. Piotr pamięta tylko ten brudny świstek na pokrwawionej, szorstkiej ręce człowieka. Pamięta tę brudną rękę, na którą wszyscy patrzą, na ten świstek. Twarz Jana... nie, to Zych pochyla się nad nim.

— Co, upiłeś się? Żeby tylko siostra nie spostrzegła. — Piotr kiwa energicznie głową. Czuje się świetnie. Mówi na cały głos, choć spostrzega, że Zych się nad nim pochyla słuchając; widocznie nie bardzo mu się udaje gadać podniesionym głosem.

— Słuchaj, to Tadzika zobaczę?

— Jak wstaniesz, to przecież pójdziemy. Tylko się śpiesz, bo się to wszystko skończy.

Ach, jakże rozkosznie leci Piotr na stukocie swego serca. Jak przytomnie. Naraz Piotr ocknął się. Słucha.

— Po co wy robicie wojny?... Żaden z was nie ma czasu, ale po co wy robicie wojny?...

Piotr patrzy pytająco na Zycha. Głos wspina się wyżej.

— Po co wy robicie wojny?...

Zych patrzy uśmiechnięty. — Obok to są wariaci. A ta, każdego wieczoru, jak tylko słońce zacznie zachodzić, z godzinę aż do zmroku pyta się i pyta. Piotr uniósł głowę; w szybach palił się czerwony odblask zachodu...

Już na drugi dzień po wyjściu ze szpitala Piotr zorientował się w powadze sytuacji. W pierwszy dzień zaledwie krótki uścisk, bo już Tadeusz biegł na placówkę, gdy Piotr do nich trafił. Wieczorem, walcząc z sennością, Tadeusz uśmiechał się tylko i nie chciało mu się opowiadać o sobie, wolał chwalić Piotra, że tak prędko wylizał się z rany. Byłeś ogłuszony, bracie, w łeb ci coś tam musiało wyrżnąć... No, najlepszy dowód, że go znalazłem przy wariatach — dodał układający się do snu Zych, który gospodarzył tutaj z Tadeuszem przez parę dni. Tak, to był pierwszy dzień. Już na drugi, wbrew słabości, i Tadeuszowi wbrew, poszedł z nimi na służbę. Wtedy Zych powiedział — jakże ty bracie będziesz uciekał bez pomocy — nie widzisz co się dzieje? Śmiech Tadeusza był szczery, lecz jakiś gorzki. Piotr zaczął rozumieć, jak jest z powstaniem.

Za drugim zakrętem ulicy, gdy pochyleni przebiegali pod barykadą, z naprzeciwka wyskoczył ktoś. Wyskoczył. Stanęli zgięci wpół, gdy górą świstały kule. Naprzeciw stał wysoki, chudy człowiek, nagi, z kocem narzuconym na głowę, która na pewno sterczała wysoko ponad barykadę. Schył się. Schył. Spojrzał na nich uważnie. Podszedł bliżej. Skinął głową, kule szumiały jak osy: — Przepraszam, czy daleko do południa? O dwunastej mam się tu spotkać z żoną. — Rozejrzał się pogodnie. Ach, to nie tu. Przepraszam.

Pobiegł wysoki, dziwnie kołysząc się na nogach, wzdłuż ulicy i świszczących kul. Przeskoczyli. Ale nas zastawił, wariat — pogodnie oświadczył Zych.

Za godzinę na placówce dostali rozkaz, że wobec zdobycia przez Niemców szpitala, tego, w którym Piotr jeszcze dwa dni temu wysłuchiwał dziwnego

pytania szalonej, i wobec wypuszczenia obłąkanych na miasto należy ich wyłapywać i w razie niemożności zapewnienia odpowiedniej opieki — tracić. W razie niemożności zapewnienia odpowiedniej opieki... — powtórzył Tadeusz i zmiął papierek.

Piotr choć słaby poszedł jednak z Tadeuszem w obchód po placówkach. Na miejscu został tylko Zych z kilkunastu ludźmi. Był mocno osłabiony, gdy po wertepach i gruzach wracali tu znowu. Tuż za rogiem dwóch wystraszonych mężczyzn kończyło zasypywać jakiś grób, gdy trzeci siedząc na głazie usiłował sklecić krzyż z trzonka złamanej łopaty. Minęli ich. Już tu jednego miałem — przywitał ich Zych. Kogo? No, wariata złapali — Tadeusz patrzył przez strzelnicę w głąb ulicy. Nic nie mówił. Piotr był tak zmęczony, gdy wracali pod wieczór na kwaterę, że zapomniał spojrzeć, czy wystrugali ten krzyż czy nie.

Jeszcze nie skończyli jeść, gdy Piotr zapytał Zycha:

— Przecież ty pamiętasz ją? No, tę z naszego szpitala, co się wciąż pytała „po co wy robicie wojny?" No, pamiętasz.

Zych kiwnął głową, odsuwając talerz.

— Więc co to znaczy? — Piotr powtórzył z uporem wariata. — No, co to znaczy, żeś ty jednego — to był mężczyzna? — wtedy wykończył? A gdyby to ona trafiła na twoją barykadę?

Tadeusz usiadł naprzeciwko.

— To łatwo wytłumaczyć — Zych odpiął kabur. Wyjął pistolet — tak musiało być. Żeby nie przeszkadzał. Właściwie więc i oni wszyscy zginęli na barykadzie. No, za Polskę, czy jak tam... — Zych zaczerwienił się — gdyby ona przyszła, tamta, cóż począć... wojna...

— No tak — Piotr nie ustępował — nie o tym myślę. Powiedz, co znaczy takie koło? Kto nim zatoczył wokół nas? Takie wariackie koło losu. Co znaczy?

Tadeusz uśmiechnął się: — Uważaj, to jest trochę literackie.

Piotr wie, że on wymija, ale kiwa głową. Zych siedzi z pistoletem wyciągniętym na dłoni. Piotr sięga senny: — pokaż, ale Zych już rozłożył go i przysunąwszy się do stołu czyści wyciągniętymi z kabura szmatkami. Siedzą we trzech. Świeca się dopala. Piotr z dumą przesuwa ją lewą ręką bliżej Zycha. Już go rana prawie nie boli, już sobie nic z niej nie robi. Po co właściwie tak siedzą? Zmęczeni przecież. Milczą. Świeca skwierczy. Dopala się. Zych prędko, chce zdążyć, składa parabelkę. Gotowa. Podaje na dłoni błyszczący ciemny kształt. Piotr bierze do ręki. Tadeusz wstaje i przeciąga się, robi krok. Sprawdź no ten bezpiecznik, jakoś oporuje. Piotr oddaje broń Zychowi. W pierwszym momencie kuli się na stole. To wrażenie, że ten strzał padł przez okno, gdy Tadeusz rozkrzyżowany, jak stał przeciągnięty, wali się na stół. Na światło. Przez okna rzuca się ciemność. Słychać stuk padającej na podłogę broni. Zych skuczy. Piotr nie czuje bólu ramienia, gdy dźwiga i ciągnie ciało Tadeusza.

Jeszcze wtedy nad złazem do kanału, w którym ginęły nogi, barki, głowa, Zych cały, gdy wokół skakały ku niebu gruzy, lub przypadały do ziemi w lejach i wykrotach, jeszcze wtedy sądził, że Zych ucieka od śmierci Tadeusza. Piotr szedł ostatni. Zych prowadził oddział. W ciemnym, śliskim tunelu, jak w torze gazowego pocisku pchała go naprzód duszność. Gdy się zbyt wyprostował, uderzał głową o śliski, ciężki sufit, o górne dno tego lochu. Głowę mu zresztą ściskały cały czas czarne ściany bólu. W oczach ciągle krzesały się iskry i czerwone płaty. Przed nim szedł wielki chłop, dźwigając na ramionach nieprzytomnego już chyba rannego przyjaciela. Przez pierwsze pół godziny, może zresztą przez godzinę, czy może przez dwie godziny, Piotr szedł czynnie, łokciem wyczuwając ściany, oddychając równo. Ale od momentu pierwszego odpoczynku, gdy stali w brudnej wodzie, wsparci garbami pleców o oślizgłą ścianę, pochyleni... Od tych chwil już nie mógł... Zdawało mu się, że wszystko wokół stoi, a on w złym śnie znów gdzieś daremnie biegnie, powoli, wolniej niż mijające go wciąż ściany. Zaciskała gardło duszność i ciemność wyprzedzała go wciąż. Chwilami pamiętał opuszczone ruiny, piękne w wysokim huku motorów i strzałów. Szedł nadal błotnistym powietrzem, marsz kołysał mu głowę nad bólem ramienia, który wrócił. Wiedział znów, że przejdzie. Słuchał ciężkiego sapania przed nim, potykał się o porzucone plecaki. Przed nim żołnierz dźwigający rannego w braterskim, mozolnym uścisku. Przejdzie na pewno. Upewniał się... słysząc plusk kroków tamtego. Nie wiedział po ilu godzinach odrzucił mu głowę świeży prąd powietrza. Stali. W głębi przeświecało światło. Wychodzili... Wychodzili. Raptem ścisnęła go pasja. Dusił się w tym bagnistym powietrzu. Ach, prędzej. Na myśl, że Zych jest już na górze, może pije wodę, a może stoi na słońcu, na tę myśl aż jęknął. Gniew go dławił. Zastrzeliłby drania, gdyby on mu tak na oczach... Zastrzeli go. To trwało. Posuwali się teraz długo. Chyba dłużej niż całą drogę dotąd. Ale nie, przecież miał teraz w całym oddziale Tadeusza nie więcej niż trzydziestu ludzi. To oni wychodzili tak długo. Już był pod włazem, zawalonym jeszcze tylko podwójnym cieniem tego chłopa z rannym. Już stał na stopniu żelaznej drabinki. Chciał tamtemu pomóc, ale nie miał siły podnieść ręki. Zresztą już. Piotr podał ręce nachylającemu się Zychowi. Na długim bólu wyciągnął go Zych w słońce wśród ruin skaczących ku niebu lub przypadających do ziemi w wykrotach.

Ta leżąca nad Wisłą dzielnica mniejsze miała pola ruin. Domy stały gęściej. Zdarzały się już wypadki dezercji całych oddziałów przez kanały ku jedynej nietkniętej jeszcze dzielnicy otoczonego miasta. Oddziałek Piotra liczył teraz zaledwie 15 ludzi. Żył jeszcze Zych. Piotra co wieczór dziwiło to jednakowo. Od wypadku z Tadeuszem Zych wytracił całą, co do człowieka, swoją drużynę w nieustannych ryzykanckich wypadach i ochotniczych wyprawach i skokach. Ale sam żył. Nie był ani razu ranny. Nawet i tego dnia, gdy stracili i odbili ten narożny gmach. Był to dziwny o tej porze, piękny jeszcze, jesienny dzień. Walka ucichła. Piotr siedział na wprost szerokiego, o wywalonych ramach, okna. Zachodziło słońce. Powietrze wyzwolone od

huku i strzałów drżało delikatnie, jak struna, nad uchylonymi wargami. Zachód. Z okna było widać Wisłę. W południe ze strychu dachu widział drugi brzeg Wisły, gdzieś aż pod łąki podmiejskie. Zych go tam zawołał. Zobaczył kobietę grabiącą siano w słońcu. Widziane to stąd, z pożaru, eksplozji, dymów, kurzu, smrodu umarłych i żywych ciał, widziane stąd, robiło wrażenie niesamowite i smutne. Teraz już zachód. Dziś jużby tego ujrzeć nie można. Parę godzin temu wysunął się zza rogu ulicy pierwszy goliat. Rozbili go celnie. Ale już z kurzu i dymu dźwigającego się słupem po wybuchu, tym razem tuż pod domem spojrzeli pełznący w mroku drugi — rozbili go — potężny wybuch uderzył z dołu. Ludzie cofnęli się od strzelnic. Nowy cios wyrżnął w róg domu. Posypał się tynk. Teraz to już czołg strzelał. Z dołu niósł się krzyk, że idą Niemcy. Piotr skoczył na dół. Dobiegł okna klatki schodowej i dostrzegł ich, jak przebiegają przez pokoje oficyny. Widocznie jednak wywalili mur od ulicy. Tam jeszcze bronił się Zych. Trzaskały pistoletowe strzały i serie. Piotr wycofywał ludzi przez piwniczne przejście, kiedy Zych wyskoczył doń, żeby się nie cofać, że on odbije. Jak Zych odzyskał jeszcze ten gmach w ciągu pół godziny, tego Piotr nie rozumiał. Teraz siedział naprzeciw niego. Zych leżał na zawalanym i osypanym wapnem tapczanie. Spał. Nie. Teraz już patrzył cicho przez okno na gasnący zachód. Piotr podszedł, usiadł przy nim. Milczeli. Wiedział, że to źle: że Zych zawsze milczy o Tadeuszu. Teraz jesteś dzielny za dwóch — Zych żachnął się. Usiadł. Spojrzał jakoś wrogo na Piotra. — Ale tego on nie zobaczy — machnął ręką na okno, za którym zachodziło słońce. — Wielu nie zobaczy. — Piotr był brutalny — ani wariaci, ani Niemcy, których pozabijałeś — ale to nieważne.

Zych patrzy na swoją dłoń. Nieważne — powtórzył szeptem. W parę godzin później wspominał go już Piotr. Chyba się już nie spotkają. Ostygł w nim jego pierwszy gniew i rozpacz. Minęły dwie godziny, odkąd przekonał się, że zostali porzuceni na stracenie. Cztery godziny, odkąd Zych podniósł oczy znad dłoni po tym swoim „nieważne", by zobaczyć, kto to wszedł do pokoju. Zerwali się: dowódca odcinka. Prosił jednego z nich na ochotnika na wypad, który sam poprowadzi. Piotr uśmiechnął się, gdy Zych powiedział: ja. Już po dwóch godzinach Piotr zdał sobie sprawę, że dowódca odcinka zostawił ich tu na stracenie. Oni, tych kilkunastu zmordowanych ludzi, to był teraz jedyny oddział w całej chyba dzielnicy. I ci chorzy i ranni i personel szpitala pozostawionego o dwa domy za nimi. Gniew Piotra trwał nie dłużej niż do momentu przypomnienia swego „nieważne", rzuconego Zychowi. Tak. Ich kilkunastu dla opóźnienia musieli zostawić. Ochotników by nie było. Tu jest taka sytuacja, że jednakowo bronić się będzie dzielny i zły żołnierz. Zostawili gorszego. No tak — tych, którzy nie zgłosili się na ochotniczy wypad. Tamtych wycofali. Są lepsi. Należy im się. Już po czterech godzinach ujrzał, że Niemcy obsadzają dookolne ulice coraz śmielej. Żadne opóźnianie nie było już potrzebne. Zeszedł na dół. Powiedział ludziom: niech się decydują. Albo poddać się jako cywilni, dać się zagarnąć, albo... kto chce może z nim próbować dojść do Wisły, przebić się w razie potrzeby i na drugą stronę wpław.

— W dzień? — zapytał któryś wzruszając ramionami.

Było ich trzech, którzy przemykali się piwnicami, ruinami, ścigani przez częste i nierówne salwy — to Niemcy rozbijali pochwytanych a podejrzanych i tych ze szpitala, niewątpliwych.

We trzech dochodzili prawie do samego brzegu. Mieli przed sobą pusty, długi, odsłonięty brzeg i często tu patrolujące czołgi. Teraz, wiedział Piotr, ostatnie chwile nim nie zrobią stałej obsady brzegu.

— Trzeba skakać.

Stojący za nim niski chłopak przygryzł wargę. Skinął głową. Na oczy opadła mu jasna grzywa. Drugi. Wysoki. Nie skoczy. Na pewno. Piotr widział to po jego spojrzeniu na szeroki pas dzielący ich od wody. Teraz już gada półgłosem, szeptem te słowa: nie przejdziecie, nie przejdziecie, nie przejdziecie... Piotr spojrzał na niego. Wziął za ramię niskiego. „Uważaj" — nie przejdziecie... Piotr odwrócił głowę. Tamten się cofnął. „Nieważne" — powiedział Piotr ochryple. Uśmiechnął się do siebie. Pamiętał Tadeuszowe — „uważaj, to jest trochę literackie".

— Skaczemy — powtórzy. Uwaga. Ten trzeci, ściskając bezradnie broń, widział leżąc w ruinach nadbrzeżnego domu, jak tamci biegli wychyleni w słońcu ku dalekim wydało się falom. Gdy byli w trzy czwarte dzielącej ich jeszcze drogi zerwał się nagle karabin maszynowy. Widział jak drobniutko podskakiwał piasek u ich nóg. W chwilę potem bryzgi wody. Był wiatr. Na tle ciemnej fali zostały raptem drobne bryły głów wśród srebrnych bryzgów ciętej kulami rzeki. Fala szła. Płynęli na wschód. Na wschodni brzeg. Coraz mniejsi. Teraz widział już tylko jedną głowę. Płyną na wschód. Na wschodni brzeg. Wstał na klęczki, żeby lepiej widzieć. Fala zasłaniała. Obejrzał się przerażony — krwawo zachodziło słońce.

TADEUSZ BREZA

KAPEROWANIE POETY

Rozdział pierwszy powieści z lat 1937—1939, p. t. *Niebo i Ziemia* stanowiącej dalszy ciąg *Murów Jerycha.*

Motycz zawsze okazywał swojej twarzy szczerą ciekawość. Nie był to w żadnym razie zachwyt, ale właśnie na tle przyjaznej pobłażliwości nienasycone zaciekawienie. Znał dobrze pustotę podobnej słabostki, toteż nie należał do ludzi, którzy chodzą się fotografować; ilekroć jednak miewał okazję, żeby się znaleźć na zdjęciu amatorskim, korzystał z niej, czasem nawet nie bez odrobiny brutalności, jakiej należało użyć, by zapewnić sobie korzystne miejsce i oświetlenie. Niewiele było podobizn ludzi czy arcydzieł, które by umiały wzrok Motycza zatrzymać na sobie dłużej, niż jego własna, zwłaszcza z lat dawniejszych. Niepowrotność czasu, zagadka ludzkiej tożsamości, jawiła się mu dopiero z całą siłą, kiedy patrzał na siebie samego w marynarskim kołnierzu. Jak człowiek, który od pierwszego wejrzenia jasno widzi, że wirujące stoliki, media i wróżby to wielkie nic po tym, a mimo to nadstawia ucha, kiedy go zalatują te bardzo niepewne echa z półzaświatka, podobnie Motycz umyślnie nie szukał odbicia swojej twarzy, lecz natrafiwszy na nią, nie mógł się od niej oderwać. I tak lustra w przedpokojach, salonach, w buduarach były przyczyną roztargnień, w które popadał, one stawały się powodem, że słuch mu się na chwilę przytępiał, odpowiedź mogła się splątać, a nawet żądza cielesna doznać czasowego zawieszenia. Ilekroć wejrzał na niego ze zwierciadła wzrok jego własny, albo broń Boże w zdwojeniu luster pokazał się jego własny profil, Motycz od razu zapadał w stan wpatrzonego zaczajenia, w skład którego wchodziła zarazem badawczość i pewna nadzieja, że odbicie wykona coś samo przez się.

Dziś wieczór Motycz dał mu większe szanse niż zazwyczaj, siedział i czekał w barze, sam od pół godziny, odłożył gazety i książki i w głębokiej zadumie, więcej w niej było zmęczenia niż myśli, patrzał przed siebie, mając naprzeciw wielką lustrzaną taflę. Twarz własna wydawała mu się taka jedyna, wcale nie przez swoją piękność, ale przez jakąś — utulność. Była gładka i krągła i czysta, nic w niej nie było obcego, to znaczy nic takiego, czego czło-

wiek nie potrafi tknąć, chociaż trochę się nie przełamawszy. W twarzy Motycza nie było nic, co by się sprzeciwiało, żeby ją pogłaskać i na to przede wszystkim należało zwrócić uwagę, tak mniemał Motycz, gdyby przyszło do charakteryzowania jej za pomocą jednej cechy. Motycz lubił dalej swoje usta. I również oczy, spod tego samego stempla wypukłości. Rzeźwość ich niebieskiej, szeroko zakrojonej krągłości, która w barwie miała coś z rzeczki, a w zapamiętałości patrzenia coś z cielętnika, budziła u ludzi, którzy go nie znali, sympatię, a u tych, których sympatię już posiadł — wzruszenie. Co do ust, do niedawna bał się, że są zanadto odęte, ale od czasu, kiedy przyjaciel jego dał do Instytutu Propagandy Sztuki portret wspólny sześciu najlepszych młodych poetów, niby chłopców chodzących z kolędą, w tym Grabca po prostu jako pastuszka z fujarką — Motycz się uspokoił. W siedmiu — wliczywszy w to i malarza, zrobili wszystko, aby obraz uczynić głośnym. W dwu gazetach stołecznych i pięciu tygodnikach jaśniał na reprodukcjach, żeby upamiętnić pomysł, talent i nazwisko artysty, raz jeszcze przypomnieć, kto z młodych w poezji najlepszy, a przy okazji usłużyć może nawet nieco śmiesznej wypukłości warg Motycza rozgrzeszeniem, ponieważ widać nabrzmiały tak przez ów całymi pokoleniami idący rzewny, wiejski obyczaj chłopięcej gry na fujarce. W jakiej mierze Motycz był synem gospodarskim, nikt w Warszawie nie umiał powiedzieć. Jeśli sobie z niego żartowano, że po przyjeździe do miasta ze schodów schodził tyłem jak z drabiny, to był dowcip. Motycz miał zachowanie inteligenckie, może i nie chłopską dbałość o swoją osobę, wyborem skarpet, chustek i krawatów stając w pobliżu obywatelskich synów. Już do Wilna było daleko z jego wsi, a cóż dopiero do Warszawy. Był więc całkowitym panem prawdy o swym ojcu, który chyba stanem swoim mieścił się gdzieś w pobliżu tych średnich, na małych folwarkach dziedziców, którzy przed pięćdziesięciu laty na gruncie stolicy tak często brali się do ról kresowych hrabiąt.

Inaczej Motycz; ten, — ale chyba raczej dla poezji, którą czuł w tym, niż z wyrachowania — postanowił, że jest chłopskim synem. W wywiadach nazywał swego ojca gospodarzem, a choć słowa tego nie wypowiadał, zdawał się cały tchnąć zagrodą, sławiąc swą młodość łąkową, pastuszą i bosą, patrząc w nią szeroko otwartymi, rozmarzonymi oczyma, które by dopiero całe wytrzeszczył, gdyby mu ojciec kazał pójść z gęśmi, z krowami czy gnojem na pole. Wieś daleką, gospodarską, starą, mającą ludzkie poważanie, dbałą o tradycje, gdzie drogowskazami są jeszcze kapliczki, a jasełka nie chodzeniem po prośbie, ale obrządkiem — wyroił sobie Motycz, opiewał i odmalował, miły w tym całej rzeszy czytelnikowej, w czym liczyć trzeba też dbałe o honor polskiej rzeczywistości urzędy, które ze wzruszeniem dowiadywały się, że można pisać o wsi nie jako o dnie nędzy. Motycz, który był wielkim artystą, tyle że z powodzeniem swoim nie umiał czekać do jutra, wpadał w rozpacz, widząc że jego listy od czytelników to przeważnie listy od wojewodów. Rozumiał, że nie można korzystać z ich zaproszenia, by przybyć i opisać jakąś wieś z obszaru, który im podlegał. Dobrze pojmował, że widać coś kłamie,

jeśli z urzędu spieszą mu przyświadczyć, ponieważ prawda, która jest władzy na rękę, ma coś z natury kłamstwa. Więc rzucał się z tej wsi do ucieczki, lecz artyście nadzwyczaj trudno zabrać się ze swego tematu ze wszystkim, nawet przenosząc się za ocean. Motycz, który za pieniądze jednego z ministerstw pojechał zobaczyć, czym jest nasza emigracja, wrócił i tak ją opisał, że spotkał się z propozycją, by zostać konsularnym urzędnikiem.

— Państwo na mnie leci! — pomyślał. Tego nie chciał. Od pierwszego pisanego słowa widać naszeptywał rządowi same rzeczy do słuchu, ale traktował swoje dworactwo jako przemysł chałupniczy, przed pensją się bronił. Pocieszał się, że jest jak słowik, który przypodobał się państwu słuchającemu go z ganku, ale do klatki nie chciał. Rzecz z nim miała się o tyle inaczej, że chociaż Motycz nie chciał specjalnie podobać się urzędom, jednak w ogóle koniecznie chciał komuś się podobać. Los, żeby mu dać nauczkę, wybrał mu takich amatorów. Motycz rozumiał to o sobie, że czegoś nie dopowiada, a zarazem, że umie jak nikt przytakiwać legendom. Zabierał się do nich daleko od postanowienia, że jeszcze będzie je pogłębiał. Nie potrafił zrozumieć tej oczywistości, że gdyby taki pisarz jak on, mógł z legendą postępować dowoli, to nie byłoby legendy. Próżno kusił wieś, a siebie łudził, że da jej obraz jak nikt, nie wychodziło mu to, ponieważ właśnie trudno jest napisać o jakimś temacie dobrą książkę, współzawodnicząc z niedobrymi pisarzami. Dlatego, mimo że współczesność w ważnych sprawach woła o wielkich twórców wielkim głosem, zmienia wszystkich, którzy za nim idą, w małych. Wtedy Motycz przeszedł w literaturze na wiarę. Wszelką rzecz o świecie lepiej wyda w sztuce artysta niż zawodowiec. Z wyjątkiem może Boga! O wsi nie chłop, o obrazach człowiek, który pędzla nie miał w ręku, może o kobietach ktoś który ich nigdy nie posiadał — najlepiej mówi. Nigdy tak nie będzie z Bogiem. Motycz znał go tylko z opisu. Nie zaglądał do mistyków. Pragnął jakiejś innej strony w życiu, ale nie chciał się od życia zanadto oddalać, bo to by mu nie dało nadsłuchiwać, co mu za pogłos ze świata niosą jego własne słowa. Zaledwie pierwsze wymówił, jeszcze nawet Bóg nie wziął tego do siebie, a już Motycz ujrzał się w oczach całego mnóstwa osób poetą katolickim. Jakieś kalectwo było w tym temacie, Bóg w niczyich rękach nie chciał się rozpalić, rzucał, zmieniał, jałowił pisarzy, jak czasem kobieta o trudnej wrażliwości — jałowi kochanków. Motycz stanął przed zagadką Stwórcy jak przed sfinksem, względniejszym o tyle, że ofiar swoich nie pożerał, a jedynie moc z nich wysączał. Motycz męczył się. Tylko te miejsca podnosiły mu się z papieru, gdzie nic nie było o bóstwie. Najmniejsza jego dawka zniżała strofę. Czasami udawało mu się przemycić zakrystię, cmentarz czy ołtarz. Nie wiedział więc, czy w końcu praktykuje twórczością. A tu już nie opuszczał go katolicki zachwyt. Niósł się ze stowarzyszeń, rekolekcyj, salonów, które wciąż chciały się poszczycić swoim oczkiem w głowie przed jakimś nowym kołem czy jakąś jeszcze uznawaną za ważną osobistością. Miał najbardziej za złe owej sławie wybór jej wysłanników. Czyż naprawdę nikogo innego nie miała pod ręką? Czyż nie ma ona żadnej powagi u wszystkich tych, na któ-

rych Motyczowi zależy? Ci nigdy go nie pozdrowili w jej imieniu. Cóż mu nawet było po ich sympatii, gdy ostatecznie w gońcach swojej sławy widział samych takich, na których kręcił nosem.

— A jesteś! — zawołał. Z takich i tym podobnych Czatkowski był dla niego najbardziej znośny. Tylko czemu tylu różnych innych?

— Spóźniłeś się — powiedział.

Czatkowski podniósł palec w górę.

— Nie spóźnia się ten — orzekł — kto przynosi dobre wiadomości! Załatwiłem ci wszystko. — Siadł. Wziął kartę w rękę. Spytał. — Jadłeś już — rozejrzał się, wzywając oburącz kelnera. Jeść — krzyknął — jeść! Strasznie zmarzłem i wygłodniałem.

Tę sprawę pchnąwszy na właściwe tory, uspokoił się.

— No cóż Bóg? — roześmiał się do Motycza — jak tam z nim?

Motycz wyraźnie się skrzywił. Nie dlatego, że żart tyczył Boga, ale że to w ogóle był żart. Na trzeźwo dla Motycza nie czas był na podobne rzeczy, dopóki na świecie są problemy.

— Ach, wiesz co — zwrócił się Czatkowski z werwą i trzepnął Motycza po kolanie — idę ręce wymyć, tu, już, w barze, kto pomyka korytarzem, gdzie są gabinety? — Jakiś zakonnik! Wysoki, z tonzurą, biały. Ty będziesz wiedział co to za gatunek?

Motycz to zniósł. Powiedział nawet.

— Biały, to mogą być różni. — I tylko delikatnie uzewnętrznił swoją niechęć mówiąc: — Ale lepiej jedz.

Czatkowski zdjął pokrywkę. Z sosu spojrzała na niego faszerowana kalarepka dziesięciorgiem olbrzymich, zielonych, jakby ocznych gałek. Ciął je, łykał i perorował.

— Ty masz dobrze — mówił — wiesz czym jest świat i człowiek. Znając Boga bliżej, nie potrzebujesz się niczemu tu na ziemi dziwić. Rozumiesz samo urządzenie, gdzie co prowadzi od tych wszystkich zakazów, które umiesz na pamięć. Gdybyś chciał, prawdopodobnie potrafiłbyś wytłumaczyć wszystko. Naprawdę pozazdrościć!

Motycz odparł:

— A przestępcy, który na pamięć by znał kodeks karny, też byś zazdrościł!

Czatkowski rozglądał się po stołach obok, w tej chwili głównie, by mieć też pełny talerz przed sobą.

— Tyś co jadł? — pytał. — Dobre było?

I starał się zatrzymać pędzących kelnerów. Ale nie bardzo zważali na to. Tak czasem ręką wysuniętą zza mgły, nocą prosisz na szosie jadących, by przystanęli i cię podwieźli. Nic z tego. Kelner i szofer to może jedyni ludzie na ziemi, którzy mają wyraźnie wytknięty cel. Od swego dla ciebie nie zboczą. Czatkowski powrócił do talerza. Póki co, trzeba się było ratować samemu. W rondelku znalazł jeszcze trochę sosu. Podkarmił się nim przy pomocy chleba. Najmniejsza cząsteczka jadła obracała się u niego zaraz w słowa

— Z moralnych — mówił — są dwa główne rodzaje tragedii. Znać prawo, ale nie umieć mu się podporządkować. Albo. Umieć mu się podporządkować, lecz żadnych praw nie znać. To nam dziś się daje najbardziej we znaki.

Motycz oczy utkwił w lustrze, badając siebie w tym nowym charakterze człowieka, który prawo zna.

— Dlatego musimy ci zazdrościć. Przywracasz w sobie to, co jest najbardziej u człowieka ludzkie — samą możliwość grzeszenia. Ubolewasz chyba nad nami, nad tym najsmutniejszym rodzajem naszego bezprawia, złożonego nie z nadmiaru grzechów, ale z braku praw. Pełna wesela to musi być rzecz — westchnął — taki moralny komfort.

Motycz nie spuszczał z oka swego odbicia. Była w jego spojrzeniu badawczość fizjonomisty. W tym wypadku rozpatrywał sam siebie. Czy wierzył? To prawda, że Bóg był bohaterem jego ostatniej powieści. Istniał więc dla Motycza świat, w którym Bóg się urzeczywistniał. Ale czy to był świat realny?

— Szczęście jest zapowiedzią czegoś lepszego, co się nie spełnia! — rzekł. — Ziemia przecież nie popuszcza człowieka dlatego, że mu zapachnie niebo. Człowiek wówczas poznaje całą piekielność naporu wszechrzeczy, kiedy zaczyna się dbać o jedną. Nawet jeżeli tą jedną jest absolut. — Po chwili dodał:

— Jestem jak człowiek, który nie znał rozmiarów swego zepsucia, aż się zakochał i wtedy dopiero poczuł, jak go świństwo ciągnie.

Udawał, że się zadurzył. Dla nabrania rozpędu! Podobnie rozkosz fizyczna zalatywała mu zawsze surowizną, póki jej nie przyrządziło uczucie. Kochał się więc na siłę, ile razy go nachodziła ochota. Nietrwałe to było urządzenie.

— No! — zawołał Czatkowski — ale masz odczynnik. Wiesz, kiedy jesteś świnią.

— A ty nie wiesz? — zdziwił się Motycz.

Czatkowski się poskarżył.

— Nie, nigdy. Nie mam całej pewności!

Motycz pomyślał.

— A ruch wasz nie przepisuje wam jakiejś moralności?

— Owszem — odrzekł Czatkowski. — Ale taką strasznie niemoralną, że każdy ją sobie musi do swojego użytku rozrzedzać jakąś dawniejszą moralnością.

Człowiek, który nie jest pewien własnego przekonania, cienko o nim śpiewa. Ma ustawiczne poczucie matactwa. Najlepszy argument wypada mu z ręki. A przede wszystkim próbuje rozumować tam, gdzie trzeba zacząć wierzyć. Motycz o tym dobrze wiedział.

— Ja się bardzo przywiązałem do Boga — mówił Motycz — czuję się z nim o wiele lepiej. Nie za dużo się pytam. Czekam, aż on mi wszystko wyjaśni. Widzisz, ciekawość jest najgorszym sąsiadem nawróceń. Trzeba je w sobie przenieść gdzie indziej. Kto pyta, ten się zawsze dopyta wątpliwości. Wierzyć najlepiej, tak jak całować się: z zamkniętymi oczami.

— To nie dla mnie — pokręcił głową Czatkowski — ja bym się umiał nawrócić tylko przez ciekawość.

— W tej sprawie jednak Kościół zupełnie wyraźnie poucza, gdzie człowieka prowadzi ciekawość. Wiesz chyba?

— Wiem, tylko nie wiem, gdzie prowadzi piekło.

Motycz roześmiał się po raz pierwszy od początku rozmowy.

— Nigdzie dalej. To przystanek końcowy.

Czatkowski wziął z rąk kelnera rondelek. Sam sobie chciał nabrać, spod zapieczenia jak spod namiotu wydostawał dymiącą miazgę makaronu. Odskoczył z nią od ust. Sparzył się.

— Tym mnichem — powiedział wściekły — diabli sobie nasmażą w kotle! Zgorszył mnie. A ja tu przybyłem na rozmowę z tobą jako maluczki.

Motycz nic nie pamiętał o żadnym mnichu.

— Jakto jaki? — Czatkowski się zadziwił. — Siedzi tu przecież w gabinecie — i rozzłościł się. — To jest wasz katolicki pech. Co święty zdobędzie, to puści ksiądz.

Świętym miał być Motycz, który niby to już trochę nadwyrężył duchowy sceptycyzm Czatkowskiego. W tym nowym charakterze Motycz zdobył się na stanowczość.

— Nie może tu być żadnego.

— Ale, ale, ale! — Czatkowski głosem, który umyślnie pogrubił, wysmagał jego pewność.

Motycz zamachał rękami.

— Nie jestem ciekaw — odpychał od siebie ploteczki Czatkowskiego, o którym myślał, że chce się z nim droczyć — gdzieś, kiedy i kogoś widział. Bóg jest wszędzie. I człowiek może się wszędzie znaleźć. Nawet ksiądz. Wyjątek nie obala reguły. Zły sługa nie rzuca cienia na samego pana. Zresztą nie chce mi się o tym mówić. Ja cię nie będę uczył alfabetu.

Sam niewiele ponad to umiał. Dlatego wolał przebywać z Czatkowskim w terenach swojej własnej słabej orientacji.

— Mnie było również trudno — powiedział. — Nawet nie — nawrócić się, ale w ogóle wrócić. Gdybyż chrześcijaństwo mogło być czymś nowym. Już lata temu poczułbym łaskę. Ale nawracać, wracać. Przekonywać się do racji starszych państwa. Cofać się. Dokonywać odkrycia wstecz! I do tego jeszcze: — Ta historia święta, święci pańscy, dawni prorocy! Cóż. Poznaliśmy ich za czasów lalek. One również w dalszych latach naszego życia nie występują.

Pochylił się.

— Nie mów tego nikomu. Ale ja sam nie mogę czytać Starego Testamentu. Między patriarchów zamieszały mi się krasnoludki.

— Za mało współcześnie traktujesz swój przełom — rzekł Czatkowski. W milczeniu dojadł resztki makaronu. Pochylił pod światło rondelek, żeby zobaczyć, czy na dnie nie ma gdzie kostki szynki. Nie było. Zabrał głos. — Styl trudności religijnych — mówił — też się zmienia. Naszych dziadów draż-

iły nieścisłości w Starym Testamencie, naszych ojców — zły ksiądz. Nas — eszcze coś innego! Ty masz jakieś własne swoiste trudności. Ale ja, który eżdżę z tysiącem moich kompanów partyjnych na pielgrzymki, a z setkami hodzę czasem do kościoła, wiem, że ani usterki pisma, ani błędy kleru — ic nam nie szkodzą. Raczej sam Bóg.

Odsunął się na krzesełku, rozłożył szeroko ręce. Nie miał co ukrywać.

— Na przykład — rzekł. — Jezus Chrystus nie mógłby zostać człowieiem naszego ruchu.

Motycz pocieszał go.

— Tego nie można wiedzieć! Chrystus lubił robić niespodzianki. Pamiętasz o było z celnikami czy Magdaleną. On by się do was potrafił zniżyć!

Czatkowski się zniecierpliwił.

— Ja wcale tego nie miałem na myśli, czy on by nas chciał, ale czy my ego.

— Historia się powtarza, mówią. Czy powtarza się też i tło historyczne? Czy tylko dlatego Chrystus przyszedł na świat raz jeden, że tylko raz jeden nalazły się po temu odpowiednie okoliczności. Przecież to były czasy liche, niejsce, pożal się Boże, rzymska prowincja zabita deskami. Czyżby tło jedyne? Vidzisz, seansom zarzuca się, że się odbywają po ciemku, a Chrystus? Dlazego nie przyszedł w światłym wieku, jako ukoronowanie światłości. Gdybyż óg mógł poprzestać na tym, że jest straszliwą tajemnicą, nie będąc zarazem traszliwą niepewnością. Ale nie samą. Daje też trochę pewności. I ja się tego becnie trzymam. Nie o niego pytam. O tło. O nas. Kto dzisiaj byłby za nim. Kto by mógł być jego uczniem. I nie widzę apostołów.

Motycz oglądał w lustrze wielkie, zielone, ślimacze oczy, spoważniałe dotojeństwem tematu, i na czole niejedną zmarszczkę szczerej troski.

— Nawet Judasza! — zatroszczył się.

Czatkowski gwizdnął przeciągle.

— No, no. Wierzyć, żeby mieć same troski — zadziwił się. Ale nagle uprzymnił sobie, że z nim było coś podobnego. Ruch, do którego się przypisał, nógłby w nim znaleźć straszliwego krytyka. Nie jedynego. Nad tym się zaanowił. Rzekł. — Widać taki to los dzisiejszego wyznawcy, widzieć jasno abe strony.

Ale pocieszył się:

— Przekonania — zawołał — wcale nie muszą na człowieku leżeć jak ulał, eby człowiek mógł działać!

Motycz wiedział, że tak jest z działaniem. Lecz wiedział również, gdzie tak ie jest.

Ale nieszczere było jego ubolewanie — żeby tworzyć.

Salę zwolna napełniał dym, lisi otok wokół twarzy Motycza, jak czasem rokół twarzy księżycowej, podkreślał jeszcze jej krągłość. Zwolna poczęły ę nużyć oczy poety, a również i myśli. Światło, które wnosiła w jego życie ypożyczona wiara, paliło się wyłącznie dla drugich, niczego nie oświetlając Motyczowi w środku. Rzeczy gorsze jeszcze sprawiała w nim jego tęsknota za

prawdą, która jest formą nieukontentowania z wszelkiej ludzkiej wiedzy o wiele niecierpliwszą w niszczeniu każdego odkrycia niż sceptycyzm.

— Najmniej ze wszystkiego w kościele — wołał tymczasem Czatkowski — zajmuje mnie tabernaculum. Wiesz, kielich z komunikantami. I wszystko t razem. Podobnie odczuwam sprawę w Instytucie Radowym. Tam jest takż takie miejsce święte świętych. Schowek z radem. Tajemnica promieniowania owszem, wielka to rzecz. Ale mnie więcej interesuje organizacja, jak działa czy pomaga. Tobie pomógł kościół, tak? — pytam, by oficjalnie już zapisa wypadek z Motyczem na dobro kościoła.

— Nawrócenie — odparł Motycz — jest zdaje się czymś, co może przypo minać ożenek. Uspokaja, porządkuje, utrwala życie. Ludzie chwalą sobie tak zmianę. Ale to nie jest lek na wszystko. Bóg byłby tym lekiem, samej wierz w Boga jeszcze do niego daleko. Wiara, widzisz, to jest coś jak katalog; sam sklep jest w niebie.

Stolik obok zmieniał zaludnienie. Zajęło go bardzo ładne towarzystwo Jeden pan i dwie panie. Wszyscy wyjątkowo przystojni.

— A z pięknem — mówił dalej Motycz — sprawa przedstawia się właśni inaczej. Ziemia podaje go do spożycia na miejscu. Nie na wynos do zaświatów

Patrzyli obaj na czarnego bardzo, smagłego, garbonosego mężczyznę, któreg ogromne oczy znieruchomiały w zapatrzeniu na bufet. W gęstej obsadzie rzęs prawie tak długich jak płatki astrów, lśniły się polerunkiem gęstego mroku zdając się jedną wielką rozwartą źrenicą. Niewiele było przenikliwości w tyn spojrzeniu. Nieznajomy oderwał je w końcu od lady i przeniósł na obu pi sarzy. Po sekundzie wahania wybrał sobie Motycza do oględzin.

— Jeszcze wracając do Boga — Czatkowski leciutko się uśmiechnął. — Stwo rzył on nas na swój obraz. Katechizm podkreśla nawet, że chodzi o podobień stwo. Ja uważam, że nie utrafił.

— To są żarty — obruszył się Motycz. — Ja nie mogę tak sobie pokpiwa jak ty. Będę się śmiał dopiero na tamtym świecie. Jak dojdę do celu. Nie p drodze!

Czatkowski oburzył się, bo to już wydawało mu się hipokryzją.

— Ty, ty to mówisz! A pamiętasz u Sztemlerów, jaki byłeś błazen.

Motycz warknął.

— A cóż to ma do rzeczy? Taki bywam w towarzystwie, to może być mó rodzaj nerwów, z wódki, z podniecenia. Ale kiedy zaczynam myśleć, sam czy we dwójkę, tak jak teraz jestem z tobą, nie widzę w świecie nic śmiesz nego.

Blaskooki, młody czarny sąsiad, nieco podawszy głowę do tyłu, grzebał sobi wykałaczką w zębach długotrwale, bawiąc oko rozeznawaniem rysów Motycza w których musiał znajdować jakieś upodobanie. Wzrok jego napełniała przy chylność.

— Piękność i śmieszność — pouczał Motycz — to tylko cień na zjawiskach Nie ma tego w istocie. W spojrzeniu z wieczności.

Twarz jego zwolna nabierała kolorów, sprawił to obcy wzrok, wykró

barwa tych oczu i odczuwana niepewność, czemu ma przypisać ową uwagę. Własnym rysom tak ciekawym, czy pamięci o nich wyniesionej z jakiegoś lustrowanego pisma? Niezależnie od tego Motycza zawsze ogarniało podnie-enie, ilekroć widział się zgłębiającym prawdy wzniosłe, zwłaszcza, gdy za-azem je wypowiadał.

— Tak — odparł Czatkowski — wieczność jest niesłychanie wybredna. Ogromnie trudno przewidzieć, co się jej będzie podobało Czy nie myślisz, że a jej gust wpływa nieraz trochę przekory. Znajdować upodobanie w tym, co wego czasu przekreślała jakaś teraźniejszość. Wieczność, to już zupełna loteria. a na wieczność nie liczę.

Piwem zapił to oświadczenie.

— Zresztą — skończył — wszystko to razem — nieśmiertelność, wiecz-ość — to taki dodatek do życia. Zapowiadają ci go, że dostaniesz i godzisz ię. Nawet nie myślisz, co z tym zrobić. Ale po kolei wszystko w życiu iabli biorą i zostaje ci w rękach ten dodatek, którym nawet nie wzgar-ziłeś, boś na niego w ogóle nie zwrócił uwagi — poskarżył się, jak gdyby zekać go miały lata głuchej wsi czy sanatorium na ustroniu. — Ja sobie na-rawdę nie mogę wyobrazić, co ja będę robił na tamtym świecie, tak jak ie wyobrażam sobie, co będę robił na starość.

Troska jego wzrosła, gdy swój stan porównał z Motyczem.

— Nigdy nie czytałem różnych świętych w piśmie, ani mistyków, którzy isali o tamtym świecie. Ty to wszystko znasz. Więc będziesz miał ze sobą aedekera.

Motyczowi było dane jedno gardło na dwa różne pragnienia. Gdy się rzez słowa Czatkowskiego poczuł tak dobrze przygotowany na tamten świat, obojętniał mu on, za to głosem gorączkowym przypominał mu się czas te-aźniejszy; już nie tęsknił za wiecznością. Takie go porwało pragnienie do-zesności — zabaw, sławy, przeżyć erotycznych. Tymczasem Czatkowski nie zuł, że mowa o rzeczy, od której odwróciły się oczy Motycza.

— Bóg, Bóg — niecierpliwił się — to mam mu do zarzucenia, że nie jest adnym musem. Ja, na przykład, który czuję, żebym się nawrócił, gdybym iał na to czas, właśnie cierpię dlatego, że Bóg jest za teoretyczny. Każdy, tóry się zetknął z wyższą matematyką, wychodzi olśniony. Ale życie jest rządzone właśnie tak, że człowiek się z nią tylko przypadkiem styka. Podo-na rzecz z Bogiem. — Tłumaczył się naprawdę przejęty. — I podobna rzecz e sztuką. Czas spokojny jest jej czasem, w czasie burzy wydaje się jakaś pa-ierowa. A Bóg właśnie wtedy staje się pewniejszy, cisza z powrotem zamienia o w dalekie podobieństwo. Ja właśnie tego specjalnie nie lubię w Bogu, że jest n zawsze skutkiem jakiegoś nieszczęścia.

— Przypomnij sobie, że kiedy jest ci źle, nie tylko wzywasz Boga, ale bliskich.

Czatkowski się szarpnął:

— Wszystko to powinno być inaczej urządzone.

I nagle roześmiał się.

— Wiesz, co mi jeden apologeta powiedział — przypomniał sobie — kied wytykałem Bogu różne błędy w urządzeniu świata. Cóż chcesz, rzekł, pami taj, że Bóg go stworzył w siedem dni.

Motycz patrzał przed siebie. Czarnooki człowiek naprzeciw zastanawiał g Teraz spuszczał powieki, i rzęsy jego wydały się Motyczowi w piękności sw jej jeszcze dłuższe.

— Żeby o takich szczegółach pamiętać! — zdumiał się w myśli. Masar przecudnych i genialnych — dalej pomyślał Motycz o świecie tak, jak się myś o wielkim dziele sztuki, które jednak w całości ma jakiś defekt.

Zwrócił się do Czatkowskiego.

— Ty byś pragnął toczyć się do Boga jak kulka. Urządziłbyś świat jak jedno wielkie z górki na pazurki, na dole z niebem. Tymczasem Bóg nie chcia żeby człowiek szedł do niego mechanicznie.

— I przechytrzył — rozzłościł się Czatkowski — bo ostatecznie człowiek stoi. — Ale sam o tym wątpił, bo po sekundzie zmienił zarzut.

— Kierunku mu nie dał, kierunku, kierunku! Człowiek jest jak pies bez nos który się ratuje próżnym biegiem.

I spytał serio:

— Czy na seansach nigdy nikt nie próbował wywołać Boga? Ja nie po muję tej przeklętej sytuacji, żeby się na świecie było tak szalenie trudno d wiedzieć prawdy! No, kto tego wszystkiego narobił?!

Ale Motycz był teraz już o sto mil od nieba. Czarne spojrzenie przy stolik obok przybierało na sile. Jak dotąd przyglądać, tak teraz raczej zdawało s czegoś od Motycza oczekiwać, coraz natarczywiej, ale zarazem w sposób cora mniej osobisty.

— Przestałbyś bluźnić — Motycz się skrzywił. — Rozdrażniasz się tylk Zaczynaj swą grę z Bogiem. A ty byś ciągle tylko zmieniał warunki. Bóg m ceny stałe.

To słowo przypomniało mu sprawę całkiem inną.

— Przyniosłeś coś dla mnie? — spytał.

— Na Boga! — Czatkowski oprzytomniał. Przecież nie dla niego się spotkali, ale dla Papary. Czatkowski jako wysłannik swego wodza miał w zwać Motycza, by wstąpił do ruchu. — Czy przyniosłem ci coś? — Zapowied sławy! — Czatkowski się uśmiechnął. — Jesteś sam. Nie mówię o Bogu. A przecież, co tu ukrywać, na kogo tu liczyć. Paru redaktorów i po jedny naczelniku oświaty oraz wydawcy. *Ruch* da każdemu z twoich wierszy s tysięcy czytelników. Tylko wczuj się w nas, dobrze wczuj.

Motycz godził się, ale targował milczeniem.

— Jesteś cały na naszej linii — Czatkowski mościł mu ścieżkę do Organ zacji. — Słuchaj! Pod jedną pachę bierzesz swoją wieś, pod drugą kości ot i całe twoje przenosiny! Jesteś czysty, nie zawszony żydami, tylko w piór może masz za mało tej pogardy, której teraz się w sztuce używa w miejs dawnej dobroci. Na pewno pochwycisz ton, a jak tylko spróbujesz, to ci s

podoba. Przecież nie zawsze poezja była tylko atłasem. Raz jeden przymierz do siebie ten ton furii, zobaczysz jak ci będzie pasował!

Motycz przypomniał sobie swój wiersz, który z lekka nią się odymał. Nie pamiętał go dobrze, a tylko jego części, które okazywały się bardziej wytrzymałe na czas. Motycz spróbował go wypowiedzieć, zastępując zwietrzałe miejsca improwizacją:

— O! o! — Czatkowski odchylił się i klaskaniem wybijał rytm wiersza, jak gdyby to był taniec. Motycz urwał. Ręce leciutko uniesione opuścił i rozprężył się, dając wreszcie pokój temu wierszowi, mówionemu na pół z pamięci, a na pół z głowy. To było jak pójście po kolejowej szynie. Ziemia wtedy ściąga człowieka, co ma sił. Podobnie Motycza z wiersza ściągała proza, choć był nad nią najwyżej kilka palców.

— Rozumiem, o co ci chodzi — dogadywał się coraz lepiej z Czatkowskim. — Po mnie się zawsze tłukły tęsknoty kaznodziei. Te, których Bóg nie nasyci, a dopiero nasyci tłum. Człowiek, który odkrył Boga, czy prawdę, czy piękno, jest z tym po stokroć bardziej samotny, niż człowiek niczym podobnym nie dotknięty. Ja nie wiem dlaczego.

— Przestaniesz być — przysięgał na to Czatkowski. — Człowiek dojrzały, człowiek pełny, człowiek twórczy musi mieć w życiu niejedno. Tak samo jak swoją kobietę, podobnie musi mieć i swój tłum, do którego chodzi, ile razy chce i który pod nim drży. To ci właśnie damy.

I od razu wspomniał czas, kiedy był podobnie do dzisiejszego Motycza sam — jak palec.

— Ty znasz to, sam mi o tym mówiłeś, lepiej niech cię już świat całkiem odtrąci, zamiast nasyłać ci tych chuderlawych posłańców rozgłosu. Po jednym pismaku, po jednej aptekarzowej, po jakimś nauczycielu z prowincji. Nie obejrzałbyś się za nimi wszystkimi, gdyby nie to, że spodobał im się twój ostatni tomik. Ach ci admiratorzy z rzadka, kępkami, w pojedynkę. Zbieraj ich. Tyle, co pięć złotych na rok. Dużo z tego będzie miała twoja chwała.

Pora zrobiła się późna. Głód ludzi tu zebranych powoli spadał jak gorączka. Kelnerzy, podobni do sanitariuszy po godzinie przesileń, stali oparci o ściany, w rozluźnieniu, niedbale słuchając nawoływań, które były głosami potrzeb coraz słabszych. Czatkowski zwrócił się do jednego z nich o wino.

— Zdecydowałeś się, co? — spytał. — Postanów na trzeźwo. A dopiero potem nastąpi zapicie. Więc dawać! Powiedz, chcesz?

Motycz chciał. Ale nie usłyszał jeszcze reszty warunków. Czuł, że jeśli i te by mu odpowiadały, to później przez całe życie będzie mu wstyd, że sobą z *ruchem* handlował. Jak młoda żonka w pierwsze dni po ślubie, wstydził się mówić o pieniądzach na swoje potrzeby. Czekał sposobności i liczył, że temat ten jakoś sam ze siebie wypłynie. Czatkowski go poruszył.

— Jeszcze chwila! — zawołał, chwytając Motycza za ręce. — Nie, przez moment nic nie mów, — zatrzymał go, jak gdyby Motycz uniesiony na ślepo przychylał się do jego projektu. Motycz zgadywał, że teraz Czatkowski poruszy sprawy materialne. Wdzięczny mu był, że go wyzwolił z trudności, a jed-

nocześnie odrobinę podniecony. Oto miało za chwilę nastąpić odsłonięcie warunków. Toteż palce uwięzione w dłoniach Czatkowskiego zaczęły je lekko ściskać i obaj może trwaliby tak dłużej jeszcze w tym spleceniu rąk, gdyby nie promień nadzwyczajnie uważnego spojrzenia, które padło z oczu ich powabnego, kędzierzawego sąsiada. Zdawać się mogło, że pochwyt tych rąk, przeprowadzony pod stołem, to makieta szczególnie pięknie zawieszonego mostu, którego pomysł ono kradnie.

— Otóż chcę — mówił Czatkowski — abyś uprzytomnił sobie należycie, czego się wyrzekasz. Jakie są korzyści, które już nie będą mogły być twoje. Więc słuchaj. Tam, gdzie się znajdą w większości żydy i radykały, przepada ci nagroda. Zamyka się przed tobą każde pismo, gdzie oni są. I każda firma wydawnicza! — roześmiał się. — Nie żałuj tego. My ci wydrukujemy wszystko, co będziesz chciał i jak pięknie zechcesz. Twój nakład będzie nie mniejszy, niż dziesięć tysięcy. Rozpiszemy nagrodę i już nasza głowa w tym, żebyś ty ją wziął. Co?

Motycz niespokojnie tarł pod stołem ręce. Wola ludzka i rozum sprawić mogą, że się człowiek ukorzy przed nową wiarą, ale nie ma na świecie takiej siły, która by mogła odegnać z serca tęsknotę za porzuconym nabożeństwem. Motycz pomyślał o powieściach, o wierszach drukowanych u wydawców, do których zamknie sobie wstęp, o pismach, które od jutra zamilkną nad jego imieniem, jak szalony nad nazwiskiem złotego młodzieńca, który się przekradł. Już nigdy nie przyjdzie do niego koperta od modnego tygodnika z zawartą w środku korektą, z zaproszeniem do udziału w specjalnym numerze, z prośbą o głos w jakiejś ankiecie. Ani już tom prozy czy poezji nigdy nie będzie nosił nazwy żadnej z firm, które się tak śmiało w świecie literackim wymawiają. Wszystko co jest poza nimi, to przecie pokątność! Książki z wielkim smakiem przygotowane graficznie, z ozdobą zawsze dyskretną, na pięknym, grubym papierze, okładki przepłynęły przed jego oczami jedne za drugą i — znikły. Motycz był jak odszczepieniec, który nie żałuje żadnej z tajemnic, ale swego ornatu. Nagle jednak otrząsnął się, od tych tęsknot się odwrócił, aby jasno sobie nie powiedzieć tego, że daleko mu jeszcze było do najlepszych firm. Do Gebethnera, Mortkowicza czy Groella. Przecież Groell mu dwie książki odrzucił?

— Wina — krzyknął — pijemy!

— Aaa! — zadziwił się nad nimi melodyjny i dostojny baryton. Motycz, który siedział plecami do drzwi, poznał, że instrument był stary i bardzo szacowny. Wstał i znalazł się prawie że na piersi Bołdarzewskiego. Rozległej, białej, co jakiś czas na gorsie odmierzonej perłą. Jego twarz była w ogniach, a w tchnieniu mieszał się zapach wina i kawy. Oczy jego z dobrocią spoczęły na Motyczu. Wielkimi, suchymi rękami przyciągnął ku sobie jeszcze bliżej twarz chłopca. Pocałował go w czoło. — Witam mego najmilszego z młodych! — zadudnił śpiewnie. Przymknął oczy. W głowie mu huczało. — Wyszedłem się wysiusiać — tym objaśnił swoją obecność między nimi — i jakoś musiałem pobłądzić w tych salach.

Trzecie krzesło stało zwrócone tyłem do przystojnego towarzystwa. Siadł a nim, mówiąc. — Chwilę wypocznę z wami.

— Wino! — zdumiał się po raz wtóry. Czatkowski nalał mu. Stary nie ozwalał mówić do siebie — panie prezesie. Za to nad winem wyraźnie się krzywił. Odstawił je. Smak jego zechciał zabić papierosem, ale — okazało ię, że swoich nie miał. Motycz podał mu papierośnicę. Bołdarzewski zwiesił ad nią palce, im niejako zdając ocenę. Nad samym papierosem, nie tykając go, vskazujący i kciuk Bołdarzewskiego zwarły się powoli jak ptasi dziób, który lopiero z bliska zwąchał, że tego nie jada. Naraz Bołdarzewski się uśmiechnął. Coś pysznego musiało mu strzelić do głowy. Na papierowej serwetce napisał jedno danie. Przywołał pikolaka, przeczytał mu. „Dla mnie wydać trzy cygara", — podpis. — „To proszę zanieść dyrektorowi — rzekł. Jest teraz na sali bankietowej. Tam gdzie przyjęcie. Wiesz?"

Chłopak wiedział, z ręką wyciągniętą, trzymając w palcach zlecenie na biulce, znikł.

— Pogonił jak za motylem! — westchnął Bołdarzewski i w roztargnieniu raz eszcze końcem warg dotknął wina. Zadrżały mu, chwilę temu pieszczone inym! Powiedział wreszcie. — Tam na górze odbywa się wielki obiad dla Paul le Chaume'a.

Czatkowski zagadnął: — Dobry to pisarz?

Bołdarzewski pod to pytanie dał jednym słowem grunt. — Katolicki! — zekł.

I wrócił do przyjęcia, bo jeśli go Paul de Chaume dziś czym urzekł, to właśnie tym, że taki obiad dla niego wydano.

— Wspaniały — powtórzył to słowo kilkakrotnie. — Wspaniały! — I żeby ię ten epitet nie zamieszał, gdzie go nie kierowano, sprecyzował — Obiad! — Wzniesionym palcem jeszcze na to słowo zwrócił uwagę. — Kler, pewna ilość arystokracji, przedstawiciele zachowawczego mieszczaństwa, trochę urzędników z ministerstwa wyznań, z ministerstwa spraw zagranicznych, wreszcie grupa pisarzy, ale bardzo specjalnie dobranych, nie wedle koteryjnych ocen, lecz edynie wedle tego rozróżnienia, czy zdolni są zasiąść do stołu z pisarzem oficjalnie wierzącym. No i poziom! — łagodnym spojrzeniem wzniesionym ku górze zapatrzył się w sufit, jakby śledził tam przelot feniksa. — Mówią — dodał — głównie o francuszczyźnie. O towarzyskim poziomie.

Trawił swój zachwyt chwilę w milczeniu.

— Mieliśmy jedno — biskupie — nadzwyczajne. Prześlicznie mówił młody Medeksza, syn ordynata, drugi z rzędu, docent krakowskiego uniwersytetu, konserwatywny poseł. Powiadam wam, zamknąć oczy, no, Francuz. A otworzyć — wspaniała, polska, pańska twarz. Palce lizać. Naprawdę wrażenie niezwykłe. Jakby to ująć najogólniej, co się tam czuło? Chyba tak! Siedzisz za stołem z ideą, która rządzi światem i z ludźmi, którzy powinni! Naocznie widzisz, że tacy ludzie są i taka myśl istnieje. Do nich należy władztwo i do niej panowanie, niech tylko z powierzchni świata spłyną męty. Niech tylko zapanuje trochę ciszy, oni natychmiast stają się jej panami, niech trochę spokoju,

oni jego panem. — No, są! — ucieszył się, wziął cygara, obdzielił nimi towarzystwo. W tym, które sobie wziął, przy jednym brzegu odchylił się listek. Bołdarzewski zabliźnił to miejsce językiem, liżąc je z staranną delikatnością, jak suka skaleczone szczenię. Potem dla ostatecznej kuracji powoli obracał cygaro, wsadziwszy je w usta. I mówił dalej, ale przez to wszystko dosyć niewyraźnie. — Ja tam jestem — wskazał ku górze. Może to szło o salę bankietową, może o strefy hen, jeszcze wyżej — całą duszą! Nienawidzę walk, niepokojów. To okresy chorób dla ludzkości. Ach, mój Boże! Zawsze pragnąłem żyć w czasach zdrowych. Bo jak tu pisać książki w dobrym duchu, gdy wszyscy są w złym humorze. Bankiet taki to dla mnie wielka uroczystość. Oaza ładu, spokoju, nieporównanej klasy. Oaza i zapowiedź. Oto kadry. Niech zło z ucisku zwolni świat, a oto idealne grono, by objąć go pod swoje skrzydła.

Zapalone cygaro odjął od warg, odchylił głowę. Z ust jak z kadzielnicy wznosił mu się ofiarny dym, zbity, ciężki, toteż obierał sobie, idąc pod górę, miękką drogę zakosów.

— A kuchnia, a zespół win! — Bołdarżewski rozmarzył się. — Najlepsze w życiu bażanty, jakie jadłem. Z pieczarkami. Pieczarki jędrne, drobne, dobrane jak perły. Komu innemu nie wspominałbym o tym, ale wiem, że z was ludzie rozumni... którzy wiedzą, że to jest dopiero ta wstydliwa część ciała. Nie, jak powiadają, organy płciowe. Koło brzucha się wszystko kręci. Ma on swoje przyjemności na sto zawodów. Każdy je zna. Ale na to, by się przyznać, że się jest smakoszem, trzeba wielkiej odwagi. Niechbym ja w felietonie o odwiedzinach la Chaume'a spróbował słówko pisnąć o dzisiejszym pieczystym, miałbym z tym kramu na lata. Żarcie zawsze trzeba przemilczeć. Kto się wyrwie z tym, że jest na nie specjalnie wrażliwy, wygląda jak snob. I nam samym nieporęcznie z jawnym smakoszem prawie tak jak z inwertytą.

Zląkł się, że za głośno wypowiedział ten wyraz. Obejrzał się, kto go mógł słyszeć. Od razu powieki spuścił, jakby zatrzasnął drzwi otworzone bez pukania do nieubranych panien. Silnie poczerwieniał. — Nie mogło chyba do ich uszu dolecieć? — Zastanawiał się i sam pocieszał. — Piękny czarny sąsiad trzymał przed sobą książkę. Z obu boków zaglądały jego towarzyszki, zbierając z niej okruchy. Z zachwyconym szeptem podawały sobie wzajem tak pochwycone słowa.

— Burgund... — zaczął Bołdarzewski, ale zaraz przerwał ciężko dysząc. — Gaffa! Gaffa! — myślał. Cisza ją jeszcze podkreśla. Trzeba mówić. — ...nadzwyczajny! — wpajał tę ocenę w swoich młodych przyjaciół z wielką siłą przekonania. — Nadzwyczajny! — Ale po tym torze nie chciała się już toczyć jego myśl. Powrócił do miejsca, które przed chwilą opuścił.

— Wyszedłem trochę ochłonąć. Siedziałem koło Słowikowskiej. Jakaż nudna.

— Aurelia — przypomniał sobie Czatkowski. Miał z nią wywiad pięć lat temu. Poetka katolicka. Z tego samego pokolenia co Bołdarzewski.

Bołdarzewski spojrzał na zegarek.

— O! — zakrzyknął — Kres swobodzie. — I tu nieco się mizdrząc, że mu

się nie chce wracać do towarzyskich obowiązków, powiedział. — A tak miło z wami.

Wstał.

— Tyle, że teraz siądę sobie przy kimś innym. Bo tam już z pewnością ktoś zagwoździł moje dawne miejsce. Na przykład ojciec Didoile, którego Słowikowska tłumaczy. To wielki filozof.

— Taki wysoki, w białym habicie! — przypomniał sobie Czatkowski.

— A tak — Bołdarzewski zatwierdził ten opis.

Czatkowski się ucieszył.

— Widzisz! — natarł na Motycza — że tu jakiś zakonnik chodzi. Ja bym cię nie zwodził.

Stary się żegnał.

— Ale co z wami — spytał w ostatniej chwili. Wiedział, że z młodymi nie można mówić tylko o sobie. — Co z wami — prosił o odpowiedź tym nerwowiej, że nie miał ochoty słuchać żadnej dłuższej. Spieszył się, zwłaszcza, że tu stał, czego nie lubił. — Pisze pan co, wydaje, przeżywa? — zwracał się do Motycza.

Czatkowski za niego odpowiedział wesoło.

— Przeżywa dzień szczęśliwy, dzień złączenia z nami.

Bołdarzewski nie podzielał tej radości.

— Ach! — westchnął. — Nauczycie go waszego barbarzyństwa. A on na takiej dobrej drodze.

— My nie? — zdziwił się Czatkowski.

— Wy też — przyznał im to bez wahania. — Wy też jesteście polscy i katoliccy. Tylko że za bardzo zaczepiacie się z żydami. Nieludzko, rzeczywiście nieludzko. Powściągnijcie się, choć trochę, choć odrobinę — prosił. — Tyle żeby mimo wszystko każdy czuł, że pamiętacie o Bogu. Wtedy staniecie się mu naprawdę mili.

— Oto po Bogu druga istota, która dowiaduje się, jaki zrobiłem wybór! — zamyślił się nad Bołdarzewskim Motycz. — Jestem jak dziewczyna, mowa o moich zaręczynach, narzeczony mój nie, nie jest jedwabisty. Ze starszych nikt nie będzie mi go winszować.

Spojrzał w lustro. Od długiej chwili się w nim nie oglądał. Różowy był, leciutko zagrzany winem, trochę zawstydzony niedyskrecją kolegi, ale uśmiechał się. W ustach spoza grubych warg zamajaczyły białe, ścisłe zęby. Meszek pod nosem, który go wzruszał, choć i gniewał, znów mu okazywał, że w najbliższym czasie nie ma co liczyć na wąsy. Tylko oczy naprawdę dojrzałe. Spłynął w nie. Nie sam jeden. Za przesłaniem lustra czarny sąsiad się do niego uśmiechnął.

— No to pewnie wyda pan coś! — Bołdarzewski znał życie i wiedział, że w żadnym ruchu politycznym milczenie nowoprzybyłych nie jest złotem. — Jakieś wyznanie wiary, co?

Ale Motycz anielsko rozłożył ręce jak skrzydła. Nie wiedział nic jeszcze. Już mówią o dzieciach, które ma rodzić, a on się czuje ledwo po słowie!

I tęsknota za swobodą go porywa. Za tym, żeby stąd wyjść wolnym, nikomu nic nie dłużnym, nigdzie, nigdzie nie zapisanym, lotnym, niepodległym poetą! I mieć pod pachą swój tom wierszy zebranych. Duży, pełny, bogaty. Wydany — Motycz zadrżał — „Pod znakiem poetów". U Groella! Gdzie Trembecki, gdzie Tetmajer, gdzie Lechoń. Ach Groell! Jaki on miał nieomylny węch co do nieśmiertelności. Od stu lat! I tradycyjne arabeski tego najklasyczniejszego z warszawskich wydawnictw z nagła tak silnie oplotły serce Motycza, że zajęczał na głos.

— Nie wiem, nie wiem! — Jasno teraz widział, że do firmy Groell — która od pół wieku należała do starej, zasymilowanej, światłej rodziny Mincbergów — on Motycz przez swój narodowy radykalizm nie nabierze smaku. — Nie wiem! — po raz trzeci jęknął.

Ale Bołdarzewski nie słuchał. Bratersko, oburącz, serdecznie witał się z wysokim, czarnym, obłookim sąsiadem Motycza i Czatkowskiego, który sam się przybliżył. Przedstawił ich, choć nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Nie znali się panowie?

Smagły pan, który teraz z bliska wydawał się o wiele starszy, przenosił wzrok z jednego młodego człowieka na drugiego.

— To pan jest Henrykiem Motyczem — miło powitać dobrotliwość losu, który sprawił, że nie był nim Czatkowski. — Bardzo sobie wiele po panu obiecuję!

Patrzał, delikatnie poruszał powiekami, tak że rzęsy jego jak pęki zdobnych strusich piór nie przestały falować. Z przychylnym, miłym uśmiechem, głęboką czernią swoich oczu chłonął przyjemność, jaką mu sprawiło poznanie tak uroczego poety.

— Proszę zadzwonić do mnie, ale koniecznie!

To ostatnie słowo dodał przez kokieterię, bo nie wątpił, że nie ma w Polsce człowieka pióra, który by na podobne wezwanie zaraz nie odpowiedział.

— I niech nam nie przynosi swoich wierszy, — tu odczekał sekundę, aby się przez ten czas serce Motycza mogło ścisnąć. — Mamy je wszystkie zebrane.

Spoważniał, odsunął się o krok, zgasła w nim miękkość, przestał tu być osobą jak każdy. Nieśmiertelność, w której zakłady Groella zachowały wszystkich tych, którzy za ich pośrednictwem do niej przeszli, choć nie czekała go osobiście, przywykła posługiwać się jego głosem. Drżał mu, bo na razie, póki jeszcze rodzic sam kierował firmą, piękny, czarny jego syn dopiero zaprawiał się w nieomylności. Zwieścił Motyczowi.

— Ojciec poważnie zastanawia się nad panem!

Odszedł. A wraz i Bołdarzewski. Młodzi zostali sami. Motycz zasępił się nad kieliszkiem.

— To wino jest rzeczywiście cierpkie! — posmutniał. I odsunął je.

ROMAN KOŁONIECKI

ELEGIE ZIELONOŚWIĄTECZNE

DO MOJEJ RZEKI

Szybami z miki leżysz
Na trawach świeżych,
Gdzie olchy aż po biodra zanurzone stoją,
Zgarniasz rudym rękawem
Jaskry jaskrawe,
Która, rzeko niewierna, masz być Letą moją!

Czajczych skrzydeł dotyki
Te szyby z miki
Rzeźbią — czajka odfruwa, ślad chwilę zostaje...
Lęku pragnąc się ustrzec,
W szramę na lustrze
Patrzą niebieskie oczy niezapominajek.

Odwróć blade spojrzenia
Od mego cienia:
Noszę cię niby szarfę królewską na sercu!
On ci wyszedł naprzeciw,
A ty mu świecisz
Mdłym uśmiechem topielic w objęciach topielców.

Zbyt ufała twym prądom
Chłopięca mądrość,
Żeby kiedy zapytać, gdzie wyszukasz ujście.
Nie bruzdami od pługa
Droga twa długa
Wiedzie, lecz przez kuszące wyrwy i czeluście.

Jasne szkła — asfodele —
Kruszysz z weselem,
Nie uroniwszy nigdzie ni karatu życia!
Jak po martwe motyle,
Już się nie schylę
Po nie: złowiłem echo pierwszego rozbicia...

AUBADE

Słowikowi nocki mało,
Tyle jeszcze nut zostało,
Tyle strof — a tu już świta,
Słychać krok świętego Wita:
Minie próba ptasich sztuk!...
Poodwiedzał wszystkie drzewa,
Wszędzie kocha, wszędzie śpiewa,
Kudłatego elfa uczy
Gusel wiolinowych kluczy —
Elf ten ma na imię Puk.

Słowikowi nocki szkoda,
Bo słowicza żonka młoda
Ma z piosenek-zalecanek
Uwić gniazdko niby wianek!
Słowiczemu gniazdku rad,
Ponad ogród z wiankiem wzleciał —
Ogród stoi w chmurze kwiecia...
— Wstańże, miła, wyjdź, choć wcześnie,
Spójrz: zakwitły dziś czereśnie,
Powitamy biały sad.

Noc majowa — rzecz słowicza,
Między nuty ciebie wlicza;
Ciebie nie ma — nie ma nigdzie,
Mieszkasz tylko w ptasiej krzywdzie,
Gdzie co noc o nutę mniej!
Noc majowa — czas kochania,
Świt majowy łzy nie wzbrania,
Słowik milknie coraz wcześniej,
Pachnie cisza, świt, czereśnie...
Brzydki Puku, śmiej się, śmiej!

ELEGIA XV

Najzieleńsza niedziela, zaręczona z majem,
Łopoce w górze sztandarami grabów
I obłoki na siebie nacierają wzajem,
Jak swawolne koziołki, walczące na zabój.

Znasz-li tę wiosnę, wiosnę na Bielanach —
W tym wyłysiałym lasku, zwykle tak cichutkim?
Teraz miasto koczuje tu, gdzie jeszcze z rana
Dudek na jednym liściu wieszał swe trzy nutki.

Dziś szczęście mieszka wszędzie, skoro każdy może
Kubkiem stulonych palców czerpać hojność Wisły
Lub wąską miedzą wkraść się w gęste zboże,
Gdzie nad gniazdem kuropatw ciężkie kłosy zwisły.

Z piaszczystych ścieżek dzieci, chrupiąc obwarzanki,
Schodzą ciekawe w żyto, jak w dukty jeleni:
Tam chłopiec i dziewczyna siedzą przytuleni,
I uśmiech cicho piją z jednej szklanki.

Tańczą aniołki z gipsu na czerwonych stołach,
Niedźwiadek na łańcuchu w bębenek uderza,
Potem, całą polankę obchodząc dokoła,
Pod grad niklowy nadstawia talerza.

Na śpiewającym pudle staruszka-papuga,
Co umie oprowadzać po zaułkach losu,
Znad białych świstków, pełnych szeptania i pokus,
Oczkiem ku parom zakochanych mruga.

Chrobot rdzawej, zepsutej korby katarynki
W kałuże słońca z gąszczu jeżyn sprasza
Na pląsy córki praczek — Menady z poddasza,
Starogreckich bachantek ubogie kuzynki.

Kobiety stoją wsparte na mężów ramieniu,
Ramieniu krzepkim, jak sękata gałąź,
I w nieprzytomne oczy patrzą im nieśmiało
Jednym ze spojrzeń, równych groźbie i westchnieniu.

Smołowłose łaziki, barczyste łobuzy,
Mandarynowie ludnego przedmieścia,
Zaszyli się w krzak malin i w swe lat dwadzieścia,
By tam wargi kochanek krajać jak arbuzy.

Spomiędzy młodych leszczyn, jak zza okna krat,
Głos harmonii rozebrzmiał i wnet znalazł odzew —
Jakby wespół z innymi chciał przedrzeźniać kobzę.
W której wiatr uwięziony gra refreny lat.

DO MOJEJ RZEKI: CIĄG DALSZY

Choć zapadłaś w ciemności,
Rzeko młodości,
Rozpostarłszy przede mną tylko swe całuny —
Słyszę głosy z twych komnat,
O wiarołomna:
Drżą starcze żyły ziemi, jak napięte struny...

Wiem — wynikniesz z jej wnętrza
Po stokroć większa,
By sobie jak najlepsze upodobać morze;
W echach bitew i muzyk
Trop Aretuzy
Odnajdziesz, nowe śluby i weselne łoże.

Widzę: wpinasz już kłosy
W miedziane włosy,
Widzę już wyciągnięte delty twej ramiona!
Każdą konchę i trzcinę
W ręce matczyne
Bierzesz — i oto w łódkę i maszt zamieniona!

Z zamku ciszy co chwila
Wiatr się wychyla
I wydmuchuje w przestrzeń tęczę: rój owadów...
Te owady — to żagle:
Sfrunęły nagle
Chmarą pszczół do twych barci zasobnych i sadów.

Jakże kocha cię lato —
W półkolach zatok
Bocianim obyczajem brodzą skrzaty bose,
I choć o to się gniewasz,
Pływak przywdziewa
Twą szatę, w dulkach skrzypią trzony lekkich wioseł.

W nocnych łach wirydarzach
Gwiazdy rozmnażasz,
Tak jak znachor rozmnaża leki i trucizny!
W koło mojej zadumy
Krążą twe szumy;
Gdy przywarują, wchodzę w śpiewny mit ojczyzny.

Uwierzyłem od razu
Błogich obrazów
Cudotwórczej nicości — choć trwam na uboczu!...
Dziś, kochanek i cieśla,
Dom ci nakreślam:
Od słońca, które wzejdzie, aż do moich oczu.

JAN WIKTOR

NA RUINACH

I

Wszędzie ruiny przemawiające grozą. Czasem, z rzadka rozlegnie się odgłos kroków, czasem wynurzy się postać kobiety w resztkach dawnej świetności, przemyka się, aby nie wzbudzić podejrzenia, nie zwrócić na siebie uwagi i przepada w załomach. Pytam kogoś o coś. Zaczepiony staje, pręży się i z trudem wymawia — nie rozumiem po polskiemu.

Błądzę po ulicach opustoszałych, zawalonych gruzami, a teraz tak mi obcych. Wspinam się na sterty spiętrzone po drodze. Zaglądam przez otwory, które niegdyś były oknami, jaśniejącymi słońcem, uśmiechami ludzkimi. Pustka. Nawet wróbel nie zaćwierka. Cienie wron przemykają po strzępach światła, porozrzucanego po zwaliskach.

Zdruzgotane sklepienie runęło i pogrzebało co było szczęściem, spokojem, dobrobytem. Sterczą mury okopcone, pogruchotane. Spod odłamów cegieł wydzierają się skręcone, przepalone kawały żelaza, szczątki czegoś, co było ozdobą życia.

Widnieją uratowane z pożogi wywieszki, pokaleczone napisy, aby świadczyć o czymś przeszłym wobec przemijających ludzi i zdarzeń. Czasem nazwisko polskie zniekształcone, zabite, spowite w całun niemiecki na nędzny żywot zdrajcy i zaprzańca. Gdzieś schody ocalone, zagubione, nie prowadzące do żadnego celu. Już nigdy nie będą służyły nikomu, chyba zielsku, które tutaj zaczyna się rozkrzewiać. Nie zbiegnie tędy życie tupotem młodzieńczych kroków, pędzących po radość, nie poczłapie po stopniach troska, nie zamajaczy rozpacz, nie zejdzie w dół na barkach ludzkich trumna. Opuszczenie. Tylko myśl zaludnia te przestrzenie, pokoje, dziedzińce wspomnieniami przebrzmiałych obrazów, spraw, czasów, utrapień, szczęścia, bólów, rozpaczy, zemsty, nienawiści, dobra i miłości, bo te wszędzie chodzą za człowiekiem, gdzie krok, gdzie oczy, gdzie myśl skieruje.

Zgorzelisko. Gdzież buńczuczność, buta, gdzież tupot żelaznych, zdobywczych kroków maszerujących na podbój świata, deptających historię, ewangelię, krzyże, przykazania, manifesty serc najszlachetniejszych, zbuntowanych w miłości do człowieka? Ucichły. Zostało tylko porzucone na szlakach mordu,

POJEDYNEK WOŁODYJOWSKIEGO Z BOHUNEM

(„OGNIEM I MIECZEM")

zdeptane, pokaleczone człowieczeństwo. Wysiłkiem wszystkich trzeba je podnieść z pohańbienia, ratować, wskrzeszać, ożywiać, wcielać w codzienne życie, aby się znów stało prawdą narodów wyzwolonych.

Miasto dzisiaj widziane to obraz zniszczenia, skamieniały od grozy, uratowany w swych resztkach z pożogi. Nie pociski wojny go zdruzgotały, ale zbrodnicza ręka w mściwości swojej ogień rzuciła, aby po sobie zostawić zgliszcza. A przecież domy mogłyby służyć rzeszom bezdomnych, być ogniskiem nowego lepszego życia, wykuwaniem duszy ludzkiej w zbrataniu, w szczęściu i miłości.

Opuściłem gruzy i podążyłem zaułkami, aż tam, gdzie ongiś widniała nazwa — Wybrzeże Piastów. — Stanąłem niespodziewanie. Drzewa nagle targnięte zaszeleściły i wstrząsem wszystkich gałęzi aż po wierzchołek zaszeptały pozdrowienie nie znające głosu ludzkiego, więc szczere i serdeczne.

Tak mi są one znajome.

Spadają złote płaty na bruk pod moje stopy. Brodzę w płomieniach i kałużach krwi nikomu niepotrzebnej, a co jesieni wylewanej daremnie ze wszystkich gałęzi, aby z wiosną się odrodzić. Na tej kamiennej pustyni drzewa jedynie ocalały i po swojemu żyją. Kora odarta zwisa. Kilka konarów odłamanych chwieje się. Sterczy kikut z gałązką, która po kilku miesiącach zdrewnienia ożyje, w słońcu zazielenieje i po swojemu przemówi cieniem dla utrudzonych szelestem wiecznej młodości, pozdrawiającej jednakowo każdego przechodnia. Bo mowa liści nie zna złości. Nieśmiertelna ich dobroć kojąca i cisząca.

Nagła myśl. Pamięć moja jak w ogniu. Przed laty tędy szedłem. Pogodny dzień. Ta sama aleja. Szum i szelest. Z wichury spadających liści, jakby z pokruszonych płomieni, zmienionych w płaty, wyłaniali się ludzie ożywieni, głośno rozprawiający. Brunatne koszule. Czapki groźnie wysterczające, błyskające srebrnym i złotym wyszyciem. Czerń Hackenkreuzów na czerwieni. Błysk cholew. Ramiona w pozdrowieniu wyrzucone. Buta deptająca te liście jakby rany. A w trzasku kroków, w cieniu idących, płynęły korowody wózków po dywanie z czerwieni i złota. Lśni lakier i niklowe okucie. Na puchach, pod atłasowymi kołderkami, w tiulach różowych i niebieskich widać twarzyczki rumiane, troskliwie pielęgnowane, odżywiane chyba ptasim mlekiem. Małe usta niemowląt rozchylały się, iście jak pączki rozkwitającej róży o świcie.

— Ach, nie ma na świecie drugiego tak mądrego i tak pięknego.

Matki kroczyły pod skłonem tych drzew, czuwające, wpatrzone w swe pociechy wzrokiem uszczęśliwionym, chwytające każde ich spojrzenie, drgnienie i witające je okrzykami niewypowiedzianej radości. Każda z nich była uwielbieniem i miłością. Słowa i uśmiechy spadały chyba z nieba. Tyle wszędzie uśmiechów i spojrzeń, że dzisiaj tutaj stało się jaśniej.

To słońce wciąż rozkruszało swoje promienie i rozsypywało hojnie, bez miary, nikomu nie szczędząc w swej szczodrobliwości nieprzejrzanych darów.

Wtem jeden liść spłynął z gałęzi, zakołysał się zawieszony w powietrzu na zwiewnej pajęczynie i lekko spoczął na twarzy dziecka, a ono, rozwalone paluszkami chwyciło i z uśmiechem podało matce.

— Ach, jakie ono mądre, ach, nadzwyczajne. O tak, wzięło w paluszki i do

nie poniosło ten liść, ten skarb. Schowam w „sztambuchu" na wieczną
miątkę.

Inne kobiety przybiegły, pochyliły się, cmokając i wymawiając najpieszczo-
wsze imiona.

A wtedy matka opowiadała o niezwykłym zdarzeniu, mogącym mieć zna-
enie epokowe w życiu wszechświatów i czasów.

— Dzisiaj, tak, dzisiaj jestem najszczęśliwszą osobą, bo ono najmilsze z po-
ód wszystkich wybrane, o tak, o tak rączkę uniosło i wymówiło po raz pierw-
y: *Heil Hitler!*

— *Heil Hitler!* — wszystkie wyprostowały się i rzuciły ramiona w górę.

Trzask butów rozległ się. Zdawało mi się, że drzewa, wychowane w dyscy-
inie niemieckiej otrząsają liście, prężą się służbiście i usiłują dźwignąć konary
góry.

— To nie dziecko, to nowe życie pozdrowiło najświętszym imieniem naj-
iększego wodza wszystkich wieków we wszechświatach.

— Gdzież są — pytam dzisiaj — te matki, wychowujące dzieci swoje w tym
ajświętszym imieniu? gdzie te dzieci?

Pod murem stoi gromadka chłopaków. Patrzą. W oczach pociski. W zaci-
iętych dłoniach wyobrażenie noża. Gotują się. A tam przemykają kobiety
chustkach, resztkach dawnych, ubrań, spodniach. Z gruzów wytaczają
ózek — —

Trumna drży, dygoce, jakby żywa pierś wstrzymująca szloch.

A może kryje pocisk okuty w zemstę?

II

Kilkupiętrowe mury ogołocone, okopcone z wyrwami po oknach, przez
óre przepływają obłoki, jakby wyznania rozmodlonych niebios.

Taras pod gruzami. Znać zarysy. Zdaje mi się, że z rumowisk wychodzą
uzykanci w czerni, ustawiają pulpity, bieleją arkusze nut i zrywają się
omkie i sentymentalne melodzie.

Mieściła się tu ongiś pierwszorzędna kawiarnia. Aby to nie ulegało żadnej
ątpliwości, została część napisu *Kaffee*. Muzyka niemiecka rozkołysana wśród
śminów, to westchnienie geniuszów ulatujące ku gwiazdom i księżycom, aby
h promienie i blaski znosić na ziemię dla opasłych, żrących wieprzowinę z ka-
ustą, rozrzewnionych nad befsztykami, żłopiących piwo i pochlipujących
ami do spienionych kufli.

— *Ach Menschheit! Ach Poesie!*

Dzisiaj dzień niezwykły, wybrany spośród wieczności. Uroczystość mogąca
ozpocząć nową epokę. On przemówi. On! On! Zerwanie się wszystkich
ecnych z miejsc w trzasku butów, jak w wybuchach bomb.

— *Führer!*

Knajpa zatłoczona po brzegi dymem i wrzawą, jakby opiłkami żelaza.

Wrzawa rozrąbana ciosem opadła. Wtoczył się krzyk i maszeruje prze tysiące kawiarń, restauracyj, przez ulice, place, piętra, mieszkania wszystkic miast, wsi całych Niemiec, nie tylko tu obstawionych karabinami, gotowyn do strzału, ale po całym świecie, gdzie żyje jeden Niemiec rozparty buta pychą największego nazwiska, będącego przysięgą *für Führer und Vaterland*

— *Heil Hitler!*

Megafony krzyczały na całe Niemcy, na cały świat.

To nie głos ludzki, ale kroki żołdackie, maszerujące pod trzepotem chorągw przez życie, cmentarze, po zmarłych i żywych, aby podeptać, zmiażdżyć i zwy ciężyć. To nie słowa, ale armatnie pociski, bijące w spokój Europy — wedl niego — zmurszałej w kulturze i ewangelii, to miny, zakopywane pod pod walinami ludzkości, aby kiedyś na jego rozkaz wybuchnęły i gruzy pozostawiły Toczyła się mowa, jak czołg łamiący granice, druzgocący zapory. Dosięgał Polski, rzuconej pod górę żelaza. Zapowiadał zagładę dotychczasowego świata a zwycięstwo Niemiec sięgających zaborczym ramieniem po wszystkie narod od oceanu po ocean. Polska jest przedmurzem Słowiańszczyzny, trzeba wię wykarczować ją aż do ostatniego tchnienia, aż do ostatniego pulsu.

— *Wir brauchen eine Million Quadratkilometer, die wir nur im Osten finde können. Ich werde mitleidslos für die Polen sein, die ich verjagen werde. Möge sie sich, wenn sie Lust haben, in Sibirien festsetzen...* (potrzebujemy miliona kilo metrów kwadratowych, które znajdziemy tylko na wschodzie. Będę bezlitosn dla Polaków, których przepędzę. Mogą oni, jeżeli zechcą, osiedlić się na Syberii Był to rok 1932.

I wtedy miliony rozentuzjazmowanych ócz niemieckich widziały Polskę jak skrwawionego trupa, po którym potoczył się zwycięski czołg, po którym poma szerowały daleko na wschód buty, okute w żelazo. Huragany oklasków prze rywały zdania, rozbrzmiewały one wszędzie i w szpitalach, na łożu konani i niemal w kołysce, wszędzie, na każdym skrawku ziemi niemieckiej, gdzi tylko dłoń mogła się unieść, gdzie tylko głos z piersi mógł ulecieć.

— *Siegreich wollen wir Polen schlagen.*

Staliśmy na boku odtrąceni, upokorzeni i zdeptani, bo słowa uderzały w na ciosami obłąkańca, ogłaszającego zagładę ludzkości.

Po skończeniu mowy wszystkich zebranych — dosłownie — ogarnął sza Rzucali się w ramiona. Zrywały się okrzyki.

— To najpiękniejszy dzień w moim życiu.

Ktoś wyskoczył na stół i wrzasnął:

— Ja stawiam piwo.

— Ja kawę.

— Ja płacę cały rachunek.

A z gwaru wystrzelały nowe wezwania.

— Pod sztandarami nieśmiertelnego wodza pójdziemy na zdobycie całeg świata.

— Miliony przez wszystkie wieki będą czcić jego zwycięskie nieśmiertelr imię.

— *Heil... Heil...*

— *Deutschland über alles.*

Obcy tym krzykom wyszliśmy z sali rozwrzeszczanej, rozentuzjazmowanej potęgą wodza i wielkością zdobywczego narodu. Czułem się wtedy taki mały i nędzny, jak liść oderwany gwałtownym podmuchem, niesiony w pożogę świata, w mroki, skrwawione łunami. I wtedy towarzysz mój, Polak, syn śląskiej ziemi, twardo przemówił:

— Szaleniec. Do zguby zaprowadzi naród ogarnięty najstraszliwszymi chorobami, a to pychą i zbrodnią.

— Kto mu się oprze? — zapytałem pełen zwątpienia.

— A ja wam mówię — przetrwamy i wygramy. — Powtarzam tylko za starymi naszymi ojcami i dziadkami, wierzącymi w zwycięstwo sprawiedliwości, w zwycięstwo Polski wyzwolonej.

Ze wszystkich okien wybuchały pieśni, okrzyki, światła oślepiające. Całe miasto szalało.

— *Siegreich wollen wir Polen schlagen.*

— *Heil Hitler! Heil Hitler!*

Tryumf! Zwycięstwo! Całe Niemcy w trzepocie chorągwi, w śpiewach nienawiści podnosiły do góry wyprężone ramię i zaciśniętą pięścią groziły światu i gotowały się do marszu.

— Podeptać ludzkość. Zagarnąć rząd nad Europą.

Ulicami płynął uszczęśliwiony tłum i powtarzał urywki mowy Führera, przerzucał je jak pociski gotowe do uderzenia w pierś kryjącą ludzkie serce — Polska!

Brunatne koszule. Czapki butnie zadarte. Trzask butów. Napisy rozwieszone nad ulicami, grożące światu. A z tych drzew, pod którymi teraz idę, spływały pożółkłe liście, jakby strącone ptaki, które na kamieniach drgały, trzepotały i usiłowały wzlecieć, ale je brutalne kroki miażdżyły. Zdawało im się, że to nie mundury, nie barwny tłum, ale kamienice wielopiętrowe wznoszą okrzyki ludzkimi głosami, że chcą się wyszarpać z posad, że drzewa mocują się z korzeniami, bo chcą się wydrzeć z bruków — za chwilę bowiem padnie komenda ostra, brutalna, bezwzględna, więc ruszą z miejsca, staną w szeregach i pomaszerują na wschód w łoskocie wzburzonego świata.

— *Siegreich wollen wir Polen schlagen.*

W oknach ogłuchłych, zimnych i w oczach ludzkich takie same błyski nienawiści i zemsty.

Nowoczesność. Ruch. Zgiełk. Gdzieś zapluskało, zadrżało zawstydzone słowo polskie. Zaraz zbiegły się ku niemu spojrzenia, jak noże wbite zbójecką ręką.

— *Du verfluchter Hund, warum sprichst du polnisch?*

— *Raus mit Polen!*

Czasem rozległo się uderzenie. Kułak niemiecki policzkował słowo polskie. Jednakże nie odpowiedział mu jęk, skarga czy prośba. Polak zelżony zaciskał zęby i pięści.

— Czekaj chacharze. My wam zapłacimy. O, zapłacimy stokrotnie.

Po roku 1933 bohaterstwem było przyznać się do miana Polaka, bohaterstwem było mówić po polsku.

Bawiłem w tym mieście wtedy, kiedy rozkaz kardynała Bertrama, władcy diecezji wrocławskiej, wymiótł modlitwę i pieśń polską z kościołów, zbudowanych wysiłkiem ludu, mieszkańców okolicznych wiosek i zapełniających je od wieków. Tylko gdzieś na górce łaskawie pozwolił na odprawianie niedzielnego nabożeństwa o oznaczonej godzinie dla resztek zagubionych. Oniemiały ołtarze. Ogłuchły ambony. A później, w czasie wojny, każde słowo w tym mieście było policzkowane, oplwane, A przecież... a przecież...

Dzisiaj błądzę wśród ruin chodnikami, przekradającymi się między zburzonymi domami. Czerepy rozbite. Gdzież brunatne koszule? Gdzie okrzyki i pięści grożące światu? Umarł hałas, zdechły krzyki. Pięść odrąbana odpadła i gnije w kałużach krwi.

Nieme ruiny z trudem sobie przypominają ludzką mowę. Chyba cegły w gruzach przemówiły, bo słyszę głos. Czyj? Poznaję. Ksiądz wracający z Dachau idzie obok. Nędzarz w drewniakach z trudem podnosi nogi. Wlecze się skurczony i dech chwyta.

— Gdzie Niemiec stanie, gdzie Niemiec spojrzy, tam okrucieństwo, zniszczenie, mord. Przez pięć lat byliśmy skazani na katusze i śmierć. Uratowani, ach, cudem wyrwani spod stosów trupów, przeznaczonych na spalenie. Miliony trupów na wpół żyjących zaludniały obozy. Kto z nas nie ma wybitych zębów, kto z nas nie poczuł kopnięć i kułaków miażdżących kości, rozdzierających trzewia, łamiących żebra? Raz tylko w ciągu tych lat doznaliśmy współczucia. Księża poszli do codziennej pracy z łopatami i kilofami. Byliśmy utrudzeni, wygłodzeni, wyczerpani chorobami. Ot, szkielety ludzkie dobyte z grobów, mające wypełnić jakąś powinność, może po to, aby resztę dni pokutować za winy świata. Chwili nie wolno spocząć. Wciąż krzyk, przekleństwa zmuszające do pośpiechu. I wtedy zbliżyły się do nas niemki. Nie wiedziały, kto jesteśmy. Niektóre z nich na nasz widok współczuły nam, a jedna staruszka wyrzekła: nie trapcie się. Wkrótce wojna się skończy, opuścicie obóz, pojedziecie do Afryki, osiądziecie na koloniach, będziecie mogli sprowadzić żony i dzieci, bo cała Polska i cała Rosja będą niemieckie. — Wtedy kurczowo zaciskaliśmy kilofy, hamując się, aby nie prać po łbach. Wszyscy chcą nas zmienić w parobków, niewolników, wysługujących się *Herrenvolkowi.*

I ów ksiądz poprowadził mię dalej i ręką wskazał.

— Słyszysz! Mowa polska w kościele. Za jedną noc taka przemiana. Po wyzwoleniu cała ta ziemia przemówiła odwieczną mową. Wiara w zwycięstwo dobrej sprawy ożywiała ten lud piastowski. Widzisz, resztki szyb po to zostały, aby się trzęsły od śpiewów, aby chwytały słonko jak objawienie i błyskały radośnie, daleko, aż ku tamtym wioskom. Niech oświecają, niech budzą.

Bertram, zaciskając na łożu śmierci krzyż, którym druzgotał polskość w pacierzu, konającym z rozpaczy wzrokiem patrzał na ruinę swego dzieła, zburzonego ciosami zwycięskiego oręża.

— Krzyżem nie skruszył pacierza nauczonego przez matkę.

Runęła, przywaliła go budowla, którą z takim trudem, tak opornie budował z nienawiści do Polski w imię Chrystusa, dla Niemców zaprzedanego. W imię jego krzyczał — *ausrotten.*

Dzisiaj ożyły ołtarze, przemówiły ogłuchłe kazalnice. Cud! Cud! Na stopnie ołtarza, po wiekach wygnania, wstąpił pierwszy polski biskup. Niechże jego słowo będzie miłością, niech krzyż w jego rękach będzie orężem prawdy i sprawiedliwości, znakiem ofiary, poświęcenia i ochroną przed krzywdą. A ten lud jest bardzo skrzywdzony. Tutaj skarb bezcenny: człowiek i ziemia. Nie niszczyć, nie karczować, nie wyorywać ziarn, zasianych przez wieki, ale ochraniać i budować życie polskie tam, gdzie wczoraj Niemiec gnębił, niszczył, gdzie władał gwałtem, okrucieństwem. W mowę tego ludu, uratowaną spod przemocy, tchnąć ducha polskiego. A biskup polski wezwie na łan polski duchownych z sercami polskimi, aby ich krew rozlała się po umierających, odrętwiałych żyłach. Spod gruzów wydobywać ostatki, budzić i wskrzeszać miłością i dobrem. Służ przykładem, bądź wzorem. Módlmy się o ludzi prawych, mądrych i silnych sprawiedliwością. A lud śląski wart jest tego, aby mu oddać wszystko, co najlepsze.

III

Dotarłem do znajomych zakątków. Z pamięci wygrzebuję wspomnienia zdarzeń, spotkań, obrazów już spłowiałych, spopielałych i umieszczam na tle tych murów jeszcze przed niedawnym czasem żyjących. Wciąż widzę tamto z przeszłości miasto ludne, barwne, rozdzierane wrzaskiem aut, mknących bez przerwy, bez wytchnienia, żyjące wszystkimi ulicami i na każdym kroku, każdym oknem wystawowym przechwalające się butą, dobrobytem, bogactwem i tym, co można wytworzyć, zdobyć pracowitością, oszczędnością, wysiłkiem mięśni.

Błądzę jak po cmentarzu i nie mogę się pogodzić z obecnym stanem.

— To kara, to kara, za zbrodnie dokonane na ludzkości, za shańbienie człowieczeństwa. Ten naród nigdy nie może się podźwignąć, bo ostatkiem sił zagarnie broń wypadłą ze śmiertelnie zranionej dłoni i konając zada cios światu w serce.

Znowu słychać pojedyncze odgłosy kroków na chodniku. Ujawniła się rozmowa niemiecka, strzęp wyrwany z pustki i struchlały zaraz przepadł. Szukam wzrokiem kogoś żyjącego, aby do niego przemówić z rozpaczą.

— Patrz, oto plon zbrodni.

Przemknęły gdzieś cienie i rozwiały się bez śladu.

Wyłoniła się postać kobiety. To nie żyjący człowiek, ale z murów, spod rumowisk wyniknął duch, upiór tego przeklętego miasta, stworzony na potępienie dawnych czasów. Zgarbiona staruszka zagrodziła drogę, spod łachmanów wyciągnęła wychudłą rękę, rozpostarła dłoń i jakby umierającym głosem żebrze. Nie pozwala przejść. Natarczywie zabiega, czepia się szeptem, szlochem, jękiem i skomli prośby.

— *Meine Tochter ist krank.* Nie mamy co jeść. Chcę pracować. *Ich bin so schwach, ich bin so schwach* — przy tych wyrazach chwieje się, o mało nie upadła.

— Wszędzie taka bieda, że ludzie przewracają się z głodu — ktoś objaśnia.

— Ach, żeby dojść do Odry i tam — wykonała ruch rozpaczny, wyrażający rzucenie się w topiel tej rzeki — tam tyle niemieckiej krwi.

— To zapłata za *heil Hitler* — rąbie bezlitośnie Ślązak.

— Nigdy nie byłam hitlerowcem. Przepowiadałam, że nieszczęście naród spotka.

— Teraz nikt z was nie jest hitlerowcem, dawniej każdy kamień heilował i świat podbijał i sztandary wywieszał.

— Nigdy nie chciałam Hitlera — wymawiała to słowo, jakby usiłowała nagromadzoną gorycz wypluć. — Córka moja też. Córka moja głodna. Córka zawsze mówiła mi, że Hitler sprowadzi zgubę. Córka moja głodna. Dajcie kęs chleba, dajcie mi łyk kawy. Nienauczona pracować, a teraz wszystkich gonią do pracy. Ja nie byłam hitlerowcem, żaden uczciwy Niemiec nie był hitlerowcem. Dajcie kęs chleba — powtarzała jednąko skamlącym głosem — dajcie mi łyk kawy.

— Psiakrew, teraz wszyscy uczciwi Niemcy. Gdzie tacy byli? Nie można się było przecisnąć przez miasto, bo ramiona wyciągnięte zagradzały drogę i wszystko krzyczało w uniesieniu służalczym: *heil Hitler!* Teraz powinniście go powiesić, pasy z niego żywcem drzeć.

— Dlatego, że przegrał wojnę? — staruszka jakby chłośnięta słyszanymi słowami wzdrygnęła się, usiłowała się wyprostować. — Ale gdyby wygrał? — urągliwie wyrzekła i zamilkła. Jakaś nieznana siła ją ugięła, może to wspomnienie córki. Tylko nagły błysk w oczach wyraził całą istotną prawdę, utajoną w jej duszy. Płomień z rozsadzonego pocisku. Znów się zgarbiła, znów zaskomlała:

— *Ich bin schwach.. meine Tochter...* Choć kęs chleba, choć łyk kawy — nędzarka zmienia się, już nie mówi, ale gryzie, szczeka zgrzybiałym głosem, wymiotuje złością, obelgami, miota spojrzenia mściwe, nienawidzące, przeklinające, zaciska wyschłe pięści, jej łachmany, ciało, usta, oczy, ręce stają się pomstą.

— To nie my winni, to on, on, on. Syn piekła. Bóg chciał świat ukarać i jego posłał. Żebym ja z córką tak cierpiała, żebym musiała żebrać, ja, com miała tamtą kamienicę. Bogaczka — bogaczka — dyszała. — Teraz idź na gruzy i płacz.

— A co z synem?

— Syn — wychowany w czci dla wodza przez innych. Ja nie. Gdy córka pierwszy raz przemówiła, to... — uśmiech uszczęśliwienia przejawił się i zaraz zgasł. — Córka chora, ja chora. Zdychamy. Niech cały świat z nami zdechnie. Bóg nas opuścił. Bóg mógł zabić tego łotra w łonie matki. Po co ujrzał światło boże? Przez niego takie nieszczęście. Naród niemiecki we łzach. Dajcie na chleb. Dajcie na łyk kawy... córka... — wyciągnęła rękę ku mnie. I wtedy ta

dłoń z rozczapierzonymi palcami miała coś ze szponów, ćwiartujących ofiarę równocześnie jęczących skargą.

Odsunąłem się. Usiłuję popatrzeć w twarz i przypomnieć sobie choć wyraz amtej, przed laty poznanej kobiety.

— Możeś to ty była tą samą matką, która tam pod drzewem była tak uszczęśliwiona, że jej dziecko jako pierwsze słowa wypowiedziało *heil Hitler!?*

— *Heil...* — kobieta bezwiednie wyprężyła się, usiłowała unieść rękę w hitlerowskim pokłonie. Ramię na mgnienie drętwieje i opada. Pozdrowienie w pół urwane. Przytomnieje. Wyrwała chodaki z bruku. Zrobiła krok pierwszy, drugi. Spieszniejszy. Słyszę człapanie coraz cichsze. Chciałbym poznać wymowę kroków człapiących. Chciałbym wykraść tajemnicę jej oczu. Widzę achman ludzki, wszędzie jednaki i słyszę szept w cegłach zburzonych domów, w szeleście liści.

— *Meine Tochter ist krank... Ich bin... ich bin...*

— To matka najbardziej wojowniczego SS-mana — objaśnia mieszkaniec ego miasta.

— Ale matka...

Może go tam pod gruzami ukrywa, łachmanem osłania, jałmużną go żywi, aby zdobył siły do nowego, ale już mocniejszego uderzenia w samo serce.

Matka nie widzi ręki zbrodniczej syna, bo słyszy szept proszący, jednako brzmiący dla niej w kołysce, jak i pod szubienicą. A gdy syn-zbrodniarz kona, to na jego wargach ostatnie słowo spoczywa pocałunkiem matczynym z niemowlęctwa. Więc nie dziw się.

Dziedziniec cudem ocalony. Kilka drzew pod murem. Resztki liści.

Na kamieniu zabawki. Wygrzebane ze zgorzeliska strzępy blachy miały zastępować naczynia kuchenne. Troje dzieci gotuje ucztę z piasku. Na boku, na rumowisku, stał chłopak zgrabny, ładnie zbudowany. Miał w sobie coś wzlatującego w górę. Rękami wykonywał pełne treści ruchy, jakby lotnik na wyżynach. Zdawało się, że woła:

— Zemsta niemiecka! Bombarduję za to... za to... że... — rzucił w dół odłam cegły na stertę śmieci.

Zobaczył przychodniów. Struchlał. Oczy wlepił w nas. Pozostał z ręką obezwładnioną w ostatnim rzucie. Wargi kilkakrotnie drgnęły, ale nie ujawniły wypowiedzianych słów. Może z zaciekłością powtarzał rozkaz ojca lub matki.

— Musisz milczeć, musisz okazywać posłuszeństwo, ale...

Każdy z nich chowa głęboko tkwiący pocisk, czekając na chwilę, kiedy wolno mu będzie go chwycić i runąć z zagładą. Nawet ostatnią kroplę krwi zmieniliby w bombę, godzącą w Polskę.

A tam przy kamieniu, blada dziewczyna nie zważa na chłopaka, zaprzątnięta swoją pracą. Gotuje w skorupkach, garnuszkach, patyczkiem miesza, kosztuje.

— Muszę się spieszyć, bo mama czeka. Trzeba mamę nakarmić.

Przykuwa mnie tragiczny wyraz jej oczu. Pochylam się, gładzę po włosach. Podaję bułkę. W źrenicach błysk radości. Wargi rozjaśniły się, jakby na nie

padał blask miłości. Wątła rączka wyciąga się, odbiera dar, ale nie podnosi do ust.

— *Mutter auch hungrig.*

— Matka też głodna — powtarzam bezwiednie i bezdźwięcznie. Chciałbym uciszyć biedny głos, chciałbym rozjaśnić oczy tak smutne. Nieszczęśliwe dziecko... Kogo oskarżać za morderstwo szczęścia, za miliony głodnych dzieci na tej ziemi i na całym świecie? Shańbione człowieczeństwo dzisiaj wszystkimi ruinami i grobami przeklina ciebie narodzie niemiecki.

Drugi mniejszy chłopak tłucze patykiem lalkę w ten sam sposób jak matka wymierzająca karę synusiowi, który zbyt wiele napsocił. A więc rozkrzyczanego na kolano, odpowiednie do położenia przegięcie i najmniej winna wypupukłość należycie wystawiona na cięgi. Ostro, twardo, głosem osoby starszej wykrzykiwał.

— Nie wolno mówić inaczej tylko po polsku wobec *Russen und Polen. Mutter* tak kazuje. *Versteht du Lump?*

— Pewnie wobec Polaków szwargoce po niemiecku — śmieje się mój towarzysz, — więc tatulek albo mamulka krnąbrnego urwisza kijem upomina, do posłuszeństwa wzywa, kijem przemawia do rozumu, aby nie zdradzał tajemnic domowych.

Mijałem milczące dzieci, ukryte w cieniu ruin lub na skrawkach słońca ukradkiem prześlizgującego się pomiędzy rumowiskiem. Spotykam blade twarze, oczy smutne i myślę, że już nigdy one nie zaznają radości, już nigdy ich wargi nie złożą się do uśmiechu, bo ich jedyną mową będzie boleść przez wszystkie dni żywota, zrodzonego wśród zbrodni, bo one czują na sobie przekleństwo ludzkości.

Pod murem bez ruchu stojący szereg kobiet, trzymających przedmioty zbytku, kryształy, srebro, aparaty, łyżki, ubrania. Niemym ruchem pokazują, bez słów wzrokiem zachęcają. Czasem cierpienie, a czasem odpychająca złość. Chcą sprzedać, aby kupić ziemniaków, chleba. Nędza na ruinach. Tutaj czekają, a tam w izbach dzieci wołają. Matki widzą wyciągnięte ramiona, słyszą ich głos. Bo głos głodnego jest wszędzie jednaki i wszędzie tak samo poruszający skamieniałe nawet serca.

Wędrowałem długo, zbierając dokumenty przeżyć tego miasta, dawniej żyjącego nienawiścią. Mijałem szeregi drzew.

Powiew, idący z rumowisk trącał je w przelocie i poruszał. Co chwilę drżały, jakby wstrząsane wspomnieniami doznanych przeżyć. Zboczyłem na jezdnię, nie chcąc potrącić leżących liści. Podmuchy przechodziły. Liście odrywały się i spływały z suchym szelestem, jakby płaty krwi wybroczonej z nigdy niezagojonych ran tych nieszczęśliwych drzew.

IV

Z głębi gorejącej barwami alei, niby z rozmiotanych czeluści, wyłoniła się nowa postać. Miałem wrażenie, że ot, stamtąd, okopcony złom, wyrwany z muru przybrał ten kształt, uczłowieczył się i w milczeniu idzie naprzeciw,

aby tamtym ruinom też zmienionym w ludzi wyznać prawdę zniszczenia, grozę nieszczęść, jakie nawiedziły świat. Boć przecież rodzinna miejscowość jest dla jej mieszkańca globem ziemskim, a godziny tutaj spędzone w czasie grozy i pożogi wiecznością, pamięcią nieobjętą, słowem niewypowiedzianą.

Krok zmęczony, ciężki, z trudem odrywający się od pokaleczonych płyt chodnika. Rozległ się łoskot drewniaków i ucichł, wsiąkł w beton. Starszy człowiek, urodzony na kilkanaście lat przed tamtą wojną. Twarz ziemista, bruzdami poorana, wąsem siwiejącym przedzielona. Życie starło z niej ostrość, złagodziło wyraz i jest dziwnie miła. Oczy na nasz widok rozbłysły, może przypomnieniem dumy niemieckiej, przeminionej chwały, leżącej pod gruzami, a może przypomnieniem zemsty, utajonej w głębi duszy też pod gruzami, umiejącej nienawidzieć choćby konającym, ostatnim spojrzeniem. Usunął się na bok. Pragnął zniknąć. Nikomu nie zawadzać. Zjawił się na obliczu, w każdym rysie, ruchu uśmiech przyjazny, pogodny.

Zagadujemy go grzecznie. Prosimy o wyjaśnienie pewnej sprawy, spostrzeżeń i sądów.

Przestraszony odetchnął lżej. Coś spadało z duszy. Głaz. Wargi jednak drobno drżą. Opiłki lęku. Łasząco patrząc, uchyla kapelusza.

Wiąże się rozmowa ze zdań krótkich, treściwych, dotyczących wczoraj i dziś. Pytamy. Słyszymy odpowiedzi już pozbawione bojaźni. Tak rozmawia człowiek z człowiekiem. Uniósł rękę i wskazał.

— Czy to potrzebne? Pęka serce z rozpaczy. Takie bogate miasto... Tyle dobra, gromadzonego przez pokolenia pracą, oszczędnością, uczciwością niemiecką.

— Uczciwością niemiecką — powtórzyłem ostatnie wyrazy od niechcenia, ale podkreślając je wyraźnie.

— Naród słynął z uczciwości do czasu... tak, do czasu... Tyle dobra... Mogło służyć człowiekowi. Wszystko zniszczone.

— Nienawiść niemiecka wywołała tę przeklętą wojnę, pragnienię podboju świata. Krzyczały całe Niemcy „natchniony prorok" „kierownictwo losów naszych w jego rękach", *Sieg-heil — Sieg-heil,* wódz na tysiące lat, na wieczność miał poprowadzić Niemcy do panowania, do podeptania wszystkich ludów kułakiem *Sieg-heil* zadusić ludzkość.

— Tak, tak — kiwał głową nad każdym zdaniem, udając zgodę.

— Każdy okrzyk, wezwanie było odłamem stali, było pociskiem. Przy wtórze sentymentalnych pieśni cały naród kuł czołgi, biblię zmienił na *Mein Kampf* i napełnił brzuchy zemstą. Gdybyście siłę nienawiści zmienili we współpracę nad dźwiganiem człowieka... tobyście... Wyście chcieli każdego powalić, pognębić, zmienić w niewolnika, liżącego buty podkute.

— Ten szaleniec dusze zmienił i podpalił Niemcy. My starsi, wychowani w prostocie obyczajów przestrzegaliśmy, zdawaliśmy sobie sprawę z położenia. Igrał nad przepaścią, napełnioną pożogą.

— I dlatego wdziewaliście brązowe koszule i krzyczeliście *Sieg-heil, Sieg-heil.*

— Nie wszyscy byli zarażeni nienawiścią. Mówiliśmy — skończy się to klęską i nieszczęściem, bo budzimy przeciw sobie cały świat. Nie wolno było prawdy mówić, bó i nam kneblowali usta, bo i nas wpędzali do obozów. Rodzone dziecko donosiło i wskazywało na ojca — to zdrajca narodu niemieckiego. Brat brata oskarżał. Jeden przed drugim milczał. Jęczały uczciwe Niemcy w strasznej niewoli nacjonalizmu zbrodniczego, niszczącego ludzkie pierwiastki w duszy niemieckiej.

— Zadławić chciał Polskę milionem garści niemieckich. Już ją rzucił, już podnosił ramię do ciosu. Każdej garści Hitler dawał siłę, każdemu sercu nienawiść. To był front nienawiści przeciw Słowiańszczyźnie. Przez całą epokę rozlegał się po Niemczech wrzask oszalałej bestii, żądnej krwi.

— Tyle nędzy, tyle nieszczęść przez jednego człowieka. My cierpieliśmy razem z krzywdzonymi. Byliśmy przeciwni w duszy swojej tak wówczas słabej i bezbronnej.

— W głębi duszy... Teraz wszyscy przeciwni, bo wam bagnet zwycięski wykruszył kły, którymiście szarpali ludzkość. A jeszcze niedawno Niemcy szalały.

— Oślepił naród, ogłupił — powtarzał znękanym głosem, jakby odgrzebanym z popiołów, spod zgliszcz — wysłannik piekła. Niech będzie przeklęta pamięć tego największego zbrodniarza ludzkości wszystkich wieków. Zniszczył świat, człowieka i Niemcy, pragnące spokoju, niegdyś będące obrońcami wolności ludów. Najwięcej — my cierpimy za jego winy, które są winą nas wszystkich. On! on...! — wyrzekł to słowo podarte i buchające krwią.

— Tylko on? Z żelaza. Obozy, komory gazowe, krematoria, miliony katowanych w najpotworniejszy sposób, umęczonych, wymordowanych, tysiące wsi spalonych, żywcem zakopanych, to też tylko on?

— Jego rozkaz a Niemcy posłuszni rozkazom. Żelazna dyscyplina.

— Pokuta, cierpienie, skrucha za winy jednego zbrodniarza, który zatruł naród. Jednakże młodzi, mimo klęsk i nieszczęść niczego się nie nauczyli.

— Ja nic nie wiem. Ja nic nie wiem. Gdyby znaleźli się tacy, którzyby gotowali odwet...

— Odwet? — w tym słowie szczęk żelaza dźwięknął i utonął w ranie zadanej.

— To należy wydzierać języki, odrąbywać ręce, rozpruwać żyły i wytoczyć do ostatniej kropli krew zarażoną jego mowami. Niech już nigdy nie dożyjemy drugiego takiego nieszczęścia — spojrzał uważnie w oczy i wyrzekł z namysłem. — Okres Hitlera nieszczęściem wieków. Gwałtem nigdy nie można rządzić dla dobra wolnego człowieka. *Strenge Herren regieren nicht lange...* — echo tych słów spadło wyrwanym gwałtownie kamieniem na gruzy i coś mówiło do obecnych czasów.

Ów Niemiec zniknął. Przepadł niespodziewanie. W powietrzu nie zostało nawet echo łoskotu kroków, zostawionych na chodniku. Może ukrył się pod stertami rumowisk, a może wniknął w mur, stał się nicością, a może milczącą duszą umarłych ruin, z których już nigdy nie odrodzi się życie.

V

Po drodze napotkałem zwał zburzonej kamienicy. Na boku, spod sterty cegieł wyłaniał się posąg, z góry strącony, poszarpany i przygnieciony. Zdawało mi się, że to żywa postać związana i przywalona mocuje się, boryka, chce strącić z siebie stertę i wygrzebać się spod jej ciężaru. Znać szaleńczy wysiłek w mięśniach, w całym ciele.

— Oto dzisiejsze Niemcy. Trzeba zacząć odbudowę dobrobytu, aby móc myśleć o panowaniu nad światem. Choćby miały od wysiłku kości popękać, choćby miały żyły potargać, to się wygrzebią. Ech, inni ze współczuciem przybiegną i lejąc łzy nad Niemcami odkopią nas. Nasz czas się zbliża. Poczekamy cierpliwie. O nasze względy już się ubiegają jak o posażną jedynaczkę, bo mimo wszystko przedstawiamy siłę w pracowitości, dyscyplinie, uczciwości, w wypełnianiu obowiązków. Dla każdego zwycięzcy jesteśmy przedpolem do ataku i dlatego stanowimy ośrodek zainteresowań.

— Polska was zna aż nadto dobrze i już nie dopuści do nowego szaleństwa. Będzie zdzierać z was obłudę, będzie krzyczeć — kłamiecie. Oto zbrodniarze.

— Polska? Po tamtej wojnie nie kto inny, ale właśnie Polska pierwsza, ku oburzeniu innych narodów, przecięła pęta jednej naszej ręki, a później już sami uporaliśmy się z resztą. Och, łatwo poszło i to w krótkim czasie.

— Za to odwdzięczyliście się Polsce iście po niemiecku. Pierwszy cios w Polskę.

— Gdy idzie o panowanie nasze, to nie ma przysiąg i przyjaciół.

Zadrżał przerażony świat od przygotowań. Rok 1939 nigdy się nie powtórzy.

— Trzeba mieć mądrość nawet w służalstwie i pod jego osłoną kształtować i budować to, co się zamierza. Tak i teraz. Niemiec nie wie, co to lenistwo i umie pracować, wypełniając obowiązek wobec narodu i państwa. Wierzy swoim mięśniom, ale też swoim zdolnościom rządzenia i panowania. Od tych gruzów prowadzi droga daleka. Dyscyplina i karność w pokorze, dyscyplina i karność w pokucie, dyscyplina i karność w upodleniu, dyscyplina i karność w pracy nad podźwignięciem dobrobytu i uzyskaniem mocy potrzebnej do zwycięstwa. Byleby teraz chleb mieć. Zdrowe ramię sięgnie daleko. Geniusz niemiecki jest zdobywczy i zawsze zwykł służyć narodowi wedle jego potrzeb i wedle swoich sił. Jeżeli zajdzie potrzeba, to będzie pazurem rozdzierającym pierś ludzkości, aby chłeptać krew, gdy zajdzie potrzeba, to zaciśnie w palcach różaniec i będzie przewracał oczami nabożnie i będzie szeptał modlitwy o przebaczeniu, pokorze.

— Ludzkość? Człowieczeństwo?

— Co to jest ludzkość? Co to jest człowieczeństwo? Gdy słyszę te dwa wyrazy, to za przykładem wodza wyciągam rewolwer i szukam tego, który je głosi, bo wiem, że one mają służyć do oszukiwania.

— Przebaczenie? rycerskość? pokora?

— Owszem, nieraz trzeba użyć ich do propagandy. Przebrzmiałe, puste słowa, niezrozumiałe dla duszy niemieckiej. Mogą je głosić narody gnijące w cierpieniu, mające jedynie łzy jako obronę i nadstawiające lewy policzek, gdy ktoś

wymierzył w prawy. Ich symbolem bezsilny Chrystus rozpięty na krzyżu, mający w rękach i nogach gwoździe, na czole koronę cierniową, wtłoczoną przez człowieka, którego chciał zbawić przez męczeńską śmierć, mający na wargach wyrazy zbroczone krwią, rzucane daremnie w przestrzeń wieków.

— Miłuj nieprzyjacioły twoje...

— My zdzieramy korony cierniowe z dumnych naszych czół, zrywamy ręce, przybite do krzyża dzisiejszych czasów, chwytamy bombę, aby znowu być w pogotowiu. — Na kolana! — Niech słabe lub zdegenerowane w ewangelii narody preparują na swój zabójczy użytek narkotyki ewangeliczne, my naród mocny, maszerujący wciąż do ostatecznego zwycięstwa, śpiewamy nieśmiertelne — *Deutschland, Deutschland über alles.* — W nas niewyczerpane zasoby energii, nawet po klęsce, nawet pod butem dzisiejszego losu. Wyzwolimy ją i jej twórczą mocą wprzęgniemy całą ludzkość w kierat niemiecki. Ujarzmimy narody, które zechcemy i rzucimy na szlaki swego pochodu, aby nam służyły i pracowały na własną zgubę.

— Hitler! Zawsze Hitler!

— Jeżeli nie żyje, to jego siła potężniejsza po śmierci, niż za życia. Budzicielska i burzycielska. Hitler teraz zmienił się w legendę — jako owoc wieków — i zamieszkał między nami w każdym domu, choćby przeklinającym, jęczącym, okrytym żałobą, ale z utęsknieniem czekającym na to, co się ma stać. Wierzymy niezachwianie, że zrodzi się spadkobierca jego rozkazów, który zjednoczy wszystkich i poprowadzi do ostatecznej walki o wielkość narodu. Przez wytępienie ciurów, nędzarzy, przez uprzątnięcie robactwa, zagnieżdżonego na chorym ciele Europy, zdobędziemy potrzebną przestrzeń życiową, jaką nam wykreślił geniuszem i wyznaczył orężem nieśmiertelny nasz wódz. Bezwzględność w działaniu jest naszą bronią. Jeszcze świat zadrży od łoskotu maszerujących kroków, bo w nas potęga niszczycielska dla budowania potęgi Niemiec. Zabijać innych, aby żyć, cudzą krwią użyźniać, aby chleb rodził się dla nas. Przegraliśmy, bo jeszcze duch dawnych czasów kaził nasze czyny i zadrżała ręka, kiedy mieliśmy zadać ostateczny cios. Zdrada i przekupstwo. Już nigdy nasza ręka nie zadrży. Zapanujemy nad światem na miliony lat. Przez zagładę ludzkości do ostatecznego zwycięstwa niemieckiego.

— Ktoś ty?

— Jam przedstawiciel współczesnych, pokonanych Niemiec, mieszkających w ruinach.

— Nie będzie spokoju, póki jedna kropla dzisiejszej krwi niemieckiej pulsuje na tej ziemi, przeklętej krokami waszymi — wołam do kogoś.

Otoczyły mnie ruiny. Z góry runął odłam muru strącony nieznaną siłą, jakby ściana targnięta wspomnieniami grozy otrząsnęła go z siebie.

— Cóż my? — pytałem pustki.

Stanąłem. Na kawałku muru zburzonej kamienicy wisiały dwa afisze przez kogoś przylepione. Dzisiaj oba w strzępach. Wiatr przelatujący tędy przez wszystkie godziny chciał je zerwać. Szamotał się, mozolił od dawna, uparcie, długo i daremnie, wszczynając każdym podmuchem suchy, donośny szelest papieru.

PRZEMYSŁ ŚLĄSKO-DĄBROWSKI ODBUDUJE WARSZAWĘ

a obok:

NAGRODŹ ŻOŁNIERZA ZA TYLE TRUDU
ON WZIĄŁ WARSZAWĘ, TY JĄ ODBUDUJ.

Drzewo, rosnące opodal, szarpnięte gwałtownie pochyliło się, wyciągało ko-
ary i resztką liści szeleściło, co robiło wrażenie, że to żyjąca postać dziesiąt-
ami rąk chce zedrzeć te dwa wezwania.

— Wśród zburzonych domów, wśród nędzy wołania do ruin i głodnych.

Z ruin wyplątał się zaprząg, rzadko tutaj spotykany. Po kamieniach głośno
ozlegał się łoskot kół. Skądś wyjechał, dokądś podążał opustoszałą ulicą.

— Wóz repatrianta — wyrzekł towarzysz. — Poszukiwacze złota.

— Tułacze.

Chłop kroczący statecznie dzierży lejce i bat. Na drabiniaku graty, a mię-
zy nimi toboły i dzieci, zawinięte w chustki. Resztki dobytku zabranego na
yprawę po ziemię darzącą chlebem, po życie.

Chwieje się przywiązana chorągiewka biało-czerwona, zziębnięta, zbrudzo-
a jak ptak, zrywający się do lotu i wiecznie trzepotający skrzydłami. Za wo-
em krowa. Kobieta poganiająca kijem.

— Krasula, krasula.

Dziewczyna trzymająca się spódnicy pociąga nosem, dziarsko zadziera gło-
ę i pyta.

— Mamo, daleko to jesce do tego raju? Już mnie nożyska bolą, że ledwo
dę i ledwo dychom. Ale pódę. Nie ustąpię, choćby na kolanach.

— Niedaleko. Już tyle światów przewędrowaliśmy, to...

— Dokąd? — zagadnąłem.

— Na osadę.

— Skąd?

— Z daleka — zatoczyła szeroki krąg ręką i spojrzała w bezbrzeżną prze-
rzeń jutra smutnym wzrokiem, jakim na pewno pożegnała ojcowiznę, porzu-
ając ją na zawsze. Chociaż w źrenicach błysk, nadzieja. — Może Pan Jezus
lituje się i... Będę się modliła co dnia...

— Nie wiele wieziecie.

— A nie wiele. Na co nas stać. Całe życie trzeba się dorabiać... Umordowani
esteśmy tym wszystkim, co nas spotyka. Z pomocą boską przetrzymamy. Żeby
no dopaść ziemi i wróść w nią rękami i sercem, toby nas stąd już nikt nie wy-
arł.

— Od waszej siły, od waszej pracy zależy przyszłość Polski — wyrzekłem
patosem.

— Co mówicie panie? co? Bo ja wąszej mowy nijak nie mogę wyrozumieć.
Tyle tutaj ziemi nieobrobionej, nieobsianej. Grzech, żeby się tak marnowała.
Czego mądrzy ludzie nie podzielą gruntu, żeby wszyscy ją obrabiali — zadu-
hała się, patrząc mi w oczy. — Wciąż się trapie i nieraz od myślenia to gło-
a mi pęka.

— Czym się tak trapicie matko?

— Chyba nas stąd Niemcy nie wydrą i nie wyścigają... Przecie my się tutaj przydamy, przecież my na chleb zarobimy. Do pracy i do biedy przyzwyczajeni jesteśmy, to się ich nie boimy. Ino żeby już na zawsze zostać, choćby przyszło ręce urobić po łokcie.

— Pługiem też można granice wytyczyć.

Tej bogatej ziemi daliśmy afisz i nędzę bez ochrony, bez opieki. I coś więcej jeszcze. Bezkarna nikczemność niegodnych synów, hańbiących imię, pozganiana ze wszystkich krańców. A tutaj trzeba obwarowywać granice murem z rąk wybranych, z piersi twardych, z charakterów niezłomnych, jednostek twórczych, będących przykładem pracowitości, wypełniających obowiązki i świadomych zadań, ciążących na każdym z nich. Wbić miecz polski i w cieniu jego budować życie wysiłkiem całego narodu.

Budujemy nieraz o głodzie na ruinach i zgliszczach. Spójrzmy na przestrzeń ostatniego roku, przypomnijmy sobie obraz zniszczenia powojennego i porównajmy ze stanem dzisiejszym. Śląsk każdą piędzią stwierdza to, co sprawił wysiłek syna tej nieszczęśliwej, a tak bogatej ziemi. Niemal z nicości dźwignął przemysł, z martwych wskrzesił i pracą ponadludzką ożywił kopalnie i huty. Nieraz mam wrażenie, że przy maszynach to nie transmisyjne pasy, ale żywe żyły i mięśnie górnika i hutnika, że to nie ogień w piecach, ale płonąca krew, wytoczona z żył tego ludu pracującego dla powszechnego dobra. To trzeba z uznaniem i dumą podkreślić. Nie wolno niczego zaniedbać, nie wolno jednej godziny zmarnować mając na uwadze grozę niemieckiego niebezpieczeństwa, gotującego pracowitością, oszczędnością i nienawiścią odwet za klęskę. Wciąż mobilizować mięśnie, umysły, mózgi i charaktery w budowaniu Polski wznoszonej na podwalinach najlepszych pierwiastków serc i ducha. Zagrodzić drogę Niemcom pragnącym rozerwać obwarowania, aby wreszcie wymierzyć cios w nasze serce. Dziełami, poczętymi z pracy myśli twórczej wytrącimy zbójecki nóż z mściwych rąk ogarniętych żądzą mordu. Dlatego też na ziemie odzyskane wysłać najrzetelniejszych, najgorliwszych pracowników.

To wezwanie należałoby powtarzać wszędzie, codziennie, niechby jego słowa zmieniły się w kamienie i kule, spadające na złoczyńców hańbiących imię Ojczyzny, podrywających jej moc. Nie ma tak surowej kary, której nie należałoby zastosować wobec nich. Niechby kary zmieniły się w topory i sznury wisielcze, któreby zrąbały łajdactwo, zadławiły zbrodniarzy, niszczących polskość tych ziem, mogących być dobrem, potęgą Polski a będących przedmurzem Słowiańszczyzny, a może piersią, biorącą najboleśniejsze ciosy wymierzone w ludzkość przez krwiożercze ręce niemieckie.

Wciąż, niezmordowanie światu okazywać, że te ziemie, zamieszkałe od prawieków przez żywioł polski, są polskie w każdym ziarnku piasku, w każdym pulsie serca, że Polacy, mimo prześladowań, uratowali mowę ojców. Nie wolno jednej wartościowej duszy zmarnować, ale każdą przygarnąć i opieką otoczyć. Kto lud ziem odzyskanych nazywa Niemcami — jest wrogiem Polski, ten idzie za podszeptem zbrodniczej propagandy niemieckiej. A ileż jest takich wrogów

przecinających tętnice, aby się daremnie wylewała krew polska. Narzędziem propagandy niemieckiej są wszyscy, którzy przychodzą na te ziemie nie z ideą, ale z chciwością i gwałtem. Gdzie znajdziemy choćby jedną kroplę krwi szczerze polskiej, to jest nadzieja, że ta kiedyś stanie się pożyteczną dla Polski. Więc należy mądrze jej szukać i troskliwie ochraniać. Nic tak nie boli, jak krzywda niezasłużona kara. Nie rozdzierać zadanych przez Niemców ran, nie lżyć ale leczyć, ale koić, zabliźniać i tamować krew, bo to krew spod serca Matki.

Gdy myślę o ziemiach wyzwolonych, o zadaniach i obowiązkach nas czekających, przychodzą na pamięć słowa Żeromskiego: „Nie przynosimy zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy krzywdy, przynosimy dobro i pracę, aby uczynić z naszej wolności skarb bez ceny".

Wiara w przyszłość i w moc narodu. I tę wiarę ucieleśniać w czynach dźwigających Polskę i pomnażających ją dla wszystkich. Gruntować uczciwość w życiu, wierzyć w nieśmiertelne dobro duszy polskiej. O tej prostej prawdzie musimy pamiętać w każdym czynie, niesionym na ziemie zachodnie, wyzwolone spod gwałtu germańskiego, a zdobywane dla przyszłości rozumem i sercem.

JÓZEF FELDMAN

ROZKŁAD KULTURY MIESZCZAŃSKIEJ

Niniejsza praca powstała w Warszawie w czerwcu 1944 r. dla konspiracyjnego czasopisma „Zagadnienia kultury". Odtwarzając dziś zaginiony w czasie powstania tekst stwierdziłem, że dokonane w międzyczasie olbrzymie przeobrażenia w stosunkach europejskich potwierdziły w zupełności główne tezy napisanej przed blisko dwoma laty rozprawy, wskutek czego nie zaszła potrzeba modyfikacji zasadniczego toku poprzednich moich wywodów.

I

Wiek XIX był w znacznej części Europy okresem panowania klasy mieszczańskiej. Zwycięstwo kapitału ruchomego nad rentą gruntową, proces forsownej industrializacji i urbanizacji, rozwój handlu w skali światowej, wreszcie szereg przeobrażeń w życiu państwowym oddały w jej ręce przewagę polityczną i gospodarczą, co zaś za tym idzie — prymat w życiu kulturalnym. Jak wieki średnie pozostawały pod znakiem supremacji duchowej Kościoła, w czasach zaś nowożytnych nosicielami kultury byli absolutni monarchowie, arystokracja i szlachta, tak wiek XIX jest typową epoką kultury mieszczańskiej. Nie kusząc się o szczegółową jej charakterystykę, pragniemy w tym miejscu nakreślić rysy zasadnicze, które stanowią o odrębnym jej obliczu.

Podstawą, na której opierał się gmach kultury mieszczańskiej, był światopogląd racjonalistyczny. Dla poparcia swych dążeń do odegrania kierowniczej roli w życiu publicznym nie mogło się mieszczaństwo powołać na autorytet nadprzyrodzony, jak Kościół, na prawo z Bożej łaski, jak monarchowie, na wiekową tradycję, jak możnowładztwo i szlachta. W walce z tymi czynnikami sięgnęło przeto do rozumu. Racjonalistyczny pogląd na świat i życie był narzędziem, przy którego pomocy kruszyła klasa mieszczańska absolutyzm monarszy, przywileje warstw wyższych, przeżytki ustroju feudalnego. Obraz świata, zbudowany przez Newtona, stał się równie skutecznym orężem walki przeciw dawnemu porządkowi, jak teoria umowy społecznej, oraz wystąpienia polemiczne Voltaire'a i Sieyès'a.

Dzięki mieszczaństwu odbył racjonalizm tryumfalny ingres również w dziedzinie gospodarstwa. Jednym z założeń kapitalizmu, począwszy od średnio-

wiecznych jego zawiązków, było przetworzenie człowieka, pozostającego pod władzą instynktu i namiętności, w istotę zdyscyplinowaną intelektem, nastawioną świadomie na osiągnięcie z operacyj gospodarczych najwyższego zysku. Drugim rysem gospodarki kapitalistycznej, noszącym piętno racjonalizmu, było zastąpienie przestarzałych metod produkcji, obarczonej brzemieniem wiekowych nieraz tradycyj przez system na wskróś zracjonalizowany, obliczony na osiągnięcie największej rentowności. Ten racjonalistyczny duch kapitalizmu, który zerwał z religią i tradycją, względami na równowagę układu społecznego i prawa jednostki, nadał mu właśnie ów charakter rewolucyjny, burzycielski, zarazem zaś twórczy.

Wpływ racjonalizmu mieszczańskiego nie ograniczył się do przeobrażenia państwa, społeczeństwa i gospodarki. Sięgnął on w głąb struktury duchowej ludzkości. Co charakteryzuje psychikę człowieka średniowiecznego, to poczucie zależności od wyższych, niezbadanych sił, wiara w ich interwencję w życiu codziennym w formie cudów, ślepe przywiązanie do ustalonych wiekową tradycją form myślenia i bytowania. Rozwój nauk przyrodniczych i myślenia racjonalistycznego wzmógł niezmiernie zaufanie człowieka we własne siły, kazał mu rozpatrywać wszechświat jako nieprzerwany łańcuch przyczyn i skutków, które człowiek zdolny jest poznać i opanować. Najpotężniejszy zryw bojowy mieszczaństwa, jakim była Wielka Rewolucja, oznaczał całkowite zerwanie z dotychczasowymi metodami myślenia i działania zarówno w dziedzinie politycznej i gospodarczej, jak zwłaszcza w sferze wychowawczej i kulturalnej. Twórcy nowego porządku nie tylko zastąpili przestarzały podział terytorialny Francji geometrycznie wykrojonymi departamentami, ale zmierzali do ukształtowania nowego typu człowieka, wyzwolonego z pęt autorytetów, tradycyj, zabobonów, rządzącego się światłem przyrodzonego rozumu. Program ten przekazało Oświecenie i Rewolucja wiekowi XIX.

Nie tylko przeciw uświęconym tradycjom i autorytetom prowadziło bój mieszczaństwo. Wrogiem jego było również państwo *ancien régime'u*, oparte na absolutyzmie panującego i wszechwładzy biurokracji, ucisku rządów policyjnych, systemie nakazów, prohibicyj i regulaminów. Ideałem świata mieszczańskiego stała się wolność jednostki w życiu publicznym, swoboda działania w sferze ekonomicznej. Skrajny wyraz znalazła ta tendencja w dobie Rewolucji Francuskiej. Zwycięskie mieszczaństwo zdruzgotało centralistyczny system monarchii Ludwików, stawiając w to miejsce „anarchię administracyjną", jak nazwał reformy konstytuanty radykał mieszczański Aulard, i z energią oraz konsekwencją wzięło się do wyzwolenia jednostki z krępujących ją węzłów absolutyzmu, przynależności stanowej i korporacyjnej, gospodarki merkantylistycznej, na koniec zaś — tradycyjnej moralności i religii objawionej. Wyrazem skrajnie indywidualistycznych zapatrywań ówczesnej burżuazjii francuskiej pozostanie słynna ustawa, zabraniająca robotnikom tworzenia związków zawodowych. W pewnej mierze doszedł tu do głosu interes klasowy zwycięskiego mieszczaństwa, przede wszystkim jednak lęk przed odrodzeniem się ducha korpora-

cyjnego, który znów gotów wziąć w swe pęta jednostkę. Ów indywidualistyczny liberalizm stał się drugim składnikiem dziewiętnastowiecznej kultury mieszczańskiej. Ideałem jego było państwo słabe, o ograniczonym zasięgu działania, pozostawiające jednostce nieskrępowaną możność samodzielnego występowania w życiu politycznym, a zwłaszcza gospodarczym. Podwaliny położył twórca ekonomii klasycznej Adam Smith, w którego pojęciu kompetencja państwa sprowadzała się do obrony kraju, wymiaru sprawiedliwości, organizowania pewnych robót i instytucyj społecznych, którym nie podoła inicjatywa prywatna. Najwybitniejszy mąż stanu w obozie mieszczańskiego liberalizmu, Gladstone, wyszedłszy z ciasnego świata ortodoksji wyznaniowej i konserwatyzmu politycznego, wyrósł na szermierza szeroko pojętej swobody w dziedzinie stosunków religijnych, oświatowych, narodowościowych. Jeszcze dalej szli w tym kierunku przywódcy szkoły manchesterskiej, Cobden i Bright. Walka przeciw protekcjonizmowi celnemu W. Brytanii stanowiła u nich cząstkę rozleglejszego programu, zmierzającego w ostatecznych konsekwencjach do usunięcia wszystkich urządzeń państwowych, kładących tamę swobodnemu rozwojowi jednostki. Ekstremistyczne wcielenie znalazła ta doktryna w dziedzinie czynnej polityki w słynnym przywódcy postępowców niemieckich, Eugeniuszu Richterze, w sferze teoryj w Herbercie Spencerze, dla których państwo było przeciwnikiem, zasługującym na pozbawienie jakichkolwiek atrybutów władzy.

Liberalizm burżuazyjny łączył się najściślej z innym podstawowym założeniem światopoglądu mieszczańskiego. Był nim pacyfizm i wiara w międzynarodową współpracę narodów. Klasa społeczna, której ideałem życiowym było tworzenie bogactw i swobodna ich wymiana, musiała być żywiołowo wroga rycersko-wojowniczym tradycjom wieków minionych. Apostoł mieszczańskiego radykalizmu Bentham wyprzedził Wilsona sformułowaniem czternastu punktów, zawierających przeważną część wskazań, z jakimi wystąpić miał w przyszłości wielki ideolog amerykański. Cobden dał wyraz przekonaniu, że „pragnienia i motywy posiadania wielkich i potężnych państw, olbrzymich wojsk i wielkich okrętów znikną z chwilą, gdy ludzie staną się jedną rodziną i będą swobodnie i po bratersku wymieniać między sobą owoce swojej pracy". Polityka W. Brytanii przeżywała w połowie XIX w. moment całkowitego odwrotu od zadawnionych tradycyj ekspansji kolonialnej. W posiadłościach zamorskich upatrywano źródło kłopotów i ciężarów, bez śladu niezadowolenia rozważano też widoki rychłego ich usamodzielnienia się. Trudno o przykład bardziej pacyfistycznej polityki jak ta, którą prowadziła monarchia lipcowa. Gdy w r. 1860 doszło do zawarcia układu handlowego między W. Brytanią a Francją na zasadach wolnej wymiany, zdawało się Europie, że wstępuje w nowy okres dziejów. Jeżeli atmosferę tę zakłócał od czasu do czasu szczęk oręża, to nie wątpiono, że jest to epizod przejściowy, linią zaś przewodnią dziejów będzie bogacenie się, swobodny handel, rozbudowywanie instytucyj liberalnych w atmosferze międzynarodowego pokoju i zrozumienia wspólnych interesów.

Czwartym wreszcie zwornikiem gmachu kultury mieszczańskiej był jej uty-

itaryzm. Nie miejsce tu wchodzić w poszczególne jego odcienie: od przyziemnych wskazań Guizota, który, sławiąc zdrowy rozsądek i niestrudzoną pracowitość warstwy średniej, otwierał do niej dostęp każdemu dorobkiewiczowi, poprzez utylitaryzm indywidualny Benthama, zalecającego jako ideał „największą szczęśliwość największej liczby ludzi", aż do utylitaryzmu społecznego Johna Stuarta Milla. Ważnym jest tu rys wspólny, łączący wszystkie e odgałęzienia w jedną całość. Wspólność owa polega na jaskrawym odcięciu ię od tego, co głosiła przeszłość. Światopogląd chrześcijański oparty był na założeniach absolutnych i przesłankach metafizycznych. W dobie kultury dworskiej czasów nowożytnych ideałem była wierność monarsze i heroizm na polu walki. Utylitaryzm mieszczański jest natomiast wytworem klasy, która zdobywszy panowanie dzięki swej działalności gospodarczej, za najwyższe cnoty uznawała pracowitość, przezorność, oszczędność, przede wszystkim zaś ak charakterystyczną dla niej przedsiębiorczość i każdą sprawę rozpatrywała pod kątem jej doczesnej użyteczności. Nie oznacza to, jakoby w duszy mieszczanina, obok interesów, nie było miejsca na bardziej idealne aspiracje. Okres kultury mieszczańskiej zaznaczył się utwierdzeniem swobód osobistych i publicznych, zapewnieniem wolności sumienia i równouprawnienia wyznań, złagodzeniem prawodawstwa karnego, walką przeciw karze śmierci, ekscesom militaryzmu, wyrzynaniu narodów. Wszystko to jednak ujmowane było pod kątem widzenia diametralnie różnym od tego, który reprezentowała w wiekach minionych Europa chrześcijańska, feodalna, monarchiczna, rycerska. Warstwa społeczna, żyjąca z zajęć praktycznych, stworzyła system moralny, którego najwyższym kryterium była użyteczność.

II

Utrzymywanie się pewnego typu kultury na przodującym w danej epoce stanowisku nie jest dziełem przypadku, ani prostym wypływem przewagi politycznej i gospodarczej klasy społecznej, która jest jego twórcą i nosicielem. Wchodzi tu w grę nierównie bardziej skomplikowany splot wzajemnych związków i zależności. Wybicie się, następnie zaś panowanie kultury mieszczańskiej w Europie zachodniej, częściowo środkowej, uwarunkowane było szeregiem czynników, z których najważniejsze postaramy się tu uwydatnić.

Mieszczaństwo dorwało się władzy w walce z potęgami świata feodalnego. Zarazem jednak wyrastał przed nim drugi antagonista — klasa robotnicza, od której oddzielała świat mieszczański przepaść wierzeń i interesów. Toteż warunkiem dojścia, następnie utrzymania się warstwy mieszczańskiej przy rządach było początkowo przymierze z robotnikami przeciw tronom i arystokracji. Tak istotnie wyglądały sprawy przez całą pierwszą połowę XIX w. Poczucie wspólnych interesów politycznych okazało się silniejsze od przeciwieństw klasowych. Gdy deputowani mieszczańscy w Stanach Generalnych zmagali się z dworem, lud paryski przyszedł im z pomocą zdobywając Bastylię. W sławnych dniach lipcowych 1830 roku przemysłowcy paryscy za-

mykali fabryki, by umożliwić robotnikom pójście na barykady. Późniejszą o dwa lata reformę wyborczą do parlamentu angielskiego wywalczyło mieszczaństwo w ścisłym współdziałaniu z klasą robotniczą. Dalszym ciągiem sojuszu radykalizmu mieszczańskiego z ruchem proletariackim był ruch czartystowski. W początkach Wiosny Ludów mieszczaństwo i robotnicy ręka w rękę walczyli przeciw tronom na ulicach Paryża, Wiednia, Berlina. Przymierze burżuazji z proletariatem miało dla niej podwójne znaczenie. Stwarzając potężne zaplecze bojowe było ono zarazem rękojmią, że kultura mieszczańska stanowić będzie w dalszym ciągu jeżeli nie awangardę, to przynajmniej część składową walki postępu przeciw siłom wstecznictwa.

Powstanie, następnie zaś utrwalenie się upragnionego przez mieszczaństwo państwa liberalnego, wymagało dwóch rzeczy: aby państwo tego typu zdolne było sprostać zadaniom, jakie nakładała na nie epoka i aby idea liberalna miała moc rozpłomieniania umysłów w szerokich warstwach społeczeństwa. Wiek XIX aż do końca lat sześćdziesiątych czynił zadość obu tym wymaganiom. Obowiązki, jakie wzięło na swe barki ówczesne państwo, były ograniczone. Poza polityką zagraniczną, administracją i wymiarem sprawiedliwości należała tu ciasno pojęta opieka nad interesami gospodarczymi warstw posiadających, szkolnictwo z głównym naciskiem na zakłady wyższe i średnie a skromnym datkiem na rzecz oświaty ludowej, trochę działalności w dziedzinie robót publicznych, trochę w dobroczynności, trochę w zakresie kultury — i na tym koniec. Więcej od państwa nie potrzebowano i nie żądano. Powszechnie uznanym dogmatem było wszak działanie praw naturalnych rozwoju, których państwo nie powinno krępować swą ingerencją. Dość wskazać, że w W. Brytanii dopiero w r. 1833 rząd udzielił pierwszej skromnej subwencji na szkolnictwo powszechne, znajdujące się dotąd wyłącznie w rękach prywatnych. W tym samym czasie Guizot rozpoczął interesować się tą sprawą we Francji. Podobny stan rzeczy panował w dziedzinie stosunków społecznych. Rewolucja przemysłowa z jej katastrofalnymi dla klasy robotniczej konsekwencjami wymagała niewątpliwie interwencji, atoli świadomość tego posiadała garstka najbardziej zaawansowanych reformatorów. Ogół daleki był od zrozumienia obowiązków socjalnych państwa. Przodująca na drodze uprzemysłowienia i ruchu robotniczego W. Brytania nie wychodziła poza skromniutkie zawiązki ustawodawstwa pracy. Uwagę ogółu pochłaniało wówczas co innego. Walczono o udział społeczeństwa w rządach, o uprawnienia władzy prawodawczej wobec tronu, o swobodę sumienia, wolność słowa i druku. Liberalizm przeżywał swój okres bohaterski. Po urzeczywistnieniu jego zasad oczekiwało mieszczaństwo pełni wszechwładzy na gruzach dawnego ustroju, robotnicy polepszenia swej sytuacji życiowej, narody, rozdarte i uciemiężone — wolności i zjednoczenia. Nic dziwnego, że w okresie tym pod sztandar idei liberalnej garnęły się żywioły gorące i entuzjastyczne. Wyznawcami jej była nie tylko dorabiająca się burżuazja, ale ludzie pióra, młodzież uniwersytecka, karbonariusze i dekabryści. Liberalizm posiadał wówczas w swych szeregach wielkich oratorów i uczonych teoretyków, bojowników i męczenników.

Jednym z dogmatów światopoglądu mieszczańskiego był pacyfizm i solidarność międzynarodowa. Ówczesny kapitalizm nastrojony był na nutę wybitnie pokojową. Nie zwalczanie się, ale współpraca państw i narodów figurowały w jego programie. Otóż w owej epoce rzeczywistość polityczna i gospodarcza odpowiadała niezgorzej teoriom mieszczańskich polityków i ekonomistów. Narody europejskie, budząc się do stanu samowiedzy, mocniej odczuwały to, co je łączy, od tego, co dzieli. Momenty takie, jak ostre napięcie między Niemcami a Francją w r. 1840, były czymś wyjątkowym. Typowe dla epoki są zjawiska takie, jak powszechny entuzjazm dla sprawy greckiej, gorące przyjęcie emigrantów polskich po r. 1831, gościna udzielona przez W. Brytanię uchodźcom politycznym różnych narodów. Atmosfera nasycona była hasłami solidarności ludów przeciw despotom. Również dziedzina gospodarcza nie nastręczała jeszcze pola do poważniejszych konfliktów międzynarodowych. Wszystkie kraje kontynentu, nie wyłączając Francji i Belgii, znajdowały się dopiero u progu rozwoju wielkoprzemysłowego. W dziedzinie kolonialnej zajmowała W. Brytania stanowisko niemal monopolistyczne. Nie było jeszcze walki o źródła surowców, rynki zbytu, miejsce pod słońcem W tych warunkach ideały Adama Smitha czy Jeremiasza Benthama mogły się wydawać bliskie urzeczywistnienia.

Odpowiednikiem kultury mieszczańskiej w dziedzinie stosunków ekonomicznych był kapitalizm. Już w początkowych stadiach rozwoju ujawnił on niektóre najistotniejsze swe rysy: wyzysk robotnika, pracę kobiet i dzieci, niszczenie ludzkiej treści życia jednostki, wprzęganie jej w mechaniczną służbę maszyny. Wśród jednostek głębiej patrzących czy żywiej czujących odzywały się głosy krytyki, rodziły projekty reformatorskie. Wystarczy wskazać na terenie samej tylko Francji nazwiska Sismondiego, Proudhona, Fouriera, Micheleta, Cournota. W sumie jednak biorąc, nie był kapitalizm owej epoki w oczach opinii publicznej zjawiskiem tak odrażającym, jakim stał się w czasach późniejszych. Upatrywano w nim źródło bogactw, czynnik postępu. Podobne mniemanie przeważało nie tylko wśród ekonomistów mieszczańskich, ale reprezentowane było również na skrajnej lewicy społecznej. Saintsimoniści byli prekursorami myśli socjalistycznej, zarazem jednak natchnionymi piewcami industrializmu, bojownikami zdobywczego pędu mieszczaństwa w jego dobie heroicznej, zwiastunami racjonalizacji przemysłu i naukowej organizacji pracy. Spośród ich szeregów wyszli wybitni finansiści, bankierzy, promotorzy rozbudowy kolei, przebicia kanału Sueskiego, *Crédit Foncier*. Odblask podziwu dla gigantycznych dokonań kapitalizmu padł nawet na karty „Manifestu komunistycznego" Marksa i Engelsa. Wielu czołowych mężów obozu liberalnego należało do elity kapitalistycznego mieszczaństwa. Przywódca „partii ruchu" we Francji, Lafitte, był bankierem, najwybitniejszy przedstawiciel radykalnej szkoły manchesterskiej Cobden, zamożnym przemysłowcem, chorążowie liberalizmu niemieckiego, Hansemann i Mevissen, przedsiębiorcami kolejowymi. Cavour zapisał się w historii nie tylko jako szermierz haseł wolnościowych i zjednoczyciel narodu, ale też jako jeden z najznaczniejszych

reprezentantów gospodarki kapitalistycznej, pełen przedsiębiorczości i inicjatywy pomnożyciel bogactwa narodowego i osobistego. To pozytywne na ogół nastawienie opinii publicznej względem kapitalizmu sprawiało, że nie tylko nie obciążał on kultury mieszczańskiej, ale dodawał jej pewnego splendoru.

A wreszcie główny filar, na którym opierała się kultura mieszczańska — światopogląd racjonalistyczny. Otóż wiek XIX nierównie ściślej związany był pod tym względem z poprzedzającą go dobą Oświecenia, aniżeli z kłębiącym się od wszelkiego rodzaju irracjonalizmów i dynamizmów wiekiem XX. Olbrzymi rozkwit badań historycznych i nauk przyrodniczych zdawał się otwierać przed wiedzą bezkresne widnokręgi. Zastosowanie wyników nauki do życia praktycznego stanowiło żywe świadectwo, do jakich osiągnięć dojść może człowiek, kierując się rozumem i doświadczeniem. Zarówno metafizyk Hegel jak pozytywista Comte sławili rozum jako czynnik, w którym realizuje się postęp świata. W promieniu oddziaływania dwóch najwpływowszych myślicieli stulecia krzewił się bujny ruch umysłowy, którego przedstawiciele o świetnych nieraz nazwiskach rozsnuwali promienny obraz ustawicznego pochodu ludzkości ku coraz wspanialszym przeznaczeniom. Wiara we wszechmoc rozumu i nauki łączyła ludzi o różnorodnym nieraz obliczu. Wyznawcy pozytywistycznego determinizmu, Taine i Renan, spotykali się na wspólnym szlaku z gorącym chrześcijaninem Pasteurem, który wyrażał przeświadczenie, że nauka i pokój zatryumfują nad ignoracją i wojną i przygotują zbratanie narodów: Idealista Vacherot pisał: „Dogmat postępu posiada dla nas tę wagę, co wiara dla człowieka religijnego. Nikt go nam nie wydrze. Jest to pierwsza prawda naszej religii". Na inny sposób wyrażała to nawiązująca do Comte'a, niezmiernie wpływowa wśród radykalnej burżuazji III Republiki, szkoła socjologiczna Durkheima. Ostatecznym wcieleniem racjonalistycznego dogmatu postępu stał się biologiczny ewolucjonizm Spencera, który w drugiej połowie XIX w. zapanował wszechwładnie nad umysłami, stając się w zlaicyzowanym społeczeństwie pewnego rodzaju namiastką religijnej wiary. W zjawisku tym nie było nic osobliwego. Pokolenie, które na przestrzeni kilku dziesiątków lat oglądało wprowadzenie równości wobec prawa, chłopa oswobodzonego z więzów poddaństwa, rzemieślnika z przymusu cechowego, wyzwalające się narody, cudy przemysłu i techniki, zwycięstwo nauki nad chorobą i śmiercią, wreszcie bezprzykładny w dziejach ludzkości wzrost bogactw i podniesienie się stopy życiowej szerokich warstw, miało prawo wierzyć, że jutro ludzkości będzie lepsze od dnia dzisiejszego, podobnie jak ten zepchnął w cień przeszłość.

III

Tak przedstawiał się zespół warunków, który zapewnił kulturze mieszczańskiej dominujące w dziewiętnastowiecznej Europie stanowisko. Ekspansywna bujność młodej warstwy burżuazyjnej, jej potężny rozmach gospodarczy, atrakcyjność głoszonych przez nią haseł zdawały się rokować stworzonemu przez

nią zespołowi wartości kulturalnych długi okres panowania. Atoli wiek XIX nie tylko skrystalizował teorię ewolucji, ale sam stał się widownią przemian, których tempo zakasowało wszystko, cokolwiek dotąd oglądała historia. Dlatego i gmach kultury mieszczańskiej, zanim jedne jego części zostały należycie rozbudowane, poczynał się kruszyć w innych. Proces tych przeobrażeń dokonywał się rozmaicie w różnych krajach, zależnie od różnorodności panujących tam stosunków i działających czynników; gdy jednak przyszła dla mieszczaństwa wielka godzina próby dziejowej, okazało się, że rezultaty końcowe, do jakich doszło ono pod różnymi szerokościami geograficznymi, przedstawiają duże zbieżności. Jeżeli kultura mieszczańska różnych krajów przedstawia analogie w okresie rozkwitu, to dotyczy to również procesu stopniowych jej przeobrażeń i ostatecznego rozkładu.

Najwcześniej rozpoczęła się przemiana oblicza społeczno-kulturalnego mieszczaństwa w ojczyźnie Wielkiej Rewolucji. Burżuazja francuska, dorwawszy się władzy w r. 1830 dzięki wystąpieniu proletariatu paryskiego, z miejsca wyzyskała zwycięstwo dla ukonstytuowania się jako nowa arystokracja, równie zazdrośnie strzegąca swych przywilejów, jak dawna. Rząd, parlament, administracja stały się domeną oligarchii finansowej. Zamożne mieszczaństwo w mundurach gwardii narodowej z bronią w ręku tłumiło rozruchy proletariatu. Dwaj czołowi mężowie stanu tej epoki, Thiers i Guizot, liberałowie w polityce, pod względem społecznym reprezentowali tępy konserwatyzm i absolutny brak zrozumienia dla potrzeb warstw „niższych". Przyszła Wiosna Ludów. Proletariat w przymierzu z radykalnym drobnomieszczaństwem obalił tron Ludwika Filipa, po to, by znaleźć się wnet w najostrzejszym konflikcie z ogółem klas posiadających. Barykady czerwcowe rozdzieliły społeczeństwo francuskie na dwa obozy. Widmo przewrotu społecznego pchnęło najwyższe sfery francuskiej burżuazji ku przymierzu ze zwalczanym dotąd duchowieństwem. Podług słów Tocqueville'a „strach przed socjalizmem wywarł momentalnie na klasy średnie skutek analogiczny z tym, jaki niegdyś wywarła Rewolucja na wyższe". Zdeklarowany wolterianin Thiers ręka w rękę z liberalnymi katolikami, Dupanloup i Falloux, przyłożył rękę do opracowania ustawy, która zapewniając Kościołowi dawno upragnioną wolność nauczania, oddawała równocześnie pod jego wpływy szkolnictwo powszechne. Od tej chwili datuje się zdecydowane przesunięcie wyższych sfer francuskiej burżuazji na prawo. Grzebiąc swą przeszłość, wypełnioną walkami z arystokracją i klerem, na każdym polu szuka ona zbliżenia z wczorajszymi przeciwnikami. W niepamięć zapadły się czasy, kiedy przywódca partii konstytucyjnej za Restauracji, Royer-Collard z dumą odrzucił ofiarowany mu przez rząd tytuł hrabiowski, kiedy wielki przemysłowiec Ternaux oznajmił w izbie deputowanych, że składa nadane mu przez Ludwika XVIII baronostwo, by móc w dalszym ciągu oddawać się swemu zawodowi. Wierzchnia warstwa mieszczaństwa francuskiego wychowuje potomstwo w szkołach klasztornych, garnie się do związków małżeńskich ze zrujnowanymi arystokratami, naśladuje

ich sposób życia. Komuna paryska wykazała ostateczną przepaść między światem robotniczym a wielką burżuazją. Sprawa Dreyfusa w całej pełni okazała jej oblicze konserwatywne i nacjonalistyczne. Elementy, które niegdyś najbardziej się przyczyniły do zwycięstwa zasad W. Rewolucji, szły teraz ręka w rękę z tradycyjnymi jej przeciwnikami.

Na innej płaszczyźnie dokonała się przemiana nastrojów mieszczaństwa angielskiego. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte zastały je pod wszechwładnym wpływem ideologii liberalnej w najszerszym słowa znaczeniu. W polityce i gospodarstwie święciła tryumf szkoła manchesterska z jej radykalnym pacyfizmem, wolnym handlem, niechęcią do ekspansji kolonialnej. Życie duchowe upamiętniło się wyjściem dzieł Darwina „O powstawaniu gatunków" (1859) i Milla „O wolności" (1860). Pierwsze ministerium Gladstone'a dokonywało zasadniczych reform, przenikniętych duchem wolności i postępu. W głębinach życia zbiorowego dokonywało się wszelako głęboko sięgające przeobrażenie. Duch potomków Cromwella i Pittów podniósł bunt przeciw manchesteryzmowi, zanim jeszcze pozycja gospodarcza i kolonialna Albionu poczuła się zagrożona rywalizacją innych narodów. Reakcji w duchu imperialistycznym torował drogę Carlyle apoteozą wojny, przemocy, władczych indywidualności, Dilke wizją „Większej Brytanii" (1860). Następca Gladstone'a na stolcu premiera, Disraeli, szeregiem wielkich posunięć w dziedzinie polityki zagranicznej nie tylko podniósł prestige państwa, ale rozniecił w duszach swych ziomków uśpiony instynkt władania i zaborczości, który w dobie wojny wschodniej wyładował się w formie hałaśliwego szowinizmu, zwanego jingoizmem. W latach osiemdziesiątych zarysował się w sytuacji międzynarodowej wielki przełom. Do wyścigu o panowania nad odległymi morzami i koloniami stanął szereg nowych rywali. Prymatowi handlowemu W. Brytanii poczęło zagrażać narastanie obcych przemysłów. W tych warunkach trudno było traktować nadal poważnie twierdzenie oksfordzkiego historyka Goldwina Smitha (1863), że brytyjskie imperium kolonialne stanowi niebezpieczeństwo dla teraźniejszości a iluzję dla przyszłości. Z łona tego samego mieszczaństwa, które w pierwszej połowie stulecia wyłoniło szkołę manchesterską, wyszła najostrzejsza przeciw niej reakcja w postaci imperalizmu. Główny jego herold Joe Chamberlain dokonał przewrotu w psychice przeciętnego Anglika, zastępując obowiązujące dotąd wyznanie wiary w duchu Benthama, Gladstone'a i Milla słynnym credo: „Wierzę w tę rasę, największą spośród ras rządzących, jaką znał kiedykolwiek świat, wierzę w tę rasę anglosaską, dumną, uporczywą, zdecydowaną, pełną zaufania do siebie, której nie zdoła zwyrodnić żaden klimat, żadna zmiana, i która stanie się niewątpliwie siłą górującą przyszłej historii i cywilizacji powszechnej. Wierzę w przyszłość tego imperium, rozległego jak świat, o którym Anglik nie może mówić bez dreszczu entuzjazmu". Praktycznym wykładnikiem tych tendencyj stało się usadowienie W. Brytanii w Egipcie, krwawy podbój Sudanu, zgniecenie niepodległości republik burskich. Oblicze kultury mieszczańskiej zmieniło na wyspach brytyjskich jeden ze swych zasadniczych rysów.

ŚMIERĆ HORPYNY W CZORTOWYM JARZE

(„OGNIEM I MIECZEM")

Najgłębiej sięgający przełom dokonał się w tym samym czasie w psychice mieszczaństwa niemieckiego. W pierwszej połowie XIX w. przedstawiała ona osobliwą mieszaninę kosmopolitycznego humanitaryzmu *(Weltbürgertum)* z drzemiącymi instynktami nacjonalistycznymi, chęci do odegrania samodzielnej roli politycznej z głęboko zakorzenionym respektem dla narzuconych z góry autorytetów, pragnienia budowy Niemiec zjednoczonych i konstytucyjnych z rozbrajającym brakiem wyrobienia politycznego. Manifestacją tych sprzecznych dyspozycyj był rok 1848, w którym mieszczaństwo niemieckie, dorwawszy się na krótko przodującego w życiu publicznym stanowiska, zdołało się całkowicie skompromitować frazeologią i gadulstwem, za którymi nie szedł czyn, rewolucyjnymi gestami, na których poskromienie wystarczył oddział wojska, łatwym przejściem od sympatyj ku polskości do zaciekłego jej zwalczania. Niemniej charakterystycznym przejawem liberalizmu mieszczańskiego była walka większości sejmu pruskiego przeciw Bismarckowi. Nie sam tylko pacyfizm odgrywał tu rolę. Liberałom mieszczańskim chodziło o to, by pomnożona armia nie wzmocniła pozycji korony i kasty zawodowych oficerów, rekrutujących się spośród junkierstwa. Tryumf Bismarcka, zjednoczenie Niemiec pod berłem Hohenzollernów zmieniły do gruntu psychologię mieszczaństwa, zwłaszcza, że równolegle z przewrotem politycznym uległa przeobrażeniu struktura socjalno-gospodarcza stanu trzeciego w Niemczech; w I poł. XIX w. rekrutował się on przede wszystkim spośród intelektualistów, po zjednoczeniu cesarstwa wytwarza się w raptownym tempie świat przemysłu i finansów. Tradycjom 48 roku pozostała wierna nieliczna stosunkowo część świata mieszczańskiego, zgrupowana w partii postępowej. Wykładnikiem większości stało się założone nazajutrz po Sadowie stronnictwo narodowo-liberalne. Z dawnej ideologii mieszczańskiej zachowało ono sympatie do wolnego handlu, parlamentaryzmu i państwa świeckiego; poza tym jednak widać na jego fizjognomii potężny wpływ Bismarcka. W sentymentalnym mieszczuchu niemieckim wychowanym na klasykach XVIII w. przebudził się nagle kult brutalnej siły, uwielbienie dla sprężystej państwowości pruskiej, entuzjazm dla zwalczanej tak niedawno armii, nienasycona zachłanność, instynkt tępicielski wobec słabszych. Wyrazicielami tej generacji stali się Treitschke ze swym programem wynarodowienia znajdujących się na terytorium Rzeszy mniejszości narodowych, Mommsen, który radził tłuc pałkami twarde łby słowiańskie, Houston Stewart Chamberlain, głoszący prymat rasy germańskiej. Z gorączkową niecierpliwością rzuciła się burżuazja niemiecka do nabywania kolonij, uchwalania kredytów na armię i flotę, dławienia żywiołu polskiego na kresach wschodnich. Ostateczną krystalizację znalazły te hasła w ruchu wszechniemieckim, którego ideologia, torując drogę hitleryzmowi, stanowiła najbardziej jaskrawe zaprzeczenie liberalnych, humanitarnych i pacyfistycznych Niemiec przedbismarckowskich.

Podobne przeobrażenia dokonywały się współcześnie w społeczeństwach mieszczańskich innych krajów. We Włoszech liberał i antyklerykał Crispi pchnął państwo na drogę imperializmu kolonialnego. Klęska pod Aduą zro-

dziła ruch nacjonalistyczny pod wodzą Corradiniego, który czerpiąc obficie z doktryn Maurrasa w tym samym stopniu przygotował grunt pod faszyzm, co agitacja wszechniemiecka pod narodowy socjalizm. Był to generalny rozrachunek z podstawowymi zasadami, na jakich opierał się dotychczas liberalizm mieszczański. Wśród Niemców austriackich część burżuazji, która w erze Schmerlinga i Ausersperga z zapałem walczyła o państwo liberalne, poszła teraz pod komendę czciciela rasy germańskiej i Wotana, nacjonalisty i antysemity Jerzego Schönerera. W ideologii warstwy średniej w Polsce dokonał się przewrót, który najkrócej ująć można w formułkę: od Świętochowskiego do Dmowskiego. Rosyjskie stronnictwo kadetów, obok niewątpliwych zapożyczeń z zachodnio-europejskiego liberalizmu składało trybut dążeniom epoki, podkreślając wielkorosyjski patriotyzm o zacięciu imperialistycznym.

Odpowiednikiem zwycięstwa nacjonalizmu i imperializmu wśród mieszczaństwa był znany nam już z dziejów Francji rozbrat z klasą robotniczą. Wśród sfer drobnomieszczańskich utrzymywały się jeszcze tradycje wspólnych walk przeciw wspólnemu przeciwnikowi: natomiast wszystko, co reprezentowało świat kapitalizmu, szło zdecydowanie na prawo. Półwysep Apeniński stał się w schyłkowych latach XIX w. widownią krwawych walk klasowych, w których rząd mieszczański trupami robotników zasłał ulice, przywódcami socjalistycznymi napełnił więzienia, targnął się na prawa obywatelskie. Niemniej jaskrawie wystąpiło prawicowe nastawienie mieszczaństwa w kraju, który z największą intensywnością przeżywał rozwój wielkokapitalistyczny. Baronowie przemysłu w zagłębiu Saary i Ruhry nie tylko rządzili w swych królestwach na wzór despotów orientalnych, ale pchali rząd w kierunku walki z ruchem socjalistycznym przy pomocy ustaw wyjątkowych. Osławiony „król Stumm" był jedną z głównych sprężyn podjętej za kanclerstwa Hohenlohego rozgłośnej akcji, która skończyła się niepowodzeniem. Dalej jeszcze poszedł w tym kierunku Bülow, organizując w r. 1907 blok wszystkich partyj mieszczańskich z wyjątkiem centrum do walki z socjalistami pod hasłem obrony zagrożonych interesów narodowych, przez które rozumiano przede wszystkim politykę kolonialną i rozbudowę floty wojennej.

Zwycięstwo imperializmu nad liberalizmem nie było oczywista dziełem kaprysu czy mody. Złożył się na nią szereg przyczyn natury tak politycznej i gospodarczej, jak psychologicznej. Widzieliśmy, jaki urok wywierała ideologia liberalna w pierwszej połowie XIX w. Czar prysnął z chwilą, gdy marzenie przyoblekło się w konkretny ustrój państwowy. Okazało się, że ogromna większość kontynentu nie nadaje się do przyjęcia brytyjskiego systemu rządów parlamentarnych. W r. 1871 stwierdził Taine, że rezultat ich jest „groteskowy w Grecji, opłakany w Hiszpanii, kruchy we Francji, niepewny w Austrii i Włoszech, niedostateczny w Prusach i Niemczech, pomyślny w Holandii, Belgii i krajach skandynawskich". Późniejszy rozwój nie wiele zmienił w tym obrazie. Nie wchodząc w szczegółowy opis funkcjonowania rządów liberalno-parlamentarnych w poszczególnych krajach, wystarczy stwierdzić zjawisko zasadnicze. Oto ustrój ten w krótkim czasie zdołał rozczarować go-

rących jego zwolenników. Dopóki toczyła się walka o reprezentację narodową i prawa obywatelskie, owiewała ją gloria dążeń idealnych. Rzeczywistość ukazała wszystkie strony przyziemne. Walka o zasady zmieniła się w grę apetytów, programy stronnictw zajął interes koteryj i jednostek. Dominował relatywizm w ocenie wartości, kompromis jako metoda działania. Walka o rzeczy wielkie rozdrabniała się w codzienne spory o taryfy przewozowe, cła i podatki, o wysokość poszczególnych pozycyj budżetowych, uprzywilejowanie tej czy owej grupy. Życie publiczne państwa liberalnego zamieniało się w pospolite targowisko interesów.

Nie tylko jednak na punkcie zaspokojenia aspiracyj duchowych zawodziło państwo liberalne. Struktura jego okazała się niedostosowaną do nowych warunków społeczno-gospodarczych, jakie stworzyła druga połowa XIX w. Zmieniły się nie tylko granice państw i układ sił politycznych w Europie. Samo życie narodów nabrało w nowych ramach odmiennej treści. Olbrzymi przyrost ludności, przełomowe dokonania w dziedzinie komunikacji i transportu, druga rewolucja przemysłowa, jaką przeżył świat na krawędzi dwóch wieków, a która bardziej jeszcze zrewolucjonizowała narzędzia produkcji, aniżeli wprowadzenie maszyny parowej i warsztatu tkackiego, gigantyczny rozrost przemysłu, co zaś za tym idzie — spotężnienie kadr robotniczych i zaostrzenie się kwestii socjalnej — wszystko to postawiło przed państwem szereg nowych zagadnień. Poszczególne grupy społeczne wystąpiły z żądaniami obrony swych interesów. Rolnictwo domagało się ceł ochronnych przed zalewem zboża z Rosji, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Indyj. Przemysł — wszelkiego rodzaju pomocy i udogodnień. Przeciw wydaniu klasy robotniczej na łup liberalnego kapitalizmu podnosiły się zewsząd protesty. W ślad za Rodbertusem i Lassallem przyszli „socjaliści z katedry". Państwu, pojętemu jako „stróż nocny" przeciwstawiono koncepcję państwa, będącego „wielkim instytutem moralnym, służącym wychowaniu ludzkości". Leon XIII wezwał interwencji państwa w sporze między kapitałem a pracą. W praktyce pierwszego wielkiego wyłomu w organizacji państwa liberalnego dokonał Bismarck, wprowadzając cła ochronne i ustawodawstwo społeczne. Za jego impulsem dokonał się nawrót do protekcjonizmu we Francji, Austro-Węgrzech, Włoszech, szeregu państw pomniejszych. W opiekę wzięła swój młody przemysł Rosja. Na gruncie brytyjskim nie udało się Chamberlainowi, reprezentującemu zagrożony obcą konkurencją przemysł metalurgiczny Birminghamu, pokonać wolnohandlowych tradycyj manchesterskich, za to Lloyd George przeprowadził szeroko pomyślane ustawodawstwo pracy. Przykład Niemiec i W. Brytanii znalazł naśladowców w innych krajach. Państwo przestało być biernym widzem wyzysku robotnika. Podobne rozszerzenie zakresu jego funkcyj dokonało się w szeregu innych dziedzin. W Anglii rząd ujął w swoje ręce troskę o rozbudowę szkolnictwa powszechnego, we Francji wprowadził Juliusz Ferry powszechne i obowiązkowe nauczanie. Zasada obowiązku szkolnego zwycięża w większości państw europejskich. W całości zajęło państwo u schyłku XIX stulecia miejsce pośrednie pomiędzy wszechmocną monarchią XVIII w. a pań-

:wem liberalnym pierwszej połowy XIX w.; nie naruszając praw obywa-
elskich jednostki, poddało swej ingerencji ogromne dziedziny stosunków spo-
ecznych, gospodarczych i kulturalnych.

Na tle tych przeobrażeń uwypuklić należy zwłaszcza odmienny charakter,
ıki przybrał w tej dobie kapitalizm. Jedną z zasadniczych jego cech w do-
ie narodzin i pierwszej ekspansji była wolna konkurencja i niezależność od
aństwa. Ten stan rzeczy odpowiadał ówczesnym formom gospodarki, kiedy
laby stopień uprzemysłowienia krajów kontynentalnych nie zaspokajał ich
hłonności, trudności i koszta transportu zapewniały drobnym nawet fabrycz-
om lokalny rynek zbytu, w skali zaś międzynarodowej nie było jeszcze walki
a śmierć i życie. Inaczej w dobie pełnego rozkwitu gospodarki kapitalistycz-
ej. Przedsiębiorstwa przemysłowe poczęły łączyć się w związki, które bądź
vchłaniały całkowicie poszczególne jednostki (trusty), bądź, pozostawiając
n samodzielność produkcji, wyznaczały kontyngenty wytworów oraz ich ceny
kartele). Gospodarka indywidualistyczna i wolna konkurencja, uważane
v dobie rozkwitu ekonomii liberalnej za prawo natury, ustąpiły miejsca orga-
izacji monopolistycznej, opartej na koncentracji kapitału i produkcji. Dru-
im zjawiskiem, które znamionuje przełom w rozwoju kapitalizmu, stało się
anowanie tzw. kapitału finansowego, tzn. lokowanego przez banki w prze-
nyśle. Pociągnęło to za sobą następstwa olbrzymiej doniosłości. W erze indy-
vidualizmu i wolnej konkurencji kapitalista żądał od państwa jednego: nie-
krępowanej swobody działania. Inaczej w dobie panowania trustów, karteli
kapitału finansowego. Oligarchia kapitalistyczna domaga się teraz od pań-
twa ceł ochronnych, ułatwień transportowych, premij wywozowych, wywal-
zenia korzystnych traktatów z innymi państwami, subwencyj jawnych i ukry-
ych. Państwo, częściowo opanowane przez związki kapitalistyczne, częściowo
arzucające im swoje zwierzchnictwo, prowadzi politykę, która w interesie
odzimych grup finansowych rodzi zadrażnienia i konflikty międzynarodowe.
Równolegle ze zwycięstwem kapitalizmu monopolistycznego dobiega kresu po-
dział świata. Przestrzeń, zajęta przez białych kolonizatorów, wzrosła po r.
876 przeszło półtora raza. Mimo to zapotrzebowanie i apetyty grup kapi-
alistycznych pozostały dalekie od zaspokojenia. Dążeniem kapitału mono-
olistycznego staje się opanowanie wszystkich źródeł surowców w celu zabi-
ia konkurentów. Kraje, obfitujące w bogactwa naturalne, stają się przedmio-
em zmagań. Czasem dochodzi do podziału sfer eksploatacji, częściej do za-
dzierzgnięcia nowych przeciwieństw w skali światowej. W konflikty te po-
rafił wciągnąć kapitalizm szerokie sfery społeczeństwa, które partycypując
v jego dochodach bądź dzięki systemowi towarzystw akcyjnych, bądź pracy
najemnej w wielkich przedsiębiorstwach, zainteresowane były osobiście w po-
vodzeniu magnatów kapitalistycznych. Podług słów Siemensa, podstawą im-
perializmu brytyjskiego są akcje wysokości jednego funta.

Jak widać stąd, najwyższy wykwit gospodarki mieszczańskiej, jakim był ka-
pitalizm, uległ u schyłku XIX w. przeobrażeniom zasadniczej natury. Związki
kapitalistyczne wchodzą w ścisłe współdziałanie z państwem, wydzierają mu

szereg koncesyj, pchają je na drogę imperializmu. Z czynnika pokoju przeobraża się kapitalizm w narzędzie wojen. Pod innym jeszcze względem zmieniło się oblicze gospodarki kapitalistycznej. W pierwszej połowie stulecia cechował ją rozmach i wynalazczość, które wyrywały słowa podziwu nawet z ust przeciwników. „Które z poprzednich stuleci przypuszczało, że takie siły wytwórcze drzemią w łonie pracy społecznej?" — zapytywali autorzy „Manifestu komunistycznego", rozważając cuda wytwórczości kapitalistycznej, wobec których bledły piramidy faraonów i rzymskie akwedukty. Inaczej wyglądała sprawa u schyłku stulecia. Pełen niegdyś przedsiębiorczości i inicjatywy właściciel fabryki oddaje jej kierownictwo fachowemu dyrektorowi, sam zapogrąża się w pasożytniczy żywot obcinacza kuponów. Rentierstwo staje się źródłem utrzymania nie tylko potentatów kapitalizmu, nie tylko rzesz drobnych ciułaczy, ale całych państw. Najbardziej popłatnym artykułem eksportu staje się nie towar a kapitał, lokowany na lichwiarskim nieraz procencie w krajach słabych ekonomicznie lub zależnych politycznie. Kapitalizm mieszczański, potężny sferą wpływów i środkami działania, wchodzi powoli w stadium dekadencji.

A wreszcie zarysowujący się zwrot w założeniach kultury duchowej. Wywodzący się z ducha osiemnastowiecznego indywidualizm i racjonalizm wywierają jeszcze wpływ znaczny, ale nie wyłączny. Już Comte, którego pozytywizm stał się przez pewien czas oficjalnym poniekąd wyznaniem wiary stanu średniego we Francji, wystąpił gwałtownie przeciw Wielkiej Rewolucji, określając jej idywidualistyczne dążenia jako „bunt jednostki przeciw gatunkowi". Kontynuator jego, Durkheim, roztopił najzupełniej człowieka w społeczeństwie, wyniesionym na piedestał nowoczesnego bożyszcza. Jednostce odmówi nawet samodzielności myślenia, traktując je jako zaszczepiony z zewnątrz refleks świadomości zbiorowej; za cel wychowania postawił urabianie poszczególnych członków społeczeństwa w duchu myślenia uniformistycznego i przystosowywanie ich do życia w zbiorowości. Z przeciwległego skrzydła szedł tym tendencjom na spotkanie rodzący się nacjonalizm, którego teoretycy tak samo ciskali gromy na Rewolucję i romantyzm za rozpętanie anarchistycznego indywidualizmu, tak samo oddawali człowieka we władanie wyższych potęg tyle, że wyrosłych z głębin przeszłości historycznej.

Po indywidualizmie przyszła kolej na racjonalizm. Radosne zaufanie we wszechmoc nauki, w którego blaskach kąpała się przeważna część XIX w. doznało u jego schyłku raptownego załamania. Bankructwo scientyzmu tragicznym piętnem naznaczało kończące się stulecie. Taine pogrążył się w bolesnej rozterce, Renan w epikurejskim sceptycyzmie, Littré i Brunetière szukają przystani w religii objawionej. Przeciw wszechwładnej dotąd idei postępu rozpoczęła się krucjata, w której biorą udział zarówno przedstawiciele kół katolickich i nacjonalistycznych, jak rewolucyjnego syndykalizmu. Na tym tle występują nowe kierunki, których wspólną cechą jest odwrócenie się od dotychczasowych autorytetów. Duhem i Poincaré postawili pod znakiem zapytania zgodność praw przyrodniczych z rzeczywistością, traktując je jako

rawdy czysto umowne. Boutroux, po nim Bergson podważyli wiarę w moc ozumu i doświadczenia, przeciwstawiając im instynkt i życie. Jerzy Sorel ozniecił wiarę w cudotwórczą siłę mitów społecznych. W Niemczech rozwiły się różne systemy „filozofii życia", we Włoszech jako reakcja przeciw ozytywizmowi rozkwitła filozofia neoheglowska. Docierające zza Oceanu owiewy modnego wówczas pragmatyzmu uczyły rzecz każdą oceniać pod ątem jej przydatności życiowej. Dokonywujący się przewrót w psychologii ogrzebał koncepcję człowieka jako istoty, rządzącej się rozumem. Wundt odkreślił czynnik woli, Ribot uczuć i namiętności, Mac Dougall odsłonił króestwo instynktów, Freud podświadomości. W sukurs szły im badania fizjogów i psychologów, którzy uwydatnili wpływ momentów tak mało od inelektu zależnych, jak sekrecja gruczołów wewnętrznych lub odruchy. Wszystie te różnorodne kierunki zbiegały się w jednym punkcie. Była nim negacja złowieka takiego, jakim go sobie wyobrażała filozofia Oświecenia oraz ekoomia liberalna. W to miejsce majaczyła już wizja człowieka, jakim miał go kazać wiek XX: wcielonego organicznie w zbiorowość, podatnego na sugestie góry, depcącego rozum na rzecz samorzutnych porywów i irracjonalnych atchnień. Dla uzupełnienia obrazu dodać należy, że kończąca się epoka trzeźej, mieszczańskiej cywilizacji poczynała odczuwać tęsknotę za pierwiastkiem adzwyczajności i heroizmu, za wodzowskimi indywidualnościami w romanycznym stylu. Tym tłumaczy się wielka popularność Nietzschego, który w poardzie dla „kulturalnego filistra" usiłował wedrzeć się na wyżynę nadczłoieczeństwa. W podobny ton uderzył Barrès, przeciwstawiając przyziemnemu, ieszczańskiemu prezydentowi Thiersowi dekoratywną postać generała Bouanger na jego słynnym, karym rumaku.

IV

W znanym dziele o „Wielkości i upadku Rzymu" określa Ferrero wojnę ako „siłę, która w pewnych momentach przyspiesza rozwiązanie przesileń ołecznych, przygotowywanych powoli przez zużycie i naturalne rozluźnieie instytucyj społecznych i politycznych. Każdy system tradycyj, interesów sił moralnych, stanowiących społeczeństwo, dezorganizuje się powoli przez ieustanne działanie ukrytych sił, które spostrzega mało ludzi; ale duch zahowawczości, ustalone interesy, obawa przed przyszłością przeszkadzają zaąpieniu nowym systemem starego, nawet wtedy, gdy już od dawna jest nienośny... Wojna, bardzo często burząc nagle równowagę psychiczną, zachoaną z wielkim trudem, przyspiesza w społeczeństwach, przechodzących przelenie, koniec tego wszystkiego, co nie posiada już energii życiowej, popycha o rozstrzygającej walki sprzeczne moce, wywołuje odprężenie sił ukrytych, tóre mogą stworzyć nową równowagę".

Uwagi te, których trafność uderza w odniesieniu do drugiej wojny świaowej, tłumaczą również w dużej mierze głębokie przeobrażenia, jakie spowo-

dowała pierwsza Świat nie byłby wyszedł z niej w przekształconej do gruntu postaci, gdyby podstawy jego nie były już podkopane w przededniu roku 1914 Przedstawiliśmy kryzys, jaki przeżywała wówczas kultura mieszczańska wraz z najwyższym jej wykwitem — gospodarką kapitalistyczną i państwem liberalnym. Wojna była jak gdyby obliczona na doprowadzenie przewlekłego kryzysu do stanu ostrego przesilenia. Jeden po drugim załamywały się fundamenty, na których ugruntowało niegdyś mieszczaństwo gmach swojej kultury Prysnął sen o wieczystym pokoju i współpracy między narodami; z całą natomiast brutalnością przypomniały się słowa Moltkego, iż „wojna jest wieczystym członem w ustanowionym przez Boga porządku świata". Walka o najkorzystniejsze drogi handlowe, uprzywilejowane porty, uprzemysłowione tereny, źródła surowców raz jeszcze okazała się prawem historii. Z demoniczną siłą wydobyła wojna z dusz ludzkich instynkty zmagania, ujarzmiania, niszczycielstwa. Największy optymista zwątpić mógł w człowieka, jakim przedstawiała go filozofia racjonalistyczna sprzed stu lat. Wraz z wiarą w przyrodzoną dobroć natury ludzkiej i jej zdolność do ciągłego doskonalenia się, wraz z zaufaniem do rozumu jako czynnika kierującego światem, zszedł z widowni dumny indywidualizm dziewiętnastowieczny. Człowiek, włączony w olbrzymi mechanizm wojny, nauczył się nie tylko maszerować w takt bębna i działać na rozkaz, ale myśleć kategoriami, stworzonymi przez urzędową propagandę i psychozę wojny. Cios ostateczny otrzymało również państwo liberalne.

Konieczności wojenne narzuciły zarówno ograniczenie swobód obywatelskich jak rozszerzenie jego władzy do granic, jakich nie oglądał świat od Wielkiej Rewolucji. Nie było dziedziny politycznej, gospodarczej czy kulturalnej w którą nie sięgnęłaby władza państwowa, nie było odcinka życia ludzkiego który nie zostałby w pewnej mierze poddany reglamentacji i nadzorowi. Idea państwa socjalistycznego z gospodarką planową, upaństwowieniem wielkich cetrów produkcji, przydziałami surowców, pod wpływem konieczności wojennych począł urzeczywistniać się w cesarskich Niemczech. Jeden z socjalistycznych posłów nazwał w Reichstagu Bethmanna-Hollwega największym socjalistą na urzędzie kanclerskim. Cechą państwa wojennego stało się również skupienie ogromu władzy i odpowiedzialności w rękach jednostki, która bez formalnego tytułu sprawowała faktyczną dyktaturę, jak Ludendorff w Niemczech, Clemenceau we Francji. Wojna zburzyła wreszcie tak skrupulatnie przez świat mieszczański przestrzeganą hierarchię społeczną. Na polach bitew i w rowach strzeleckich, w obliczu wspólnego niedostatku, niebezpieczeństwa, śmierci, realizował się znany dotąd z książek i przemówień ideał absolutnej równości. Równocześnie jednak wojna pogłębiła i zaostrzyła przeciwieństwa klasowe. Przeciw masowej rzezi, będącej zamknięciem całego okresu panowania klasy mieszczańskiej, wzbierał głuchy bunt mas. W r. 1917 runął w Rosji tron carski. Po okresie wahań i fermentów władza przeszła ostatecznie w ręce szermierzy dyktatury proletariatu. W rok później załamał się front mocarstw centralnych. Parę tuzinów dynastyj zleciało z tronów W Europie środkowej nie było wówczas stolicy, nad którą przez krótki boda

kres nie powiewałby czerwony sztandar i nie sprawował władzy rząd so-
alistyczny.

O traktatach pokojowych, które zakończyły wielki bój narodów, istnieje
ziś olbrzymia literatura. Szereg historyków, polityków, ekonomistów poddał
nikliwemu rozbiorowi przyczyny, które sprawiły, że dwudziestoletni pokój
ał się wstępem do drugiej, tylekroć okropniejszej wojny światowej. Mimo
z perspektywy dnia dzisiejszego odnosi się wrażenie, że w analizie tej nie
ęgnięto jeszcze dość głęboko. Dla wytłumaczenia kruchości traktatów poko-
wych nie wystarczy uwydatnić zawarte w nich błędy w przebudowie tery-
rialnej Europy, nowym układzie sił politycznych, klauzulach gospodarczych
finansowych. Po prostu wojna zburzyła zachwianą już przed r. 1914 rów-
owagę w organizacji państwa, stosunkach społeczno-gospodarczych i dyspo-
ycjach psychicznych człowieka, przy układaniu zaś nowego porządku nie
yciągnięto z tego zjawiska należytych konsekwencyj. Wydawało się, że roz-
owszechnienie się ustroju republikańskiego, demokratyzacja prawa głosowa-
ia, reforma rolna i ustawodawstwo pracy w szeregu państw środkowej
wschodniej Europy stanowić będą dostateczną daninę na rzecz ducha czasu,
oza tym możliwy będzie powrót do przedwojennych form bytowania.
w tym tkwi niewątpliwie jeden z najcięższych błędów, jaki popełnili budo-
niczowie nowego świata. W zmienionych do gruntu warunkach nie mogło
rawnie funkcjonować dawne państwo liberalne z niezmienionym w żadnym
asadniczym punkcie mechanizmem rządów parlamentarnych. Nie mógł utrzy-
ać się na dalszą metę układ społeczny, w którym kapitalizm zajął miejsce
anów uprzywilejowanych *ancien régime'u*, resztę społeczeństwa traktując, jak
iegdyś arystokracja stan trzeci. Jeszcze radykalniejszemu zaburzeniu uległ
iędzynarodowy ustrój gospodarczy. Podług wywodów Keynes'a zamożność
rzedwojennej Europy opierała się na trzech czynnikach: nierówności docho-
ów społecznych, wynikającemu stąd oszczędzaniu i kumulowaniu kapitałów,
raz uprzywilejowanemu stanowisku jednej części świata wobec jego reszty.
Vszystko to uległo zmianie w dobie powojennej. Oszczędności zniszczyła infla-
a, odrębność dyspozycyj psychicznych warstw posiadających i pracujących,
a której opierał się nierówny podział dochodu społecznego, podważył wiew
ropagandy rewolucyjnej z Rosji Sowieckiej, wreszcie Europa przestała być
ładczynią surowców i rynków zbytu na całej kuli ziemskiej.

Najbardziej skomplikowanym zadaniem byłoby zanalizowanie przemian,
kie wywołała wojna w duszy człowieka. Jeżeli podejdziemy do tego zagad-
ienia z punktu widzenia rozkładu kultury mieszczańskiej, to najtrafniej może
amknął treść dokonywujących się przewrotów duchowych Huizinga w for-
nule, że „mit wyparł logos". Widzieliśmy, że już w przededniu wojny krze-
iły się bujnie prądy antyintelektualistyczne. W czasie wojny przyszedł im
sukurs Vilfredo Pareto ze swoją socjologią, która na pierwszy plan wysu-
rała nie wyrozumowane derywacje, ale żywiołowe i niezmienne w naturze
złowieka residua; sporo dorzucił Walter Rathenau ze swoją filozofią bergso-
owską, w której główny nacisk spoczął na intuicjonizmie i wierze w świat

transcendentny. Dopiero jednak wojna, przeorawszy gruntownie umysłowość młodszych pokoleń, zapewniła tkwiącym w głębinach podświadomości instynktom irracjonalnym zdecydowaną przewagę nad narzuconą wiekami racjonalistyczną tresurą. Miejsce logicznego rozumowania i krytycznego sądzenia zajął kult życia i spontanicznego działania. Odwracając się z pogardą od dorobku dziewiętnastowiecznej myśli szukano natchnienia w mitach przeszłości, tajemnicach rasy. Egoizmowi mieszczaństwa zaczęto przeciwstawiać cnoty heroiczne. Miejsce wyblakłych ideałów liberalizmu i demokracji parlamentarnej zajął kult wielkich ludzi, których indywidualność wodzowska stanowi źródło natchnień przy tworzeniu nowych programów i budowie nowego typu państwa. Walka wyniesiona została na piedestał decydującego, zarazem zaś zbawczego czynnika w imię ludzkości.

Nie od razu olbrzymie te przeobrażenia, jakie wojna wywołała w głębinach życia zbiorowego, wydobyły się na powierzchnię. Po okresie przesileń politycznych i gospodarczych, związanych z likwidacją wojny i niemieckimi odszkodowaniami, nastąpiła około 1924 roku pozorna stabilizacja w Europie. W polityce odżył dawny system dyrektoriatu kilku przodujących mocarstw, którego narzędziem stała się Liga Narodów. Ustrój liberalno-parlamentarny odbył triumfalny pochód po środkowej Europie, stając się systemem rządzenia w świeżo powstałych państwach. Od pierwszej chwili znalazł się on pod obstrzałem krytyki, częstokroć okazywał niezdolność do rozwiązania ciążących na nim zadań, ale koniec końców nie próbowano go jeszcze zastąpić żadnym innym. Faszyzm włoski uchodził w tej epoce za produkt stosunków miejscowych, niezdolny do ekspansji na zewnątrz. Po erze kryzysów ekonomicznych i inflacyj przyszła stabilizacja waluty i krótkotrwały, tym za to świetniejszy rozkwit *prosperity*. Przemysł, zmodernizowany i zracjonalizowany do ostatecznych granic, produkował więcej, aniżeli przed wojną. Klasa robotnicza, zaspokojona wysokimi zarobkami i rozbudową ubezpieczeń socjalnych, stępiła ostrze swych rewindykacji, przechodząc w przeważnej swej większości od rewolucjonizmu pierwszych lat powojennych do praktycznego reformizmu. Odżyła wiara w dźwiganie się ludzkości ku coraz wyższym szczeblom postępu, której apostołami byli tym razem technokraci, Taylor i Ford, praktycznym wcieleniem — produktywizm na miarę amerykańską. Symbolicznie patronował temu okresowi pakt Kelloga i paneuropejska unia Brianda. Czyż nie mogło się wydawać, że po olbrzymim zawichrzeniu wojennym kultura mieszczańska święci pełny renesans?

Złudna sielanka trwała kilka zaledwie lat. Rok 1929 przyniósł pierwsze złowrogie ostrzeżenie: krach na giełdzie nowojorskiej jako początek największego w dziejach kryzysu gospodarczego. Rok 1930 upamiętnił się pierwszym znacznym sukcesem hitlerowców przy wyborach do Reichstagu. Rok 1931 przeszedł do historii jako *annus terribilis:* załamanie się banków w Austrii i Niemczech, moratorium Hoovera, dewaluacja funta szterlinga, na Dalekim Wschodzie wybuch wojny o Mandżukuo. Gmach równowagi politycznej świata zarysował się w podstawach. Gospodarcze rezultaty kryzysu przedstawiały się

ardziej katastrofalnie, aniżeli przegrana wojna. W Starym i Nowym Świecie 5 milionów bezrobotnych znalazło się na bruku, ponieważ gospodarka kapialistyczna zbyt wiele wyprodukowała środków żywności i wytworów farycznych, nierówny zaś podział dochodu społecznego uniemożliwił szerokim nasom ich skonsumowanie. Wraz z kryzysem pokoju i kapitalizmu weszło stadium ostrego przesilenia związane z nimi państwo liberalne. Szale chyotały się gwałtownie między socjalizmem a faszyzmem. Po jednej stronie nalazła się klasa robotnicza, po drugiej — związki dawnych kombatantów, wiat kapitalizmu, znaczną część młodzieży.

Za kim opowie się średnie i drobne mieszczaństwo? Półtorawiekowa tracja wiązała je z hasłami liberalnymi i radykalnymi. Wojna i inflacja przyiosła mu ruinę materialną. Wzburzenie mas kierowało się przeciw potentaom świata kapitalistycznego, przeciw dorobkiewiczom wojennym, przeciw rgiom spekulacji i wyzysku. Mimo to skomplikowany niezmiernie splot czynków politycznych, gospodarczych i psychologicznych, który trudno w tym niejscu rozwikływać, sprawił, że w momencie decydującej rozgrywki ogół nieszczański wroga ujrzał na lewicy. Nie tylko świat ciężkiego przemysłu wielkiej finansjery, ale masy średniej i drobnej burżuazji zwartą ławą stagły za Hitlerem, umożliwiając mu dojście do władzy, jak dziesięć lat wcześniej Mussoliniemu. Ten sam element w rok później zbrojną ręką zgniótł czerony Wiedeń. On stanowił główny trzon ruchów faszystowskich i faszyzujących w szeregu innych państw. Spośród jego szeregów rekrutowały się zaępy kollaboracjonistów w państwach demokratycznych, które w czasie drujej wojny światowej znalazły się się pod hitlerowską okupacją. Mieszczańwo wszelkich odcieni od potentatów kapitalistycznych po sklepikarzy i maych rentierów odegrało decydującą rolę w ostatecznym przeobrażeniu się pańwa liberalnego w faszystowskie. W przewrocie tym przepadły nie tylko taie zdobycze mieszczaństwa z jego okresu bohaterskiego, jak praworządność, wobody obywatelskie, system parlamentarny. Przepadł również świat zdoyczy duchowych, wyrażających się w indywidualizacji życia kulturalnego, acjonalistycznym myśleniu, swobodzie sądu krytycznego. Stworzony wysiłiem gospodarki mieszczańskiej rynek światowy rozleciał się pod parciem dążeń utarkicznych. Kapitalizm sprzągł się ściśle z państwem faszystowskim na grune zbrojeń i przygotowywania nowej wojny w niewidzianej dotąd skali. Warwa, której rolą historyczną było ograniczenie wszechwładzy państwa i podrażanie tronów z Bożej łaski, ulegle i chętnie włożyła teraz głowę w jarzmo ptalistycznej dyktatury. Gmach kultury mieszczańskiej zburzony został przez ej twórców.

V

Wielki przełom w dziejach ludzkości, jaki zapoczątkowała pierwsza woja światowa, nie przestaje zaprzątać uwagi zarówno kierowniczej elity spoeczeństw, jak szarego człowieka. Ludzi nauki interesuje przede wszystkim ego geneza i najistotniejsze przejawy, ludzie czynu szukają praktycznej dro-

gi wyjścia. Jedni badani przenoszą punkt ciężkości w dziedzinę stosunków społecznych i gospodarczych, innych uderzają przejawy psychologiczne i kulturalne. Porównuje się dobę obecną raz z okresem Rewolucji i Napoleona, to znowu z brzaskiem doby nowożytnej z jej wielkimi przemianami w sferze odkryć i wynalazków, religii i kultury, organizacji gospodarstwa i państwa. Niektórzy cofają się aż do upadku świata starożytnego, inni wreszcie wypowiadają się najbardziej krańcowo w sensie zagłady cywilizacji zachodniej. Szkic niniejszy stanowi skromną i tymczasową próbę wyjaśnienia tego zjawiska w duchu analogii z przełomami, które przeżywała Europa w wiekach minionych. Schyłek średniowiecza oznaczał rozkład uniwersalistycznej cywilizacji kościelnej, która dała Europie filozofię scholastyczną i gotyk, św. Franciszka i Giotta. Rewolucja francuska położyła kres kulturze dworsko-arystokratycznej z państwem absolutystycznym, strzyżonymi alejami Wersalu, literaturą klasyczną. Kryzys współczesny zdetronizował mieszczaństwo z tej roli przodującej, jaką zajęło ono w ciągu XIX w. w polityce, gospodarstwie i kulturze. Stąd charakter jego przewlekły a wszechstronny. Przewlekły, gdyż okres panowania potężnej warstwy społecznej nie kończy się w ciągu roku. Wszechstronny, gdyż ogarnął wszystkie dziedziny życia i myśli, na których mieszczaństwo wycisnęło swoje piętno.

Jednym z probierzy żywotności systemu kulturalnego jest oddźwięk, jaki znajduje on w opinii współczesnych. Aprobata przeważającej ich części świadczy, że dana kultura zaspokaja potrzeby epoki, przewaga ocen krytycznych jest dowodem jej przeżycia się i rozkładu. Przez znaczną część XIX stulecia państwo liberalne i gospodarka kapitalistyczna, racjonalizm i utylitaryzm, uważane były za szczytowe punkty w pochodzie cywilizatorskim ludzkości. Osiągnięcia kultury mieszczańskiej przejmowały jej przedstawicieli dumą i optymizmem. W drugiej połowie wieku podnoszą się coraz częściej głosy protestu i próby przebudowy dotychczasowych form życia zbiorowego. Kryzys jaki przeżyła kultura europejska u schyłku XIX w. jest świadectwem wyczerpania się sił twórczych warstwy mieszczańskiej. Nazwiska Nietzschego, Bergsona, Sorela — to oznaki buntu przeciw dotychczasowej supremacji światopoglądu mieszczańskiego, zwiastuny nadchodzących przewrotów. Właściwe jednak nicowanie dorobku kulturalnego burżuazji przypada na okres międzywojenny. Krytyka nie ogranicza się do wyznawców jednego światopoglądu. Właśnie udział przedstawicieli różnych kierunków nadaje jej cechę powszechności. Rathenau w rozpowszechnionej w kilkudziesięciu wydaniach książce *Von kommenden Dingen* przyłożył siekierę do samego korzenia kultury mieszczańskiej, zarzucając jej przerost intelektualizmu i mechanizacji, rządy uprzywilejowanej grupy plutokratycznej, dwustopniowość układu społecznego. Szczególnie wymowne słowa znalazł dla odmalowania położenia robotnika, który mimo zniesienia zależności prawnej pozostał w gruncie rzeczy takim samym niewolnikiem warsztatu, regulaminu fabrycznego i ustroju kapitalistycznego, jak jego przodek w początkach ery wielkoprzemysłowej. Ostrze krytyki Rathenau'a godzi nie tylko w nierówność posiadania, ale i w do-

volność gospodarowania; wojna dopiero nauczyła ludzi, że gospodarka nie est sprawą jednostki, ale całego społeczeństwa. Pareto, mimo nadanego mu rzydomku „Karola Marksa burżuazji" przepowiedział mieszczaństwu utrą przodującego stanowiska na rzecz nowej elity. Przedstawiciel socjalizmu revizjonistycznego de Man posuwa się w krytyce mieszczaństwa dalej od ordoksyjnego marksisty Ottona Bauera. Gdy ten ostatni, piętnując system gopodarki kapitalistycznej, przyznaje mieszczaństwu zasługę obalenia świata eodalnego i wywalczenia praw człowieka i obywatela, de Man stawia ustrój apitalistyczny niżej od porządku średniowiecznego. Pan feodalny razem władzą brał na siebie obowiązki wobec podległej mu ludności. Rzemieślnik echowy miał satysfakcję samodzielnego wyprodukowania całego wytworu racy. Nowoczesny kapitalista, przejąwszy potęgę polityczną pana feodalego, a funkcje gospodarcze majstra cechowego, nie poczuwa się do żadnych bowiązków społecznych, robotnika zaś odrywa od narzędzi pracy i jej wyworu, zabijając w nim radość twórczą, skazując go na jałową wegetację.

Ostrością tonu i radykalizmem konkluzyj odznaczają się wywody pisarzy atolickich. Dawson *(Inquiries into Religion and Culture* 1935), stwierdzając ankructwo świata mieszczańskiego, odmawia mu samodzielnej i twórczej roli v historii. W dobie, gdy Kościół dzierżył władzę duchowną, monarchowie aś i szlachta świecką, mieszczanin, odepchnięty od życia politycznego, robił ieniądze. Wybiwszy się z kolei na przodujące w społeczeństwie stanowisko, ie poczuwał się względem niego do obowiązków ani odpowiedzialności, nie otrafił stworzyć organicznej koncepcji życia zbiorowego ani własnej kultury. We wszystkich epokach był mieszczanin typem mało szanowanym i popuarnym; świadczy o tym pogardliwy względem niego stosunek zarówno średniowiecznego rycerza i chłopa, jak nowoczesnego cygana artystycznego i proetariusza. Dokonywująca się w naszych oczach likwidacja świata mieszczańkiego to nie patetyczna zagłada starej, dostojnej kultury, ale zamknięcie rzejściowego w dziejach epizodu. E. Mounier wytacza proces nie tylko ustrowi kapitalistycznemu, ale jego twórcy, zarazem zaś produktowi — mieszczaninowi, pojętemu jako pewien typ historyczno-kulturalny. Burżuazja jest podług niego zaprzeczeniem ducha chrześcijaństwa, czymś w rodzaju „dobrodusznego Antychrysta". Mieszczanin to człowiek, który zatracił sens bytu, dzieląc świat cały na rzeczy użyteczne i bez znaczenia. Z życia jego wygnana została miłość w metafizyczno-chrześcijańskim znaczeniu. Pozostała w nim religia jako hamulec na rewindykacje socjalne ludu; pozostał strach przed walką, przed zmianą, przed nadchodzącym jutrem; pozostało przywiązanie do *aurea mediocritas,* której wyrazem jest posiadanie. „Nie nadaje się on, mawiał Péguy, ani do grzechu, ani do łaski, ani do nieszczęścia, ani radości. Człowiek, zdrów, szczęśliwy, zamożny; człowiek, który znalazł swoją równowagę; istota pozbawiona łaski". Dlatego prawdziwym uosobieniem mieszczaństwa jest drobnomieszczanin, ku któremu zmierza w końcu największy nawet potentat świata burżuazyjnego. M. Berdiajew wspólnym wyrokiem potępienia obejmuje ustrój liberalno-kapitalistyczny w gospodarstwie oraz cywilizację

mieszczańską XIX w. „z jej demokracją i materializmem, techniką, opinią publiczną, prasą, giełdą i parlamentem". Idąc od obozu katolickiego na prawo napotykamy na generalny rozrachunek z wiekiem plutokracji, bankierów i finansistów pod piórem przedstawicieli „integralnego nacjonalizmu", Maurrasa i L. Daudeta. Uwzględniając w całej pełni występującą w zacytowanych wypowiedziach diametralną nieraz przeciwstawność motywów i ocen należy skonstatować zjawisko niewątpliwe: oto tryumfująca w XIX w. kultura mieszczańska znalazła się we współczesnej nam epoce na ławie oskarżonych.

Trudno wchodzić tu bliżej w tak rozległy a skomplikowany problem, jak ocena wartości kulturalnych, wniesionych przez mieszczaństwo. Okresy wielkich przełomów dziejowych najmniej się nadają do sprawiedliwego rozrachunku z przeszłością. Z drugiej jednak strony właśnie w takich momentach niektóre zjawiska rysują się ze szczególną ostrością. Przeżyty świeżo okres faszyzmu, będącego produktem rozkładu klasycznej kultury mieszczańskiej, tym sprawiedliwiej pozwoli ocenić niektóre z jej pozytywnych osiągnięć. Nikt chyba nie podejmie się dzisiaj obrony takiego liberalizmu w dziedzinie państwowej i gospodarczej, jaki znała pierwsza połowa XIX w. Spotykany dziś jeszcze typ „starego liberała", który dbałość o swoje prawa jednostkowe łączy z totalną obojętnością na problem społeczny, nie należy do szczególnie budujących. Natomiast wywalczone przez mieszczaństwo w ciężkich zmaganiach ze starym porządkiem prawo człowieka do swobody sumienia, słowa i druku, zagwarantowanie społeczeństwu sfery uprawnień, nienaruszalnych przez władzę, należy do tych zdobyczy, które stały się częścią składową wszystkich ustrojów demokratycznych, których zachowanie leży nie tylko w interesie wolności człowieka, ale bezpieczeństwa świata. Za niewątpliwą zasługę kultury mieszczańskiej należy jej poczytać również rozpowszechnienie myślenia racjonalistycznego. Nie żywię wiary we wszechwładzę empirii i rozumu. Tęsknot metafizycznych i religijnych nie da się wyrwać z natury człowieka. Niemniej doświadczenia ostatnich dziesiątków lat wykazały, na jak błędne manowce schodzi ludzkość, gdy zacznie odwoływać się do sił irracjonalnych w rodzaju instynktu, intuicji, mitu, kultu „imperium romanum" „krwi i gleby", nieomylności wodza tam, gdzie intelekt daje sobie dostatecznie radę z rozwiązywaniem czysto ludzkich problemów. Niektóre składniki kultury mieszczańskiej powinny przeto pozostać w dorobku ogólnoludzkich wartości; całość jej należy do niepowracalnej przeszłości. Każdy niemal dzień przynosi świadectwa, że w dziejach Europy zamknięty został jeden z jej wielkich okresów rozwojowych.

Nasuwa się pytanie, dlaczego mieszczaństwo w tak krótkim stosunkowo czasie zakończyło swą historyczną rolę? Radykalne tempo dziewiętnastowiecznej ewolucji, tak jaskrawo odbijające od powolnego nurtu przemian dziejowych w poprzednich stuleciach, nie tłumaczy wszystkiego. Wchodzi tu w grę zjawisko skomplikowane, przy wyjaśnieniu którego konieczną będzie współpraca ekonomisty i socjologa z badaczem psychologii społecznej. Każdy z nich udzieli odmiennej odpowiedzi. Ekonomista skłonny będzie położyć główny na-

isk na przewagę gospodarczą i polityczną kapitału, który uzależniwszy od iebie szerokie rzesze drobnej i średniej burżuazji, w walce z klasą robotniczą podział dochodu społecznego oraz z konkurencyjnymi grupami kapitalistycz-ymi o panowanie nad globem doprowadził do zorganizowania państwa faszy-towskiego i do powszechnej konflagracji. Socjolog podkreśli zapewne młod-zość polityczną i cywilizacyjną warstwy mieszczańskiej w stosunku do szlachec-kiej, wskutek czego mieszczaństwo nie potrafiło wyrobić w sobie tego dum-nego samopoczucia, które każe uważać swoją kulturę za najwyższy wykwit złowieczeństwa. Dla psychologa interesującą będzie kwestia snobizmu świata nieszczańsko-inteligenckiego, który kazał mu bronić się przed zbliżeniem do obotnika i podkreślać swoją odrębność i rzekomą wyższość socjalną i towa-zyską. Nie przesądzając ostatecznego rezultatu tych badań, które nie wypo-viedziały jeszcze ostatniego słowa, zamknę moje rozważania uwagą natury ogólniejszej. Oto klasa mieszczańska w nieskończenie niższym stopniu od wych poprzedników na arenie dziejowej Europy zdawała sobie sprawę z real-nych podstaw swojej pozycji życiowej i odrębności rysów oblicza duchowego. Kościół katolicki dał na przestrzeni dwudziestu wieków zdumiewający przy-kład konsekwencji rozwojowej. Rozkwit filozofii neotomistycznej stanowi do-tateczne świadectwo umiejętności godzenia tradycji z postępem. Społeczeń-two francuskie *ancien régime'u* podkopało niewątpliwie fundamenta swego panowania szerzeniem zasad filozoficznych i społecznych Oświecenia; gdy ednak rewolucja uderzyła w sam rdzeń jego istnienia, zdobyło się na ener-giczny opór tak w sferze czynu jak myśli. Mieszczaństwo natomiast dziwnie atwo oderwało się od podstawowych założeń, na których wyrosła jego po-ęga, bogactwo, kultura. Element, który mógł prosperować tylko w atmosfe-rze wolności, pokoju, racjonalistycznego myślenia, w przeważnej swej więk-zości przerzucił się na przeciwległy biegun, odkrywając w sobie nieoczekiwaną sympatię dla wszystkiego, co stanowiło istotę ustroju faszystowskiego. Pogrom faszyzmu na polach bitew był tylko przypieczętowaniem klęski, jaką mieszczaństwo zgotowało sobie własnymi rękoma. Tu leży najistotniejsza różnica pomiędzy końcem kultury dworsko-szlacheckiej a mieszczańskiej. Obrońcy pierwszej padli na okopach św. Trójcy, druga skończyła samobójstwem.

KAZIMIERZ WYKA

SPRAWA SIENKIEWICZA

I

Sprawa Sienkiewicza posiada potrójny wygląd. Zawiera się przede wszystkim w tej sprzeczności, jaka od czasu „Trylogii" towarzyszy jego losom pisarskim: nie ma u nas przykładu drugiego pisarza, który by w sposób równie absolutny i natychmiastowy zdobył posłuch najszerszych mas narodu, a którego znaczenie byłoby z równą ostrością co pewien czas podważane. Kaczkowski i Świętochowski w pierwszej fali, Stanisław Brzozowski w drugiej, Olgierd Górka w ostatniej.

Chociaż najwięcej hałasu w opinii publicznej wywołały wystąpienia Brzozowskiego i Górki, stwierdzić należy, że żaden z późniejszych antagonistów Sienkiewicza nie powiedział właściwie nic nowego w zestawieniu z tym, co już w roku 1884 napisali Kaczkowski, Jeż, Świętochowski, a zwłaszcza Prus, który w dzieło Sienkiewicza sięgnął chyba najgłębiej i najsprawiedliwiej. Tyle że, w miarę jak głosy obrońców stawały się coraz wymowniejsze, rozmiar sprzeczności w sądach krytyki oficjalnej wzrastał. Nie będziemy sięgać do pamfletowych inwektyw W. Nałkowskiego, by zaznaczyć granice tych sprzeczności. Wystarczy taka para sądów pochodzących z tego samego okresu: „Trylogia" stała się tym, czym Homer dla starej Grecji... I nic dziwnego — dał bowiem i dać zamierzył Sienkiewicz dzieło homerowskie" — pisze Feldman. „Ilekroć dotknie się on historii, tworzy karykaturę, mimowolną i upokarzającą parodię. Parodią jest jego chrześcijaństwo w „Quo Vadis", parodią „Krzyżacy"... parodią złośliwą, upokarzającą, piekącą jak hańba, jego „Trylogia" — woła w odpowiedzi Stanisław Brzozowski.

To pierwszy wygląd sprawy Sienkiewicza.

Ale równie mało skuteczne były te ponawiające się co pewien czas przypływy niechęci przeciwko Sienkiewiczowi, jak równie mało trafne były i są powody jego popularności podawane przez oficjalną krytykę i historię literatury. I jeżeli twórczość Sienkiewicza staje się coraz bardziej zjawiskiem historycznym w tym sensie, że jej znaczenie aktualne przesuwa się w całkiem inną sferę, aniżeli ta, jaką zajmowało jego dzieło przed pierwszą wojną światową, powody tego zjawiska mieszczą się właśnie w tym drugim nieporozumieniu.

Dla innych względów pierwsi czytelnicy „Trylogii" dali się unieść entuzjazmowi dla tego dzieła, inne motywy na plan pierwszy wysuwa krytyka i historia literatury. Krytyka, ta najchętniejsza Sienkiewiczowi, wysuwała zawsze i wysuwa rolę Sienkiewicza, jako „jednego z największych nauczycieli narodowych, jakich przez całe wieki swego istnienia miała Polska" (Chrzanowski), podkreśla, że dokonał on czynu „zdemokratyzowania sztuki, a z drugiej strony demokratycznego dźwignięcia mas w górę ku widokom narodowym" (Wasilewski). Najdalej na tej drodze zresztą podobnie jak Konopnicka, poszedł Chrzanowski, kiedy mianuje Sienkiewicza drugim, równym Mickiewiczowi człowiekiem wiecznym swego narodu...

A tymczasem kiedy czytać wyznania i wspomnienia dotyczące powodów powszechnego entuzjazmu, który towarzyszył drukowi „Ogniem i mieczem" na łamach warszawskiego „Słowa" i krakowskiego „Czasu", wyznania te odnoszą się do całkiem innej sfery oddziaływania na czytelnika. Najwymowniej wyraził to Tarnowski w znanym ustępie swojej książki o Sienkiewiczu: „małe dzieci w listach do rodziców po zdrowiu swoim i swojego rodzeństwa donosiły o tym, co zrobił Skrzetuski, albo co Zagłoba powiedział, ...młode panienki pisały lub pisać chciały do autora, aby nie zabijał Skrzetuskiego... Jak legenda wyglądać będą opowiadania o tym pacierzu, który ktoś... mówił za duszę Podbipięty i aż w połowie spostrzegł się, że to wymyślona śmierć i wymyślona dusza".

Cóż z tego wynika? Kiedy Chrzanowski wymienia nazwisko Sienkiewicza jednym tchem wraz ze Skargą, czytelnik odpowiada mu właściwie dowodem formalno-artystycznym: wskazuje na zainteresowanie towarzyszące zdarzeniom powieściowym, a przede wszystkim na niepospolitą prawdę w budowie postaci, prawdę, dzięki której dla zwykłego czytelnika przestają być one fikcjami artystycznymi. Każdy z nas pamięta z lat chłopięcych zawód, jakiego doznał kiedy pojął, że Wołodyjowski, Zagłoba czy Bohun to postaci zmyślone, a nie tak prawdziwe, jak Chmielnicki czy Wiśniowiecki. „Jakichkolwiek byliśmy przekonań, cokolwiek mieliśmy Sienkiewiczowi do zarzucenia, czyśmy go czytali młodo czy staro — wszyscy, bezwzględnie wszyscy w Polsce musieliśmy przyjąć na zawsze Zagłobę w poczet najbliższych nam postaci, musieliśmy się wzruszać Bohunem lub Kmicicem, musieliśmy rozrzewnić się Podbipiętą, musieliśmy się ucieszyć Rzędzianem lub Kiemliczami" — formułuje tę sprawę Antoni Potocki w „Polskiej literaturze współczesnej".

Powie ktoś, że taka odpowiedź czytelnika jest tylko odpowiedzią, że tak powiem, wstępną, że odsłania tylko szczeble, po jakich dociera się do istotnych wartości Sienkiewicza, a te zaś wartości odsłania naprawdę dopiero krytyka oficjalna. Powie niesłusznie! Dlaczego niesłusznie, dowód całkiem prosty. Czachowski w „Obrazie twórczości" Henryka Sienkiewicza wylicza języki, na które jego utwory były tłumaczone: angielski, arabski, armeński, białoruski, bułgarski, chiński, chorwacki, czeski, duński, francuski, hebrajski, hinduski, hiszpański, holenderski, japoński, litewski, łaciński, łotewski, niemiecki, nor-

weski, nowogrecki, portugalski, rosyjski, rumuński, rusiński, serbski, słowacki, słoweński, szwedzki, turecki, węgierski, włoski, volapück, esperanto... Otóż niesposób przypuścić, by duńskiego czy hiszpańskiego czytelnika wiele obchodziło, kto wygra pod Białącerkwią, Korsuniem czy Machnówką i czy Grodzicki utrzyma Kudak, ale na pewno bardzo ich interesowało, czy uda się odnaleźć Helenę i czy Zagłoba wydostanie się z chlewa. Czyli innymi słowy: im szersze kręgi czytelników ogarnia Sienkiewicz, tym trudniej do momentów ideologicznych i historycznych sprowadzać jego wpływ.

Jest w tym sprawy Sienkiewicza wygląd drugi.

Istnieje ponadto wygląd trzeci. Ten mianowicie, że podobna rozbieżność pomiędzy bezwzględną aprobatą czytającego ogółu a wątpliwościami krytyki towarzyszy nie tylko najpopularniejszemu pisarzowi, ale również najpopularniejszemu malarzowi Polski. Sprawa Sienkiewicza posiada całkowitą analogię w sprawie Matejki. Ten niepospolity malarz równie jest wszczepiony w wyobraźnię narodową. Stworzył on z takim samym, jak powieści Sienkiewicza, entuzjazmem przyjmowane malowidła, i tak samo artyści polscy musieli jego tradycję pozostawić na uboczu, by rozwijać się dalej. I podobnie jak przy Sienkiewiczu wszelkie wystąpienia krytyczne ześliznęły się bez śladu po powszechnym kulcie dla jego malarstwa.

Przyjrzyjmy się temu potrójnemu wyglądowi sprawy Sienkiewicza, by ocenić jej postać dzisiejszą. Tu pewna uwaga natury formalnej. Namiętność trzech wielkich dyskusyj, jakie kolejno pod batutą Kaczkowskiego (1884), Brzozowskiego (1903) i Górki (1933) toczyły się wokół Sienkiewicza, spowodowała, że sądy o nim posiadają w olbrzymiej większości charakter apologetyczny lub bojowy. I dlatego może jakiś względnie obiektywny sąd o Sienkiewiczu najprościej daje się osiągnąć według zastrzeżeń jego zwolenników, a pochwał przeciwników. (Tylko zastrzeżeń cudzoziemców, nawet kiedy bywają bardzo złośliwi, mamy obowiązek wysłuchać). Stąd to w niniejszym szkicu dosyć rzadkie będą ujemne sądy pochodzące spod pióra Chmielowskiego, Kaczkowskiego, Jeża, Brzozowskiego czy Górki, dosyć częste, jeżeli pochodzą spod pióra Tarnowskiego, Potockiego lub pisarzy nie angażujących się apologetycznie ani też bojowo, jak Orzeszkowa czy Prus.

Postępowanie takie uważam za bardzo potrzebne w świetle tych wystąpień, jakie dotąd przyniosło stulecie urodzin Sienkiewicza. Było rzeczą łatwą do przewidzenia, że w obecnej sytuacji psycho-socjalnej stulecie to przyniesie nową falę apologetyki sienkiewiczowskiej. Natomiast jest coś niepokojącego w fakcie, że ta apologetyka tak jest nudna, tak zatęchła, tak poprzestająca na argumentach, które nawet w roku 1884 byłyby niedostateczne. Coś — powiem więcej — głęboko prowincjonalnego, jeżeli wielbiciele Sienkiewicza nie umieją swego uwielbienia ukazać za pośrednictwem jakichś nowych, oryginalnych spojrzeń na jego dzieło, bo to przecież jest jedynym świadectwem żywotności pisarza. W miarę możności i w tej sprawie, chociaż nie to jest moim zadaniem, będę się starał wielbicieli wyręczyć...

Wreszcie ostatnia uwaga: o Sienkiewiczu będziemy pisać, jak gdyby był

SKRZETUSKI U KRÓLA W TOPOROWIE

(„OGNIEM I MIECZEM")

on wyłącznie autorem „Trylogii". Uproszczenie o tyle dozwolone, że ocen „Trylogii" zawiera zawsze, tak u przeciwników, jak u zwolenników, są o całości jego powieściopisarstwa historycznego. Z całego dorobku Sienkiewi cza to powieściopisarstwo najmocniej się liczy w świadomości zbiorowej.

II

Sienkiewicz, jak wiadomo, rozpoczynał swoją działalność pisarską w obozi postępowców i pozytywistów. Wprawdzie złośliwy Świętochowski wspomin (*Prawda*, 1884, nr 27), że już wtedy doskonale orientował się w koliga cjach rodzinnych i odmianach herbów, ale mogło to pozostać zainteresowa niem prywatnym. W tym okresie umiał patrzeć na społeczeństwo polskie spo rzeniem, które już nigdy później nie powtórzy się w jego, stale pochlebnej dl tego społeczeństwa, twórczości: świadectwem tego spojrzenia „Szkice węglem" Ale już na kilka lat przed powstaniem „Trylogii" przeczuwano, że Sienkie wicz odejdzie od stanowisk swojej młodości. Orzeszkowa w roku 1881 pisał do Jeża: „Odstępstwo jego od obozu postępowego stanowcze i jawne... Przy jaciół dawnych unika, „Humoresek z teki Worszyłły", mocno demokratycz nych, do wydania pism swych włączyć nie pozwolił, o „Szkicach węglem mówi, komu tylko może, że to grzech młodości".

Przejście Sienkiewicza do powieści historycznej dokonało się w dosyć skom plikowanych okolicznościach. Nie mam zamiaru wszystkich tych okoliczno ści analizować. Chciałbym ograniczyć się wyłącznie do tych motywów, jak są ważne dla przeprowadzanej tutaj tezy, a dotąd mało były podkreślan Przede wszystkim nie sądzę, by względy czysto artystyczne stanowiły dl Sienkiewicza tylko sztuczną mgłę, pod której osłoną pragnął się wy cofać ze stanowisk postępowych. Ułatwiały wycofanie, ale go nie po wodowały. Dlatego nie mamy powodu Sienkiewiczowi nie ufać, kiedy p sze w roku 1895: „kręciłem się nawet w tym pozytywnym słonecznik sam — ale, był mi on, *sans le savoir*, wstrętny, zwłaszcza zaś przeciwny moi artystycznym poczuciom". (Listy do K. Górskiego, *Tygodnik Powszechn* 1946, nr 19).

Jak rozumieć to wyznanie Sienkiewicza? Stwierdźmy najpierw, że Sienki wicz był artystą świadomym. Kiedy uważnie czytać jego wypowiedzi p przedzające pisanie „Ogniem i mieczem", wypowiedzi, w których nie mó przewidzieć, że rychło stanie się w pojęciu ogółu pisarzem z typu wieszczów dostrzegamy w nich, że sprawy samowiedzy artystycznej musiały w jego prz mianie grać znaczną rolę. Szczególnie znamienny jest zarzut stawiany Orz szkowej, bo mieści w sobie mimowolną zapowiedź i wyznanie przyszłej m tody artystycznej pisarza: „Któraż to postać pani Orzeszkowej upamiętni się Chmielowskiemu na zawsze i towarzyszy mu w życiu ...jeśli panią Orz szkową będą czytać za lat sto, to ci przyszli czytelnicy dowiedzą się dokła niej, jakie prądy umysłowe przebiegały nasze czasy, niż jacy ludzie w nic żyli". (Recenzja z Chmielowskiego „Zarysu literatury polskiej z ostatnich l

zesnastu", *Gazeta Polska*, 1881). Z wypowiedzi wynika jasno, co dla Sienkiewicza w powieści jest najważniejsze: by postać towarzyszyła w życiu. „O bohaterach powieści mówiło się i myślało jak o żywych ludziach" — tak o postaciach sienkiewiczowskich napisze Tarnowski...

O wyczuciu zaś artystycznym Sienkiewicza świadczy najlepiej fakt, że z problemem, którego Żeromski nie zdołał rozwiązać nigdy, uporał się już u wstępu do swojej kariery jako powieściopisarza historycznego. Wiemy dzisiaj na podstawie badań źródłowych (np. Grodzicki „Źródła historyczne Popiołów"), iż Żeromski, wiedzony pasją autentyczności dokumentarnej, całe stronice swoich źródeł wcielał żywcem do powieści. Wcielał, jak gdyby pomiędzy jego lirycznym stylem a tymi wkładkami mogła powstać jakaś zbieżność. Powstawały tylko rażące dysproporcje. Jeszcze gorzej, kiedy cały styl danego utworu usiłował naginać do wierności źródłom i ich słownictwu, jak np. w „Dumie o hetmanie", jednej z najbardziej nużących książek polskich.

Tymczasem Sienkiewicz od razu zdał sobie sprawę, dokąd może sięgać stylizacja językowa w powieści historycznej, a gdzie staje się ona męczącym nadużyciem. Świadectwem tego doskonałego wyczucia są „urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego" — „Niewola tatarska", bezpośrednio poprzedzające powstanie „Ogniem i mieczem". Jest to znakomita wprawka stylowa, w której Sienkiewicz składnię i słownictwo stylizuje na wzór pamiętnikarzy barokowych. Wciela całe ustępy ze źródeł, by już nigdy później tego procederu nie powtórzyć, by od razu zrozumieć, że pisarzowi historycznemu wolno panować całkowicie nad stylem epoki, wolno dopuszczać autentyczny styl epoki tylko w wypowiedziach postaci. W „Niewoli tatarskiej" ponadto archaizuje Sienkiewicz bardziej składnię, niż słownictwo, przede wszystkim zaś do minimum ogranicza tak częste w tej epoce makaronizmy; znowuż świadectwo trafnego wyczucia stylistycznego, bo szpikowanie archaicznym słownictwem (tak znamienne dla Żeromskiego), chociaż wprawdzie najbardziej uderza niewprawnego czytelnika, niemniej jest najbardziej mechanicznym załatwieniem się z duchem epoki.

W tym zdobytym od razu zrozumieniu, że wierność epoce nie powinna polegać na stylistycznej kopii czy zgoła inkrustacji, miał Sienkiewicz sprzymierzeńców, którzy mu ułatwili jego słuszne rozwiązanie. Obecny powieściopisarz, kiedy sięga do pisanych dzisiaj dzieł historycznych, znajduje w nich materiał i fakty, na których na pewno może polegać, tak ten materiał jest przepracowany krytycznie, ale materiału stylu, jaki by mu mógł być pomocny, na pewno nie znajdzie. Inaczej było jeszcze w czasach Sienkiewicza. W naszej historiografii nie zaginęły wówczas te pradawne tradycje, które z historii czyniły sztukę. Nie wszyscy historycy jeszcze zapomnieli, że Klio jest siostrą Kaliope i Polihymnii. Nie zapomnieli zwłaszcza historycy, którzy wprowadzili Sienkiewicza w wiek XVII: Kubala i Szajnocha. Umieli oni pisać — aż za dobrze. Aż za dobrze w tym sensie, że jak wiadomo dzisiaj, takiego Kubalę jakaś wena konstrukcyjna, właściwa raczej powieściopisarzowi, ponosiła daleko poza granice faktów i źródeł. Fakty kazała dopełniać domysłami lub

grupować je według bardzo indywidualnej wizji, tak jak wolno to czynić tylko powieściopisarzowi. Dlatego „Szkiców historycznych" Kubali nie traktuje się dzisiaj jako dzieła rzetelnie historycznego. Kto wie jednak, czy nie jest lepiej, że właśnie na dziełach nie tak rzetelnych historycznie, ale bardzo rzetelnych pisarsko i stylistycznie kształcił Sienkiewicz swoje pióro. One bowiem wspierały jego przeczucie, że powieść historyczna powinna posiadać swoją samodzielną jednolitość stylową, że nie wolno inkrustować jej materiałem autentycznym oprawianym w ramy o całkiem innym wyglądzie.

Już te fakty dowodzą, że słowa Sienkiewicza o poczuciu artystycznym nie są pustym frazesem. Ale dlaczegóż realizacji tego poczucia miał się przeciwstawiać kierunek pozytywistyczny? Sienkiewicz i w tej sprawie miał rację. Jak zaś tę rację rozumieć, wyjaśniam przy pomocy tej oto hipotezy. Zastanawiając się nad typem artyzmu Sienkiewicza, Prus napisał: „Sienkiewicz ma smak arystokratyczny. W najwstrętniejszym przedmiocie znajdzie on jakieś cechy ładne, te wysuwa na pierwszy plan, a brzydkie zaciera. Gdy nie może tak zrobić z przedmiotem, wówczas oświetla go piękną sytuacją, a gdy mu i tego zabraknie — ozdabia melodią wyrazów" (*Kraj*, 1884, nr 30).

Sienkiewicz był niewątpliwie pisarzem, któremu z trudnością przychodziło kontrastowanie moralne charakterów ludzkich oraz ich ocena wśród środowiska rzeczywistego, współczesnego. Naiwność „Rodziny Połanieckich" i „Bez dogmatu" posiada tutaj pełną wymowę. Tymczasem pozytywizm przymuszał pisarza przede wszystkim do powieści współczesnej, problemowej. Wczesne nowele Sienkiewicza świadczą, że potrafił on nagiąć się w potrzebie również i do takich zadań, ale widocznie przychodziło mu to z trudnością, widocznie wymagało pewnego przymusu artystycznego, widocznie Sienkiewicz przeczuwał, że nie w tym spoczywa siła jego artyzmu.

Powie ktoś jednak, że przecież Sienkiewicz potrafił wymyślić tyle postaci krzyżackich, gdzie nie ma mowy o wysuwaniu cech ładnych przed odrażające. Powie dalej, że i w „Ogniem i mieczem" świat kozacki ukazany jest w sposób daleki od arystokratycznej sielanki. Wątpliwość taka bynajmniej nie podważa słuszności uwag Prusa i konsekwencji tych uwag. Przenikliwość psychologiczna Sienkiewicza ogranicza się tylko do zjawisk oczywistych, powszechnie uznawanych za odpychające psychologicznie i moralnie; powiem więcej, właśnie w zakres sielanki patriotycznej każdego narodu wchodzi doskonale to, że jego wrogowie są czarni, jak najczarniejsi, możliwie najbardziej pozbawieni cech ludzkich. Rzecz ma się inaczej, kiedy trzeba wartościować w obrębie własnego społeczeństwa, kiedy trzeba wyciągać wnioski z dotkliwych, każdego dotyczących problemów współczesności, a ku temu zmierzała powieść pozywistyczna. Takie postępowanie było poza zasięgiem artystycznym Sienkiewicza i dlatego zapewne tak chętnie skorzystał z faktu, że powieść historyczna pozwala tych konsekwencji uniknąć w wyższym stopniu, niż powieść współczesna. Ale nie pozwala ukryć ich w sposób zupełny i Prus ma głęboką rację, kiedy rozważania nad arystokratyzmem artystycznym Sienkiewicza kończy takim wnioskiem: „Ten wrażliwy smak jest bodaj czy nie

jgłębszą cechą jego usposobienia; kto wie, czy nie on stworzył „historiozo-ę" powieści „Ogniem i mieczem". Autor tak nie lubi podawać czytelnikowi eczy gorzkich, że nawet zmienił dzieje, pełne — tylko goryczy".

Lecz bez względu na to, jak się przedstawia sprawa początków „Ogniem nieczem", czy tak, jak ją tutaj odtwarzamy, podkreślając przede wszystkim tystyczne motywy przemiany Sienkiewicza, czy też w sposób inny, powo-enie, jakiego zaznało „Ogniem i mieczem", a później reszta „Trylogii", żdego pisarza utwierdziłoby w powziętym zamiarze pisarskim. Nic więc iwnego, że utwierdziło również Sienkiewicza, chociaż powodzenie to było ólną niespodzianką, tak dla samego pisarza, jak dla jego kolegów po piórze. wsze sprawiedliwa w swoich sądach i prawie nigdy nie ulegająca zawiściom erackim Orzeszkowa po przeczytaniu „Latarnika" przepowiadała: „wielki ent ten nie ma długiego życia przed sobą. Brak mu gruntu, z którego by ógł długo soki pożywne czerpać". („Listy", I, 189). Ta niespodzianka po-ągnęła za sobą pewien charakterystyczny, retrospektywny błąd, powtarza-cy się u wszystkich badaczy zajmujących się Sienkiewiczem. Trzeba było piero zawodowego historyka (O. Górka), by ten wyręczył historyków lite-tury i zwrócił uwagę na to zjawisko. Błąd polegający na przypisywaniu enkiewiczowi świadomego planu takiego właśnie cyklu, świadomego zało-nia jego podstaw ideologicznych: „chęć pokrzepienia serc". Wśród badaczy „monumentalną" interpretację najsilniej reprezentuje K. Wojciechowski.

Tymczasem nic podobnego. Zaczątki „Ogniem i mieczem" mocno przypo-nają genezę „Pana Tadeusza". Mickiewicz zamierzał napisać „poema siel-ie" w rodzaju „Hermana i Doroty" Goethego, a stworzył epopeję narodową. enkiewicz zamierzał napisać jednotomową opowieść „Wilcze gniazdo", osnutą okół romansu rycerza Skrzetuskiego z kniaziówną Kurcewiczówną. Ale „Pan adeusz" rozrósł się do swoich wymiarów moralnych i artystycznych już w rę-pisie Mickiewicza. Przekazany nam wygląd tego poematu jest tworem cał-wicie autonomicznym. „Trylogia" pisana była z odcinka na odcinek, wśród tawicznych podróży Sienkiewicza. Rozrosła się do swoich wymiarów pod pływem niebywałego powodzenia jej pierwszych części. Nie jest tworem k autonomicznym, po równi stanowi dzieło pisarza, co w y t w ó r s y t u a-i i d e o w e j czasu, jego niezaspokojonych potrzeb i to dla jej oceny i zro-mienia jest bodaj najważniejsze. „Trylogię" podpędzali czytelnicy, niczym ecierpliwy ogrodnik roślinę w inspekcie. Jest więc cykl Sienkiewicza przy-adem zamówienia społecznego, zrealizowanego natychmiast i ponad oczeki-nia obydwu stron: twórcy i odbiorców. Jest tworem zupełnej symbiozy po-ędzy pisarzem a określonymi potrzebami czytelników.

Symbioza tak całkowita i raczej pochodząca z potrzeb czytelników, iżeli z zamiaru pisarza, posiada wszelkie szanse przemijalności. Sława ola, którego po śmierci na Wawelu chciano chować, stanowi jej przykład. ymczasem w sprawie Sienkiewicza jest inaczej: ta zgodność jest trwała i nie ołały jej naruszyć najsłuszniejsze nawet wystąpienia krytyczne. Widocznie tem wokół określonej sytuacji ideowej, bo ta przemija, ta się nie powtarza,

uczyniony został zabieg posiadający pewną gwarancję trwałości. Widocznie zatem — prościej mówiąc — Sienkiewicz wniósł jakieś odpowiedzi trwalsze od tych żądań, które współdziałały przy kształtowaniu „Trylogii" przez jej pierwszych czytelników.

Sienkiewicz trafił „Trylogią" na moment dosyć szeroko odczuwanego znużenia hasłami pozytywizmu. Nie było to jeszcze znużenie, jakie w dziesięć lat później miało doprowadzić modernistów do konsekwentnego pesymizmu, ale było już na tyle wymowne, by żądać odmiany i odnowy. Tę atmosferę najlepiej skreślił St. Witkiewicz w książce o Juliuszu Kossaku: „Swojski i popularny ideał sprzed niewielu lat zanikał, rozlewał się w kosmopolitycznym geszefciarzu, lub „pozytywiście", nowy dotąd się nie uformował, nie określił". Ale było w tym zjawisku znużenie jeszcze ważniejsze: społeczeństwo polskie nigdy się nie czuło i nie czuje dobrze wśród prądów racjonalnych, domagających się samokontroli myślowej. Witkiewicz doskonale to podkreśla: „(pozytywizm) posunął społeczeństwo naprzód za ogólnym prądem europejskiej cywilizacji, lecz żeby trwać i rozwijać się, potrzebował ciągłego i silnego napięcia świadomości, nieustannej i czujnej pracy myślowej i zasobu wiedzy, którego w odpowiednim stopniu nie było. Społeczeństwo, które tak jak człowiek pojedynczy, nuży się brakiem określonych i ustalonych pojęć i celów, zaczynało się też męczyć walką zasad i nowością haseł i zagadnień sobie narzucanych..."

Tę też atmosferę znużenia pozytywizmem, atmosferę niewiary we własne siły narodu polskiego przytacza się po dziś dzień jako niezbity dla apologetów Sienkiewicza argument słuszności ideowej i prawdy artystycznej jego cyklu. Chociaż to prawda najbardziej niewątpliwa, czas już przestać traktować ją tak jak *anno Domini 1884*. Czas całą tę sprawę zinterpretować inaczej.

„Trylogia" w swoim bezkrytycznym uznaniu dla przeszłości i dla najzwyklejszych cech polskiego charakteru narodowego posiada znamiona dzieła wybitnie kompensacyjnego, przez swoją przesadę nastawionego na pewne lecznictwo kompleksów psychosocjalnych. Nastrój, w jakim znajdowało się społeczeństwo polskie w dwadzieścia lat po powstaniu styczniowym, na pewno był przesadny w niewierze we własne siły, przesadny w krytyce przeszłości, przesadny w kreśleniu wad narodowych. Przesady nie leczy się jednak nigdy spokojnym i sprawiedliwym wyznaczaniem rachunku wartości i braków. Przesadę leczy się zawsze — inną przesadą. Na kompleks małej wartości ówczesnego społeczeństwa polskiego odpowiedzią było pobudzenie do życia kompleksu buńczucznej pewności siebie. Tego dokonał Sienkiewicz i takie postępowanie stanowi typową terapię kompensacyjną, typowe lecznictwo zastosowane do psychiki zbiorowej. Że społeczeństwo ówczesne gwałtownie takiej terapii poszukiwało i to nawet wbrew treściom przynoszonym przez danego artystę, dowodzi tego (powrócimy jeszcze do tego problemu) powodzenie pesymisty - Matejki, ujrzanego w roli gloryfikatora przeszłości. Sprawa zaś z Sienkiewiczem posiada jeszcze dalszą wymowę: ówczesny nastrój społeczeństwa polskiego rozproszył się pod wpływem „Trylogii", ale l e k a r

wo pozostało w niezmienionej postaci. Pozostała nadmierna, zesadna, jednostronna kompensacja, pozbawiona tła historycznego, jakie ją owodowało, pozostała i bywa oceniana ciągle nie jako lekarstwo, lecz — ko potrawa normalna.

Tym uporczywiej się to powtarza, ponieważ w tej kompensacji jest wiele prężenia, jak zawsze zresztą przy podobnym zjawisku. W znużenie spoczne lat osiemdziesiątych Sienkiewicz utrafił nie jakąś szczególnie nową ideą, i szczególnie nową formą pisarską, ale tym, co najbardziej podnieca ludzi użonych — budującym wypoczynkiem. Bo w dziełach historycznych Sienkiewicza mieszczą się niewątpliwie wartości budujące dla kogoś, kto t znużony lub wątpi o swoim znaczeniu. Wartości te zawierają się w powarzanych przez wszystkich krytyków formułach o „żywiołowej sile plennej" (Witkiewicz), „instynkcie plemiennej żywotności" (Potocki) etc. any duchowe, które mogą wyglądać na wielce irracjonalne, a nawet trudne, yby nie to, że dla ich odszukania w duchowości polskiej nie trzeba większego wysiłku. Po prostu pewnym najczęstszym właściwościom tej psychiki ystarczy się powierzyć w sposób wypoczynkowy i bezwysiłkowy, ażeby do ch dotrzeć. Wybuch entuzjazmu i popularności wywołała zbieżność znunia społecznego z odpowiedzią przez nie szukaną, a właściwie gotową w psyice polskiej, tyle że przez Sienkiewicza dojrzaną z wielką prawdą artyczną. Wybuch, który pozostawił skutki trwałe. Chociaż potrzeba pokrzenia była przemijająca, dostarczone jej pożywki nie wietrzeją tak szybko.

Cóż bowiem oznaczają te najczęściej spotykane formuły, mające wyjaśnić czątkową gwałtowność i późniejszą trwałość powodzenia Sienkiewicza? Podzenia o sile, instynkcie plemiennej żywotności same przez się nic dokładgo nie mówią. Należy określić ich specjalnie polską zawartość psycholoczną, a nie poprzestawać na ogólnikach. Każdy naród posiada bowiem swojej historii pewne sfery pobudliwe, a w swoim charakterze pewne scheity, które najłatwiej dają się zaktywizować, jeżeli celnie w nie utrafić. każdym narodzie noszą one podobne nazwy siły narodowej, instynktu żyotnego, ale też za każdym razem inny zespół zjawisk historycznych i psyicznych oznaczają. Duch nordycki, *gesta Dei per Francos*, posłannictwa, zania. Cóż ta plemienna żywotność oznacza w warunkach polskich, do czego ona odwołuje?

Trudno sięgać do całego zakresu zagadnienia. Ograniczę się do formuły arakterologicznej. Przewaga niefrasobliwości biologicznej nad rozwagą hiryczną, przewaga doraźnego optymizmu nad rzeczową trzeźwością, przeiga pobudliwości uczuciowej nad planowaniem intelektualnym, przewaga decyzjach życiowych i światopoglądowych tych wszystkich motywów, które chodzą ze sfery uczuć praktycznych, konkretnych, nad tymi, które wynijąc z przewidywania rozumowego i rozstrzygnięć teoretycznych, domagają wcielenia w życie — oto co nosi u nas nazwę żywotności. Porywczy onserwatyzm witalny. Porywczy, bo pracujący skokami, zapadacy świetnie w okresy bezwładu, konserwatyzm, bo pracujący stale według

tego samego schematu („jakoś to będzie"), witalny, bo nie przeczuwający, że może istnieć żywotność całkiem inna: trzeźwa, intelektualna, przyczajona w potrzebie. Pomijam w tej chwili całą szlachecką genealogię takiej żywotności. Dość, że do takiego zespołu odczuwań przeciętna psychika polska najchętniej się odwołuje w ciężkiej sytuacji. Ten zespół, kiedy mu przydać wartość, kiedy ośmielić do jego wysokiej oceny, odczuwany jest jako wzmożenie żywotności. Prowadzi on bowiem do wzmożonego zaufania w siły, które drzemią w przeciętnej psychice i bardzo łatwo dają się zaktywizować, byle postawić przed nimi prosty, dostępny cel.

Sienkiewicz ośmielił do wysokiej oceny i postawił prosty cel. Polską żywotność barokową, a w niej to do szczytu doszły cechy opisywane, historia podsumowała w bilansie skończenie ujemnym: czasy saskie i rozbiory. Szkoła historyczna krakowska jeszcze bardziej ten wynik ujemny podkreśliła. Można było sądzić, że źródła te na długo zostały zasypane. Tymczasem Sienkiewicz właśnie do nich sięgnął. Nie przez jakąkolwiek nową ideologię, ale po prostu przez ich wysoką ocenę artystyczną, przez umiejętność ukształtowania ich w sposób plastyczny i pociągający. Głównym argumentem ideologicznym Sienkiewicza jest... jego łatwo przyswajalny artyzm. Argumentem jest taka budowa powieści, że swoiste poczucie prawdy narzuca sprawom skądinąd bardzo od prawdy dalekim. Doskonale sformułował to Prus: „Szkielet powieści jest zupełnie fałszywy. Pomimo to charaktery powieści są jednolite, następstwo sytuacji logiczne, a całość robi wrażenie, jak gdyby autor o wojnie z Chmielnickim napisał najświętszą prawdę".

Ośmielił Sienkiewicz do wysokiej oceny przez swój specyficzny artyzm, interesujący i pociągający. O tym artyzmie pomówimy osobno. Przy przejściu Sienkiewicza do powieści historycznej względom czysto artystycznym przypisaliśmy wyższą niż to się zwykle czyni rolę. Podobnie rzecz się ma z oddziaływaniem jego powieści. Ich dostępny, oczywisty artyzm posiada w tej mierze znaczenie nie mniejsze od ideologii. Prosty zaś cel postawił Sienkiewicz przez odwołanie się do takiego rozumienia historii, które równie jest dostępne jak jego sztuka. Znakomicie ujął to krytyk, zresztą w pełni Sienkiewiczowi przychylny i chętny, tyle że pisujący w latach, kiedy zwolennicy tego pisarza mieli jeszcze oczy otwarte — Antoni Potocki. Oto jego słowa:

„Genialna przeciętność wszystkich koncepcyj składających „Trylogię", tu na terenie gardłowej sprawy obudzenia instynktu, podniesienia żywotności, napędzenia krwi do serca współczesnych — jest właśnie rękojmią skuteczności wpływu". I te jeszcze zdania: „Nikt jak on nie potrafił tak organicznie odwołać się naraz do najniższych i najwyższych pobudek — tak grać jednocześnie na słabościach i sile... (Koncepcja jego) jest idealnie-narodową w całości, w docieraniu zaś do szczegółów narodowo-realną. To znaczy, mówi ogólnie o wieczystej prawdzie ukochania ziemi, tradycji, narodu, przeszłości i przyszłości; zarazem zaś dociera do tych prawd drogą najpospolitszą — szowinistycznej, tj. takiej, jaką ogół chce mieć, gloryfikacji w czambuł wszystkiego". („Polska literatura współczesna").

W PACUNELACH

(„POTOP")

Tak się daje rozwikłać i do bardziej uchwytnych sądów sprowadzić twier dzenie o rozbudzeniu „żywiołowej siły plemiennej". Sienkiewicz na pewno j rozbudził, ale jaką jest ona w istocie i jak ją rozbudził — t sprawy dosyć odmienne. Tylko w interpretacji artystycznej Sienkiewicza t siła plemienna staje się aż taką wartością historyczną. Nawet tej miary entu zjasta Sienkiewicza co St. Tarnowski, dziwi się jej wynikowi w „Trylogii" „Gdyby ówczesna Polska była taka, jak się ukazuje tu w bohaterskich posta ciach i bojach, to te boje byłyby się skończyły inaczej". Nie czasami saskim łatwo to dopowiedzieć...

Takie postawienie problemu wyjaśnia również, dlaczego ataki wymierzon w Sienkiewicza tak bez skutku ześliznęły się z jego dzieł. Stwierdziliśmy, ż wartości lecznicze jego pism nie przez Sienkiewicza dopiero zostały ukształ towane, ale że są to wartości, do których w potrzebie uciekała się i uciek przeciętna psychika. Wobec tego w atakach tych Sienkiewicz był tylko celem pozornym. Mierząc w jego dzieło, trafiało się w problemy inne, bardziej za korzenione w psychice narodowej. I obrona Sienkiewicza również była po zorna. Nie o kilka pięknych powieści historycznych chodziło obrońcom, lec o treści, do których wysokiej oceny te dzieła ośmieliły.

Dlatego w tym pierwszym wyglądzie sprawy Sienkiewicza jest coś tragicz nie nierozwiązalnego. Coś, co budzi zarazem najgłębszy niepokój na myśl, ż istnieje naród, dla którego popularnym wzorem postępowania historycznego są przykłady, za których realizację płaci cenę coraz bardziej lichwiarską, co raz bardziej przerastającą jego możliwości biologiczne. Płaci w znacznej mie rze dlatego, że znalazł się w tym narodzie artysta, który napisał kilka po wieści historycznych pełnych pasjonujących przygód i arcyżywych postac Który dał codziennej historiozofii tego narodu ujęcie artystyczne zdolne właśnie na co dzień i do każdego przemówić.

A skoro tylko w ujęciu artystycznym Sienkiewicza jego ideologia i historio zofia posiadają swoistą wartość, pora temu ujęciu się przyjrzeć.

III

We wspomnieniach swoich („Przez dwa fronty") opowiada T. Hołówko oto fakty, znamienne dla całego pokolenia urodzonego około 1890 roku: jak ośmioletni chłopak, po pierwszej lekturze „Ogniem i mieczem", ponieważ je niskiego wzrostu, widzi siebie w postaci Wołodyjowskiego; jako czwartokl sista w gimnazjum jest Skrzetuskim... „niezłomnym, poważnym w spełnian swoich obowiązków", by zakochać się wreszcie w postaci Bohuna i w swo wyobraźni nim pozostać. Jarosław Iwaszkiewicz w podobny sposób wspomi „Czytanie Sienkiewicza" (w „Pejzażach sentymentalnych"): „Zagłoba to p Madejski, który przymrużając oczy opowiada nam różne kawały, pan M szalski — to pan Mieleniewski, który chodzi w czarnym kożuszku z szaryn wyporkami... Fabryka staje się fortecą, którą oblegają Tatarzy, pan Mi leniewski jej broni, a pan Madejski fortelem ocala nas od zagłady; gdy się

eś wyjedzie, nie widzi się pól uprawnych, a tylko rozległe, nieprzebyte
py, bodiaki tam rosną, i w trawie, po pas wysokiej, jadą: Helena, Rzędzian,
głoba i Wołodyjowski."

Cóż znaczą te świadectwa, przełożone na język terminów krytycznych?
Sienkiewicz jest ostatnim chyba pisarzem dużej miary, któremu udało się
prząc do współdziałania te elementy powieści, jakie już przed nim uległy
zszczepieniu, a po nim trwają w skłóceniu coraz ostrzejszym. Powieść wywo-
i się z gatunku pełnego przygód, fantastycznych bądź awanturniczych po-
kłań. Dopiero względnie późno przyswoiła sobie znajomość postaci ludzkiej.
stać prawdziwa, skoro raz została wprowadzona do powieści łącznie ze swo-
tłem obyczajowym i społecznym, zwolna ale konsekwentnie zepchnęła na
ryferie gatunku jego składnik najdawniejszy — przygodę, akcję. Ale element
zygody, chociaż coraz konsekwentniej usuwają go powieściopisarze, bynaj-
niej nie maleje w oczekiwaniu czytelników. Chociaż zdegradowany ze sta-
wiska służącego konstrukcjom artystycznym wyższego stopnia, wyłania z cza-
n specjalne odmiany, w których akcja może się w pełni „wyżyć": powieść
yminalną. (Nasycenie pozostałego głodu przygody objął film). I zwykły
ytelnik tylko czyha, kiedy znajdzie się pisarz, który ten głód przygody
ż w nim zaspokoi, że przy sposobności i jego wyższym aspiracjom coś kapnie.

Powieści historyczne Sienkiewicza są naprawdę interesujące. Są nimi dzięki
nu, że stare i znane schematy romansu przygód umiał on dopełnić takimi
staciami ludzkimi, bez jakich zasadniczo ten romans mógłby się obejść.
omansowi takiemu wystarczą zasadniczo kukły i manekiny psychologiczne,
enkiewicz natomiast zdołał wkomponować w te schematy zespół postaci
tyle indywidualnych, że nie są kukłami, na tyle zaś z drugiej strony umow-
ch, że nie grozi czytelnikowi, iż będą się pod jego stopami otwierać zapadnie
ychologiczne, wciągając go w problemy zbędne dla biegu zdarzeń.

Postać sienkiewiczowska jest bowiem specjalnego typu. Sienkiewicz jest zna-
mitym twórcą *bohaterów*, ale nie bohaterów w sensie nadludzkim, którzy
konują wciąż czynów heroicznych, lecz bohaterów w innym rozumieniu:
dzi, których psychologia składa się z kilku rysów zasadniczych, stale się
wtarzających i którzy o tyle pozostają bohaterami w pierwszym z wy-
enionych znaczeń, że *nigdy nie przestają być sobą*, nawet w okoliczno-
ach najmniej sprzyjających ich psychice. Tersytes, chociaż od bohaterstwa dale-
nie przestaje być bohaterem w tym właśnie pojęciu, ponieważ pozostaje tchó-
em nawet wówczas, kiedy choć trochę, dla siebie samego, winien zapomnieć
swoim tchórzostwie. Zagłoba nie przestaje być bohaterem, ponieważ kluczy
wsze i nie zmienia się nigdy. Rzędzian o swoim trzosie pamięta zawsze.
micic będzie warcholił i junaczył nawet na swoją szkodę, chociaż w ilu on
je okolicznościach, kiedy przydała by mu się rozwaga. Ale Kmicic rozważ-
, Zagłoba dzielny, Rzędzian skrupulat moralny przestając być sobą, prze-
liby być bohaterami.

„Gargantua i Pantagruel są prawdziwymi bohaterami. Bohater jest zawsze
olbrzymieniem i uproszczeniem... Wszyscy oni są utkani przez autorów

z paru najprostszych cech psychologicznych, podobni do kukiełek w teatrz marionetek, które mogą wykonywać parę zasadniczych ruchów. Wykonują j za to niezmiennie. Są szlachetni, bohaterscy, podli lub odważni od urodzenia a do śmierci..." Te słowa pisze Jan Kott („Mitologia i realizm") z myślą o bo haterach Vernego czy Maya, ale nie mniej trafnie, choć na wyższym stopni artystycznym, wyznaczają one szkielet psychiczny bohaterów Sienkiewicza Przedstawioną tutaj własność Sienkiewicza zauważył pierwszy bodaj Prus przynależny do tego okresu w rozwoju powieści, kiedy bohater ludzki nie do znał jeszcze rozbicia na składające go atomy. Samą zasadę Sienkiewicza przyj muje on w sposób chętny i uważa ją za obowiązek pisarza, bez którego nie jes on zdolny skonstruować prawdziwej postaci: „Pewna miara, ale — miara prze sady w uwydatnianiu jakiejś cechy charakterystycznej jest dla pisarza koniecz nym warunkiem. Autor przecie pokazuje palcem, że ten a ten człowiek ma te i t właściwości, a że jednocześnie pomija inne cechy, więc tym samym poprzedni wzmacnia. Taka jednak przesada jest pierwszym warunkiem sztuki, bez niej bez silnego akcentowania cech czytelnik nie pozna charakteru." Ale ten san Prus, prawdziwy klasyk powieści, głoszący wybór i odrzucanie cech drugorzę dnych, kiedy mu przyjdzie ocenić wynik tego postępowania u Sienkiewicza uważa, że autor „Trylogii" zbyt „przeakcentował", że nie zachował miary „Śmiertelnie kąsająca osa (jak sam mówi o Wołodyjowskim), sfinks ze łben wieprza, nazwany Zagłobą, gilotyna w ludzkiej postaci Podbipięta, i —Jezu Chrystus w roli oficera jazdy Skrzetuskiego. Takie zbiegowisko i takich cha rakterów może zrobić silne wrażenie, niemniej jest ono dziwaczne."

Tak więc i sąd Prusa potwierdza zdanie o postaciach Sienkiewicza jak bohaterach w sensie niezmiennych, jaskrawo narysowanych charakterów. Zda rzenie i postać, oto elementy budowy powieści sienkiewiczowskiej. Ale zdarzeni osnute wokół takiego materiału historycznego, że posiada on w umyśle czytel nika swoją dodatkową wagę. Przyrodzona ciekawość przygody nasyca się mate riałem, który ją przesłania, który sprawia, że czytelnikowi wydaje się, że bież on za losami Zagłoby czy Bohuna nie dla prostej ciekawości tych losów, lec w imię wielkiej sprawy dwóch narodów.

Powie ktoś może, że teza o postaci i odmianie powieści jako przyczynac powodzenia Sienkiewicza jest słuszna tylko na terenie polskim. Tymczasem kariera międzynarodowa jego dzieł potwierdza to w sposób bodaj jeszcz ostrzejszy. Ostrzejszy przede wszystkim dlatego, ponieważ ów rozdźwięk pomiędzy opinią czytającej masy a sądem pisarzy uwypukla się tutaj dobitnie aniżeli w Polsce. Rzadko kiedy znajdzie się tam wśród twórców i wybitnych krytyków sąd naprawdę chętny Sienkiewiczowi. To zjawisko jest tym znamien niejsze, że próba wyglądająca w pewnej mierze dosyć podobnie, w innej, o któ rej zaraz mowa, prawie identycznie, dokonuje się na podstawie nie „Trylogii" lecz innego dzieła Sienkiewicza — „Quo Vadis". A skoro wnioski wysnuwane na podstawie odrębnych materiałów okazują się podobne, zatem...

Obfitą wiązkę tych sądów zestawiła skrzętnie Maria Kosko w książce „La fortune de „Quo Vadis" en France". Wiązkę tym wymowniejszą, jeżeli pamię

tać, że styl krytyki francuskiej jest bez porównania oględniejszy, niż polskiej. Najbardziej jaskrawe w tym rejestrze są takie fakty, jak np. uczestnictwo „Quo Vadis" w zestawionym przez Leona Daudet „katalogu fałszywych arcydzieł" (por. St. W. „Monografia o „Quo Vadis" Sienkiewicza", *Przegląd Współczesny*, listopad 1926), albo też sąd belgijskiego slawisty Claude Backvisa, dla którego Sienkiewicz to „najbardziej wulgarny autor polski" („Myśli o literaturze polskiej", *Przegląd Współczesny*, czerwiec, 1935). Nie możemy posądzać cudzoziemców o jakąś z góry powziętą niechęć do Sienkiewicza — „Quo Vadis" dzieje się w wieku i otoczeniu zrozumiałym dla każdego europejczyka — ani też o to, że cudzoziemcy go nie „zrozumieli", skoro rozumieją Dostojewskiego, Ibsena, pisarzy dalekich od ich przyzwyczajeń literackich. Doświadczenie zagraniczne wskazuje najwidoczniej na pewne obiektywnie istniejące właściwości Sienkiewicza, właściwości odczuwane jako niewspółmierne, zbyt naiwne wobec wymagań współczesnej powieści.

Tę próbę nazywam dosyć podobną do polskiej. Obok niej próba z polską absolutnie identyczna: rozmiar powodzenia Sienkiewicza wśród najszerszej publiczności, powodzenia, które swoim lawinowym rozpędem przymusza znawców, by zwrócili uwagę na tego pisarza. „Dzieło to *(Quo Vadis)* rozeszło się w niecałych dwu latach w przeszło 400 000 egzemplarzy po drugiej stronie kanału i Atlantyku. Tak w Ameryce, jak i w Anglii, „Quo Vadis" wywołało prawdziwe uniesienia zachwytu. Imię Ligii stało się tam popularne. Wystarczy, by zapaśnicy i atleci wystąpili przed publicznością pod patronatem Ursusa, a natychmiast jednają sobie względy". (Por. M. Brahmer „Literatura polska we Francji", *Przegląd Współczesny*, lipiec 1923, cytat z artykułu A. Wodzińskiego w *Revue des deux mondes)*.

A we Francji? Książka M. Kosko przynosi szczegóły wręcz fantastyczne. W roku 1901 wydawało „Quo Vadis" czterech wydawców równocześnie, powieść dana do sprzedaży 19. VII. 1900 w dniu 17. X. 1901 osiągnęła w najbardziej rozpowszechnionym wydawnictwie (pamiętajmy, że jednym z czterech!) 340 wydań po 500 egzemplarzy. Fachowcy nazwali to „jednym z najbardziej niezwykłych sukcesów, jakie zapisała kiedykolwiek historia książki". Ba, żebyż tylko nakłady! W Nicei na cześć „Quo Vadis" urządzono bal kostiumowy, na którym spotkały się wszystkie, nie wyłączając dzikich zwierząt, postaci tej książki. W Paryżu znalazł się właściciel stajni wyścigowej, który ochrzcił swe konie imionami Ligii, Winicjusza i Petroniusza. Koń nazwany „Quo Vadis" okrył się chwałą, wygrywając Wielką Nagrodę Paryża.

Identyczne z polskimi są w tym zjawisku powody rozgłosu wśród czytającej masy: postać powieściowa. Koń biegający pod imieniem Ligii. Bokser przybierający miano Ursusa, a przez to zyskujący popularność. Czy jesteśmy bardzo daleko od rozpowszechnionych w czasie tamtej wojny pseudonimów legionowych, czerpanych najgłówniej z Sienkiewicza? Zestawmy argumenty zwolenników z jednej, zaś przeciwników Sienkiewicza z drugiej strony, a otrzymamy znów ten sam wynik. „Wszystkie postaci są nakreślone świetnie; nawet najbardziej podrzędne wyróżniają się plastyką" — powiadają zwolen-

nicy. Przeciwnicy zaś tylko temu jednemu argumentowi nie zaprzeczają, wskazując jedynie pochodzenie tych postaci od Dumasa: „Co do postaci, które wywołują tyle uniesień, odnaleźć je można prawie wszędzie, lecz nade wszystko u naszego niewyczerpanego gawędziarza narodowego". (Por. M. Kosko, op. cit. 20—21). Nie tylko Francuzów tak uwodziła plastyka postaci sienkiewiczowskich: ciekawy przypadek, jakże podobny do tego, gdzie ktoś modlił się za duszę Podbipięty, przytacza St. Wędkiewicz z książki szwedzkiego przyjaciela Polski A. Nyströma: „Kmicic dla Nyströma jest równie ważnym współtwórcą zwycięstwa nad Karolem Gustawem, jak Czarniecki, Kordecki lub Jan Kazimierz" (L. c. str. 315). Wciąż ta fascynacja postacią sienkiewiczowską!

Tak więc motywy zagranicznych sukcesów Sienkiewicza oraz właściwie zinterpretowane motywy jego niebywałej popularności w Polsce prowadzą do jednego i tego samego wyniku: przyczyn powodzenia należy szukać nie tyle we względach ideologicznych. Te przyczyny całkowicie się mieszczą w powieści Sienkiewicza, jako pewnym zjawisku artystycznym. Mieszczą się w konstrukcji postaci, która jest interesująca, ale w niczym nie pogłębia naszej znajomości człowieka, w układzie akcji, który jeszcze bardziej wciąga i porywa, ale prawie niczego nie uczy o istotnych prawach i znaczeniach epok, nad którymi zatrzyma się pióro Sienkiewicza.

Z wyglądem postaci i sposobem prowadzenia akcji ściśle się wiąże typ prozy Sienkiewicza. Sienkiewicz jest zamaszysty, pełen biologicznego temperamentu, pełen sarmackiej niefrasobliwości, jeżeli chodzi o psychologiczne i socjalne treści jego dzieła, ale w wyrazie stylistycznym jest on całkiem inny. Tę różnicę najłatwiej rozpoznać, zestawiając z Sienkiewiczem jego naśladowców. Temperament doprowadzają oni aż do powierzchni zdań, burzą ich budowę, niespokojnymi zawijasami stylistycznymi usiłują się zbliżyć do swojego patrona. Tymczasem zamaszysty od wnętrza, że tak powiem, Sienkiewicz, zarówno w układzie poszczególnego zdania, jak w kompozycji całych tomów, jest spokojny, opanowany, przemyślany, klarowny. Podkreślaliśmy już, jak bardzo świadomym był on artystą. J. Ochorowiczowi mówił — „dla mnie pisanie to katorga", a tenże Ochorowicz świadczy, że „Sienkiewicz przede wszystkim obmyślał długo i przetrawiał wszystko to, co miał pisać — aż do najdrobniejszych szczegółów".

Z tego opanowania stylu, z jego spokoju dalekiego od burzliwości przedstawianych czasów i utajonego w nich tragizmu, Brzozowski kuł główną broń przeciwko Sienkiewiczowi. Nie będziemy tego procederu powtarzać. Ta strona artyzmu Sienkiewicza jest bowiem najtrwalsza w jego dorobku, zupełnie niepodległa skażeniom i niedostatkom widniejącym w innych warstwach jego dzieł. Dlatego powtórzyć wypada za Żeromskim („Elegie"): „Nikt go nie prześcignął w spokojnej, prostej, a doskonale pięknej budowie zdania, w logicznym rozwoju okresów, uwydatniających obrazy i ukazujących myśli. Czytając utwór Sienkiewicza jakiejkolwiek natury, nie doznajemy przykrości i nieznośnych zahaczeń o skazy, zadry i szczerby, — ani jednego tam fałszu dla oka, ani

jednego dla ucha. Trzeba mu przyznać pierwszeństwo, jako mistrzowi sztuki pisania, samego kunsztu wypowiedzenia się po polsku na piśmie".

Dlatego sąd taki jest prawdą niewątpliwą, ponieważ język prozy artystycznej Sienkiewicza wypracowany został na podstawie jakiejś wspólnej, najbardziej dostępnej każdemu normy polszczyzny. Nie przeprowadzono w tym kierunku żadnych badań, dlatego trzeba poprzestać na określeniach dosyć doraźnych. I znów pewne sądy będą tutaj bardzo znamienne. Przede wszystkim zdanie Żeromskiego dotyczące „Szkiców węglem" i ich wpływu na rozwój prozy polskiej: „Kto przeżył ten wpływ w młodości, ten musi stwierdzić, iż na tle owoczesnego pisarstwa było to słowo nowe, inne, własne, wydobyte z pospolitego języka, z mowy codziennej szlachty, mieszczan i chłopów". Otóż to: słowo własne wydobyte z pospolitego języka. Rzecz ciekawa, że jedyny pisarz, który Sienkiewicza uważał za złego stylistę („każdy jego utwór prosi się o ołówek sumiennego korektora"), a mianowicie Świętochowski, tę dyskwalifikację uzasadniał w słowach identycznych co Żeromski swoją pochwałę: „styl jego jest mową codzienną w wyższej potędze". *(Prawda,* 1884, nr 32).

Ale ten niesłychanie przejrzysty i dostępny typ prozy, na pewno szczytowy w naszej literaturze, jeżeli chodzi o te cechy, inaczej poczyna działać, kiedy się z nim stowarzyszy postać powieściowa, utrwalona w schematycznym wyglądzie psychiki i akcja, prowadzona tylko pod kątem budzenia ciekawości. Bo w takim układzie środki artystyczne Sienkiewicza stają się sposobami najmniejszego oporu artystycznego. Są to środki, które najprościej docierają do czytelnika, które utrwalają się w nim tak, że gotów ich nie dostrzegać i sądzić, że przemawia do niego sama głęboka oczywistość historyczna, a nie specjalny zabieg artystyczny na ciele tej rzeczywistości dokonywany. Ten styl nie stawia żadnych przeszkód budującemu wypoczynkowi. Natomiast wartość jego poszczególnych osiągnięć jest bardzo nierównomierna. Sienkiewicz jest pisarzem tym bardziej wątpliwym, im bardziej sięgamy w cechy, które rozwinęła wielka powieść europejska jego czasu — psychologia postaci i poznanie socjologiczne poprzez powieść. Tym czystszym artystycznie i niewątpliwym, im bardziej się zbliżamy do wypracowania prozy, stylu, w sensie — łupiny. Klasyk wyrazu zewnętrznego, tym klasycyzmem okrywający twórczość o silnej skali żywotności, a wąskiej skali myśli.

Dlatego zapewne twórczość jego mimo uprawianej apologetyki ideologicznej ulega we wrażliwości współczesnego czytelnika znamiennemu przesunięciu. „Trylogia" przesuwa się w sferę bliską „Pustyni i puszczy", powieści, którą wielbiciele Sienkiewicza zaczynają wysuwać na czoło jego dorobku (por. St. Papeé „Arcydzieło Sienkiewicza", *Odrodzenie,* 1946, nr 19). Czy teza taka zdoła się utrzymać, rzecz to inna. Sam fakt jest znamienny. Dzieło zatem, które nie służy zbudowaniu narodowemu, które nie rości sobie praw do historiozoficznej moralistyki. Wspaniała kanwa przygód, baśń dla dorosłych, oto owa sfera. I na pewno sądy o „Trylogii", które tak ostro wypadały, dopóki widziano w niej przewodnika moralnego i mistrzynię historii, będą spokoj-

niejsze i sprawiedliwsze wobec tej znakomitej powieści, kiedy odpadną od niej właściwości związane z momentem powstania cyklu, kiedy kompensacja historyczna zostanie nareszcie nazwana kompensacją o pouczeniach, które na czas pewien stają się żywsze w okolicznościach całkiem wyjątkowych, takich jakie powstały za okupacji i nie mogą być uważane za sprawdzian normalny.

Chodzi mi o następującą sprawę: badania M. Ziomka („Czytelnictwo powieści w Polsce w świetle cyfr", Kraków 1932) dowiodły, że Sienkiewicz był wówczas pisarzem poczytnym, ale nie w jakiś wyłączny sposób. W roku 1932 znacznie go przewyższali swoją poczytnością Prus, Żeromski i Rodziewiczówna. Tymczasem w latach okupacji (informacje poniższe zawdzięczam uprzejmości p. A. Mikuckiej) poczytność Sienkiewicza u młodzieży niezwykle wzrosła. Dlatego o tej warstwie mowa, ponieważ badania nad dorosłymi nie zostały jeszcze przeprowadzone. Sienkiewicz swoją popularnością na głowę bije innych pisarzy polskich. Bo lata okupacji były znów okresem, kiedy, w sposób nieskończenie brutalniejszy niż po roku 1863, wmówiono narodowi polskiemu, że niczego nie jest wart. My, dorośli, mieliśmy dostateczny zasób argumentów obronnych, by nie ulec naciskowi. Młodzież jednak sięgała do kompensacji, która była dla niej najbardziej dostępna. Powtórzyła się sytuacja bardzo podobna do tej, jaka towarzyszyła początkom „Trylogii". Czy powtórzyła się również u czytelników dorosłych, trudno orzec.

W każdym razie w tych objawach należy szukać genezy tego wzmożonego kultu dla Sienkiewicza, jakiemu dało świadectwo jego stulecie. Kultu, który wyraża się tak samo jak przed laty sześćdziesięciu, bo wynika z podobnego doświadczenia. Ale to doświadczenie nie jest czymś trwałym. W zaczątkach „Trylogii" mieści się pewne podobieństwo z „Panem Tadeuszem". I wobec tego dzisiejsze losy „Pana Tadeusza" pozwalają wnosić o przyszłych losach „Trylogii". Nie tylko wnosić, pozwalają ich sobie życzyć, jeżeli spór o Sienkiewicza nie ma na nowo rozgorzeć.

„Pan Tadeusz", chociaż wyższy moralnie od „Trylogii", nie daje się utrzymać w formie narodowego konfesjonału i wzoru. W innej postaci i innej interpretacji pozostaje arcydziełem. O ileż trudniej utrzymać w formie historiozoficznego i moralnego wzoru tę „Trylogię", o której wiemy, do jak bezpłodnych w ostatecznym wyniku walk się odwołuje, o której wiemy, co uczyniła z prawdą historyczną swojej epoki. Nie, daremny to trud.

J. Przyboś ogłosił niedawno bardzo słuszne uwagi o przesunięciu, jakiego „Pan Tadeusz" zaznał w naszej wyobraźni („Historia szlachecka, czyli baśń", *Odrodzenie*, 1945 nr 52). Słowa napisane z myślą o epopei Mickiewicza całkowicie stosują się do „Trylogii": „byłoby brakiem wyobraźni i szkolną łopatologią widzieć w tej epopei— tylko nakaz walki o wolność, poświęcenia się dla ojczyzny itp. oczywiste sprawy, które głosiła zawsze cała poezja polska. Wartość wychowawcza „Pana Tadeusza" (wstawiam w tekst Przybosia — „Trylogii") — jak każdego wielkiego dzieła — jest trwalsza, pośrednio wynikająca z materii wyobraźniowej; porywając codzienność w świat baśni, radując i bawiąc bajecznymi, buńczucznymi i barwnymi postaciami — dzieło

„BASIA UDERZYŁA GO (AZJĘ) JAK GROMEM GŁOWNIĄ PISTOLETU MIĘDZY OCZY"

(„PAN WOŁODYJOWSKI")

to nadaje niebywały rozmach naszej fantazji, usposabia nas do bujnego i pel nego życia umysłu i serca, i przez dalsze pośrednie ogniwa oddziaływania du chowego uczy nas — nie uczy — *wprawia nas* w dzielność."

Historia rycersko-kozacka, czyli baśń o ludziach niezłomnych niczym boha terzy legend, o namiętnościach wyostrzonych przeciwko sobie jak w bajce dzie lącej świat na białe i czarne, bez światłocienia moralnego, baśń o przygodac z tysiąca i jednej nocy, o miłości, co narodzona od pierwszego wejrzenia prze trwa nieskalana i dojdzie ukochanego mimo szyb żelazną przekreślonych kratą, mimo bram wściekłą zjeżonych armatą, jak pisał Norwid. Czytelni którego do „Trylogii" przykuwała i przykuwa nadal baśniowa niezwykłoś wydarzeń, więcej w tym miał słuszności, niż historycy literatury prawiący d znudzenia o ideologicznych wartościach Sienkiewicza. W ten świat baśni auto nomicznej przechodzi „Trylogia" tym szybciej, im bardziej Polska rzeczywist oddala się od ziem, na których rozgrywała się jej akcja. Łubnie, Kudak, Kor suń, Bar — na mapie opartych o rzeczywistość wyobrażeń leżą dzisiaj, zwłaszcz dla czytelników, którzy dopiero w dwudziestoleciu weszli w życie kulturaln równie daleka co Medinet, Chartum, Omdurman, Faszoda czy góra Kil ma-Ndżaro.

Czy nie czytywano tak nigdy Sienkiewicza? Czytywaliśmy wszyscy, kied byliśmy bardzo młodzi. Chodzi zaś o to, ażeby powrócić do tej zapomniane dziecięcej baśni i nie pragnąć niczego więcej od Sienkiewicza. Istnieją pisarz którzy zapamiętali taką lekturę i przekazali jej wzór. Oto słowa Iwaszkiewicza „Wielki oddech sztuki, ten najprawdziwszy wiatr od stepów, gorący i zimny przelatuje przez wrota otwarte sienkiewiczowską prozą... (spełnia się) życi o ileż pełniejsze, większe, mądrzejsze, bo pełne beztroski, swoistej jakiejś nasz niefrasobliwości, która nawet czarną rozpacz Skrzetuskiego okrywała srebrzy stą poświatą."

Tak się dzisiaj przedstawia drugi wygląd sprawy Sienkiewicza.

IV

Pozostaje wygląd ostatni: podobieństwo sprawy Sienkiewicza z miejscem Matejki w polskiej kulturze plastycznej i wyobraźni zbiorowej. Wystąpieni przeciwko Matejce równie były bezskuteczne, co przeciwko Sienkiewiczow Kończyły się głośnymi ekspiacjami, jak ta, którą po okresie sporu z Matejk zamknął Witkiewicz swoje dzieło o nim: „Miał on wiele wad, których unikaj nawet średnie talenty, ale miał jedną zaletę — tworzył arcydzieła". Przebie tych wystąpień bywa nieraz podobny aż do zabawnych i charakterystycz nych szczegółów. Kaczkowski np. zarzucał Sienkiewiczowi, że „hołduje pesy mizmowi i naturalizmowi Zoli". Norwid fukał na widok „Rejtana": „T parlament? a to wielka karczma flamandzka, gdzie hałaburdują z kijami i pię ściami... Rejtan tam jest *wąsaty demoniak,* który zawiesiście dokonał swo jego i koniec."

Ta analogia osiągnęła swój szczyt w tym zjawisku, że jeżeli Matejko zajął sw wyłączne miejsce w wyobraźni historycznej ogółu, stało się to dlatego, poni

waż zrozumiano go, jak rychło po nim Sienkiewicza. Chodzi o to: ogół ujrzał w Matejce gloryfikatora i apologetę wspaniałej przeszłości narodowej. Ujrzał i zapamiętał barwne, świetne i bujne widowisko historyczne jego dzieł, tłumy cieniów wspaniałych i buńczucznych. Tymczasem Matejko był kim innym, zarówno w swoich zamierzeniach twórczych, jak w ich ekspresji. Był wiernym ilustratorem pesymizmu krakowskiej szkoły historycznej, sam był osobowością przesyconą smutkiem. Swoimi troskami i posępnymi uczuciami nasycał, postarzał swoje postacie, z prostych ludzi minionych wieków czynił zadumanych mędrców o czołach zoranych zmarszczkami, — jednym słowem był on wielkim, skończenie indywidualnym ekspresjonistą, a nie twórcą, któremu obiektywny kształt świata dostępny się staje w sposób zrównoważony i spokojny, jak dostępny był on Sienkiewiczowi.

Dlatego zwycięstwo Matejki nie dokonało się od razu i wśród objawów tak bezwzględnej aprobaty, jak zwycięstwo Sienkiewicza. Kraszewski na widok „Rejtana" pisał o policzkowaniu trupa matki, a przecież Matejko utrwalił się w końcu jako wskrzesiciel znakomitej przeszłości narodu, a nie — jako jej krytyk i twórca obdarzony bardzo indywidualnym na nią spojrzeniem. Słowa, które W. Gostomski („Z przeszłości i teraźniejszości") pisał o Sienkiewiczu, odnoszą się z taką samą słusznością do Matejki: „Sienkiewicz jest jednym z najznakomitszych u nas twórców prawdziwych mitów poetyckich, które istnieją nie tylko w literaturze, lecz dziś przechodzą do żywej tradycji i na zawsze zapewne w niej pozostaną."

Tak więc Matejko, chociaż dawniejszy od Sienkiewicza, chociaż on to ośmielał autora „Trylogii" do stworzenia wielkiego fresku historycznego, został przez ogół upodobniony do tego optymistycznego witalisty, klasycznie spokojnego wizjonera. Nie tylko tematyka dzieł Matejki to sprawiła. Nie tylko w jej obliczu zapomniano o interpretacji, jaką Matejko nadawał przeszłości. Nie tylko Stańczyk z „Hołdu Pruskiego" wtopił się w otaczający go świetny tłum. Tę przemianę wywołała również pewna zasadnicza identyczność ich techniki artystycznej: Matejko jest w ten sam sposób interesujący dla każdego, co Sienkiewicz. Tak samo może się obejść bez nadbudowy ideologicznej, chociaż tej nadbudowie przypisuje się przede wszystkim skuteczność społeczną jego malowideł. Podobnie jak Sienkiewicz pracuje przy pomocy anegdoty i postaci, zdarzenia o silnym napięciu emocjonalnym i ludzi, z których każdy charakteryzowany jest odrębnie, po to wyłącznie, by niczego nie uronić z jego wyglądu psychicznego. Łączy ich ten sam dar kompozytorstwa dekoracyjnego, jak tę właściwość Sienkiewicza nazwał A. Potocki.

Ale jest druga strona tego samego zjawiska. Powiedzieliśmy, i cały późniejszy rozwój powieści to potwierdza, że te dążności artystyczne, które posłużyły Sienkiewiczowi za szkielet jego powieści, są dalej bezpłodne i nie zanosi się, by nagle powieść do nich nawróciła. Coś podobnego jest z Matejką. W podobny sposób sumuje on i zamyka pewne cechy anegdotyczne i ilustratorskie malarstwa, które dla jego następców pozostaną zdobyczą martwą, trudną do żywotnego kontynuowania. W tym ostatnim podobieństwie zawiera się wreszcie

powód, dlaczego taka różnica sądów o tych dwóch twórcach istnieje pomiędzy ich zwykłym odbiorcą a artystami współczesnymi. Istnieje — i przypuszczam istnieć będzie zawsze. Dla odbiorcy jest sprawą całkowicie obojętną, czy droga, po jakiej artysta zaprowadził go do dzieł, które przyjmuje on z zachwytem, prowadzi dalej, czy też kończy się ślepym zaułkiem. Inaczej artysta (i krytyk). Dla niego właśnie jest istotne, czy na tej drodze napotyka wartości, którym się może twórczo przeciwstawić, nauczyć, wydobyć wnioski.

Po Sienkiewiczu w powieści historycznej, po Matejce w malarstwie historycznym, stosując ich metody artystyczne, nie można zrobić ani kroku dalej. Nie można nawet walczyć z tym, co osiągnięte. Jest w ich dziele dla artystów współczesnych jakaś doskonałość — obojętna. Doskonałość całkiem innego typu, niż doskonałość Mickiewicza, ta, która co pokolenie otwiera nowe swoje tajemnice.

Bo też tacy jedynie twórcy zdolni są wejść na trwałe w wyobraźnię narodu, których doskonałość jest jakoś niedostrzegalna artystycznie, oczywista, zawarta w samej wizji rzeczywistości. Bez względu na to, czy jest to niedostrzegalność typu Mickiewicza, czy inna. Taką niewidoczność osiąga się częściej, budując swoje dzieło zgodnie z tendencjami artystycznymi, które już nie walczą, które nie zdobywają dla siebie miejsca, ale przed odbiorcą stawiają względnie najmniejszy wysiłek. Tak ją zbudowali Sienkiewicz i Matejko. Dlatego to sprawa Sienkiewicza, której wieloraki wygląd staraliśmy się rozpatrzeć w tym szkicu, nigdy zapewne nie zostanie zamknięta w sposób ostateczny. Nigdy nie zostanie ujęta w postaci sądu, który mógłby zaspokoić najprostszego czytelnika i artystę szukającego wciąż nowych przewodników, rozpatrującego się wśród przeszłości, kto godzien zostać tym przewodnikiem.

Przeżyliśmy tak sprzeczne ogniwa tej sprawy, od bezwzględnej apoteozy po niemniej namiętną walkę z Sienkiewiczem i jego wpływem, że możemy spokojniej na nią spozierać. Wiemy, że miejsca zajętego przez Sienkiewicza w hierarchii polskiej prozy, w umiejętności tworzenia w stylu najprostszym, a przecież nieskazitelnie doskonałym, nikt nie umniejszy. Nikt, chyba pisarz który z prostej mowy naszych czasów uczyni to, co uczynił on z mowy swojego pokolenia: wzór polszczyzny. Wiemy dalej, że żadne ataki nie usuną go z miejsca zajmowanego w wyobraźni historycznej ogółu, chociaż dostrzegamy, że to miejsce znamiennie się przesuwa. Niebezpieczeństwo dla Sienkiewicza nie mieści się zatem dzisiaj po stronie tych, którzy pragną bez przesady apologetycznej widzieć jego dorobek. Mieści się po stronie tych, którzy radzi by nawrócić do najbardziej ogranych i nieprawdziwych schematów nauczyciela narodu. Takie głosy przeważały w stulecie urodzin. Bo tylko wówczas krzywdzona prawda gotowa uczynić Sienkiewicza przedmiotem odbytych już, wiadomych w swoim wyniku walk, zamiast uczynić go przedmiotem takiego traktowania, do jakiego Sienkiewicz już dojrzał: kultu rozumnego, znającego swoje granice.

Tylko zaś takie stanowisko będzie w sprawie Sienkiewicza czymś nowym, czymś co wybiega ponad te trzy wyglądy sprawy, w jakich się ona dotąd rozgrywała.

ANISŁAW FURMANIK

O WERSYFIKACJI MICKIEWICZA

Julian Przyboś w artykule „Wiersz-Płacz" (*Odrodzenie* nr 16—17, 46 r.) dał wnikliwą i przekonywującą analizę znanego utworu Mickiewicza: olały się łzy..."

Charakterystycznym rysem artykułu jest to, co można by nazwać „odkry-aniem" Mickiewicza. Pośpieszam dodać, że to „odkrywanie" rozumiem nie ironicznym, lecz w jak najbardziej dodatnim i pozytywnym sensie. Ów krywczy stosunek do Mickiewicza nie stanowi wypadku wyjątkowego, indy-dualnego, lecz zdaje się stanowić rys charakterystyczny epoki bieżącej. Mic-ewicz jest dla nas dzisiaj nie tylko znaną i uznaną przez pokolenia wielko-ą, ale narzuca się jako zjawisko aktualne i świeże, nie tylko dostarczające zeżyć, ale i zapładniające nasze życie, coś co nawet może wysuwać się jako zór. Taki „nowy" stosunek do wartości od dawna uznanych ma swe uzasa-ienie socjologiczne. Każda nowa epoka, każde rzeczywiście nowe pokolenie, n. żywe, dynamiczne, twórcze pokolenie odczuwa potrzebę rewizji nie lko pojęć, lecz i wartości zastanych, przyswojenia ich sobie na swój spo-b; w danym wypadku, chce mieć „swego" Mickiewicza. Stąd owa „odkryw-ość". Nie oznacza to jednakże, aby przy takiej postawie, wyrażającej w re-ltacie zawsze świeżość odczuć i doznań, dokonywano rzeczywistych odkryć sensie badawczym. Te partie artykułu, w których Przyboś daje analizę za-artości treściowej i stylistyki utworu, nie wahając się w oznaczeniu jego war-ści nazwać go „arcydziełem liryki", nie stałyby zasadniczo w przeciwieństwie sądów dawniejszych.

Jednak ta świeżość i odkrywczość sprzyja dokonywaniu rzeczywistych od-yć. Przyboś pierwszy, o ile mi wiadomo, spostrzegł „awangardowe" nowa-rstwo wersyfikacji tego utworu Mickiewicza. Jednak w jego opisie wersy-kcyjnej budowy utworu nie wszystko można uznać za trafne. Ponadto ereg wypowiedzi jest niewyraźny, mogący sugerować fałszywe implikacje, ego przyczyna leży, być może, w samym ujęciu artykułu, w tym, że Przyboś ochę za mało sięga do twierdzeń i terminów nauki o wierszu.

Przyboś uważa, że „Polały się łzy..." jest utworem pisanym wierszem ry-owanym. Ale tak nie jest. Przyjrzyjmy się zakończeniom (klauzulom) po-

szczególnych jednostek wierszowych: ...rzęsiste — ...anielskie — ...i durną — ...wiek klęski — ...rzęsiste. Nie ma tu rymów. W utworze Mickiewicza wyraziście eksponują się powtórzenia brzmień (czyste, rzęsiste; sielskie, anielskie górną i durną; męski, wiek klęski), ale nie każde powtórzenie brzmień jest rymem. Tylko takie powtórzenia brzmień tworzą składniki rymu, które zachodzą na gruncie formy wierszowej, mianowicie w zamknięciach (klauzulach) jednostek wierszowych i jako takie stanowią one wtedy jeden z czynników wierszotwórczych. Te powtórzenia brzmień, które tak wyraziście eksponują się w omawianym utworze Mickiewicza, nie spełniają funkcji rymów lecz inną, o czym będzie jeszcze mowa.

Przyboś słusznie zauważa, że wiersze omawianego utworu nie sprawdzają warunków żadnego z trzech systemów wersyfikacyjnych, jakie wykształciły się w poezji polskiej. Trzeba to jednak ująć ściślej. W czasie, w którym ten utwór powstał (1839—40) mamy na gruncie polskim dwa systemy wersyfikacyjne: 1-o sylabiczny, mający za sobą tradycję z górą lat 300 (opiera się on na szeregu równozgłoskowym) i 2-o sylabo-toniczny, zapoczątkowany i wykształcony właśnie przez romantyków, wśród których Mickiewiczowi przypada zaszczyt najpotężniejszego wysiłku pionierskiego pod każdym względem (system sylabo-toniczny opiera się na szeregu, złożonym ze stałej ilości jednorodnych stóp).

Trzeci system wersyfikacyjny, czysto-toniczny, chociaż poszczególne wypadki dadzą się zacytować i wcześniej, wykształca się i ustala u nas dopiero na początku bieżącego wieku. Otóż charakterystyczną jest rzeczą, co właśnie Przyboś słusznie podkreśla, że omawiane wiersze Mickiewicza nie spełniają warunków nie tylko dwóch pierwszych systemów, aktualnych w chwili pisania utworu, ale i tego trzeciego, który ustalił się znacznie później. Nasuwa się więc pytanie, czy w ogóle mamy tu do czynienia z formą wierszową, a jeżeli tak, to co warunkuje daną formę wierszową, odróżniając ją od prozy. Oczywiście chodzi o stwierdzenie i uzasadnienie obiektywne, jakbyśmy dziś chętnie powiedzieli „sprawdzalne", bo jeśli chodzi o wrażenie, to sprawa nie ulega wątpliwości.

Otóż Przyboś uzasadnienie to próbuje znaleźć na drodze rozróżnienia między rytmem prozy, a swoistym, odrębnym rytmem, który ma być właściwy formie wierszowej, stanowiąc jej uwarunkowanie. Jednak dystynkcja ta nie da się utrzymać. Źródłem rytmu językowego są: sylaby, akcenty i przedziały międzywyrazowe. Ponieważ zaś każdy urywek językowy jest jakąś kombinacją sylab, akcentów i przedziałów międzywyrazowych, więc, poza indywidualnie różnymi przebiegami fali rytmicznej w poszczególnych odcinkach językowych, „gruntunkowo" rytm zarówno prozy jak i wiersza jest taki sam. To co wyczuwa Przyboś, a zresztą niewątpliwie każdy czytelnik, co wyróżnia utwór omawiany od prozy, a co zarazem warunkuje go jako utwór wierszowany, da się ująć pojęciem metru, czyli miary. Metr jest warunkiem formy wierszowej. Tam gdzie konstatujemy funkcjonowanie struktur metrycznych — mamy wiersz, tam gdzie nie da się wykryć funkcjonowania jakiejś struktury metrycznej — mam

mę prozy. Ujmowanie struktury metrycznej w wymienionych systemach wer-
ikacyjnych jest łatwe, szczególnie w systemie sylabicznym, który u nas
za sobą blisko 500-letnią tradycję i w systemie sylabo-tonicznym, który
w liczy blisko półtora wieku rozwoju. Łatwe dlatego, że schemat metrycz-
warunkujący wiersz, jest stały i niezmiennie się powtarza. Wiersze tych
emów można włączyć w jedną obszerniejszą klasę, klasę wierszy regularnych.
stnieją jednak utwory wierszowane, których metr nie powtarza się z niezmien-
regularnością, lecz podlega coraz to innym zmianom strukturalnym. Takie
rsze nazwiemy wierszami nieregularnymi. Gdy w wierszach regularnych
nentami struktury metrycznej są sylaby, akcenty, przedziały międzywyra-
ve i tylko częściowo fraza intonacyjna (w systemie czysto-tonicznym), w wier-
ch nieregularnych na ogół, jako elementy zmiennych struktur metrycznych,
suwają się na czoło: fraza intonacyjna, rymy, czynniki syntaktyczne, styli-
czne, oraz takie zespoły czynników fonicznych, które w poszczególnych wy-
kach niejako *ad hoc* zostają „ustrukturowane". Mówiąc, że metr jest warun-
n formy wierszowej, należy to twierdzenie nieco bardziej uściślić. Chodzi
nowicie, w pewnym sensie, nie o metr jako s p o i s t y układ pewnych ele-
ntów tonicznych ,lecz o funkcję metru, jego, by się tak wyrazić, z d o l n o ś ć.
Mam na myśli ten fakt, że metr posiada zdolności cięcia strumienia językowego na odcinki (i dlatego nazywa się metrem czyli miarą) i wyodrębniania
n odcinków na jednostki autonomiczne, czyli wiersze. Wiersze omawianego
oru Mickiewicza należą, jak to nietrudno sprawdzić, do klasy wierszy nie-
ularnych. Nasuwa się pytanie, jakie to elementy, skoro nie są nimi sylaby,
enty, przedziały międzywyrazowe, składają się na struktury metryczne,
re tną dany strumień językowy na jednostki wierszowe?

11 *Polały się łzy me czyste, rzęsiste,*
10 *Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,*
10 *Na moją młodość górną i durną,*
8 *Na mój wiek męski, wiek klęski:*
11 *Polały się łzy me czyste, rzęsiste...*

Utwór stanowi jedną pełną frazę intonacyjną. Każda pełna fraza intonacyj-
niezależnie od swego wewnętrznego wypełnienia, składa się z dwóch zasad-
zych strukturalnych momentów: antykadencji, w której głos „wznosi się ku
ze" aż do momentu kulminacyjnego, i z kadencji, w której głos po przeło-
, poczyna opadać „ku dołowi" aż do chwili spoczynku. W utworze Mickie-
za antykadencja obejmuje pierwsze cztery wiersze graficzne, zaś kadencja —
tni, piąty. W ten sposób mamy już wyodrębniony jeden wiersz — ostatni.
ntykadencja, ze swej strony, składa się z czterech zasadniczych członów,
tórych każdy obejmuje po jednym wierszu graficznym. Te cięcia, których
onuje członowanie danej frazy, są jeszcze podkreślone przez układ syntak-
ny. Wiersz pierwszy obejmuje grupę orzeczenia i podmiotu, wiersze: 2, 3, 4
jednej grupie dopełnienia, wyodrębnionych ponadto stylistycznym „chwy-

tem" wyliczenia-powtórzenia. Wiersz ostatni jest powtórzeniem wiersza pie szego i stanowi syntaktyczną i kompozycyjną ramę zamykającą. Wszystko choć w nieco innych terminach, omawia również Przyboś. Ale najważniejsz bo najintensywniejszym, z punktu widzenia ściśle wersyfikacyjnego, jest sz gół, który Przyboś pomija, a w każdym razie mówi o nim niewyraźnie. M nowicie, każdy wiersz zamyka identyczna figura rytmiczna: SssSs (czyste, siste, sielskie, anielskie itd.), której wyrazistość wzmacnia ponadto czynnik f czny: zawierające się w tej figurze powtórzenia brzmień (rym wewnętrzny, komuś ta nazwa, *ex definitione* rymu nieścisła, odpowiada). Otóż ta złoż a wyrazista figura przede wszystkim sygnalizuje kraniec jednostki wierszo przy czym tak silnie, że zobojętnia niejako wymiary tych momentów, k przebiegają przed nią. Nie każdy spostrzeże bez specjalnego przeprowadz analizy liczbowej, że wymiar sylabiczny poszczególnych wierszy jest różny, silnie czynią one wrażenie wierszy równoważnych.

Utwór Mickiewicza jest więc pisany wierszem białym i nieregularnym. Na panującej współcześnie faktury wersyfikacyjnej jest zjawiskiem rewelacyj i rewolucyjnym. Nie jest to tylko przypadek, że uderzył on swą „awanga wością" właśnie Przybosia. Bo mimo uderzającej różnicy między wiersz omawianego utworu Mickiewicza a wierszami Przybosia, branymi całości (a więc uwzględniając i stronę semantyczną, a nie tylko wyabstrahowaną fo foniczno-rytmiczną), są one zasadniczo w swej fakturze takie same. Tyl Przyboś czyni to stale i programowo, mając za sobą gotowy już szereg okre ewolucyjnych wersyfikacji polskiej, gdy u Mickiewicza spotykamy tylko „sp taniczne" wytryski. Przyboś porzuca płaszczyznę regularności trzech systen metrycznych a skupia swą wynalazczość wersyfikacyjną na wyzyskiwaniu w szotwórczych możliwości frazy, czynników syntaktyczno-stylistycznych i bijaniu regularnej dokładności rymu.

Wersyfikacja utworu: „Polały się łzy..." jest w dziejach wersyfikacji pols prekursorska na bardzo daleką metę. Takich niespodzianych wytrysków z dziemy w twórczości Mickiewicza więcej. W stosunku zaś do epoki zast całą twórczość wersyfikatorską Mickiewicza cechuje znamię rewolucyjnej wości.

Znana to i w pewnej mierze oklepana rzecz: jak głębokich przemian d nał w nurcie rozwojowym poezji polskiej romantyzm, a w nim pionierska Mickiewicza. Ale prace uczonych i krytyków skupiały się przede wszyst na stronie treściowej, ideologicznej, kulturalnej, społecznej, prawie wcale poruszając spraw natury formalno-artystycznej. A i w tej dziedzinie doko się głębokie przemiany. Praktycznie rzecz biorąc, jeżeli treść romantyczn utworów porywała jednych, a szokowała drugich swą śmiałą, rewolucyjną miennością, to może przede wszystkim dlatego, że miała nową, odmie „szatę" formalną.

Wyczerpujące omówienie wersyfikacji Mickiewicza, które by uwzględn tło rozwojowe, jest nie tylko niemożliwe ze względu na rozmiary artykułu. i z tego również względu, że nie posiadamy w naszej literaturze naukowej o

owanych zagadnień pomocniczych. Ulegając pokusie, którą wywołał we mnie rtykuł Przybosia, będę usiłował naszkicować linie wytyczne, których, jak ądzę, należy się trzymać w opracowywaniu zagadnienia wersyfikacji Mickiewicza.

Jak w ogóle styl romantyczny, tak i wiersz romantyczny jest pewnego rodzaju przeciwieństwem wiersza pseudoklasycznego. Tę odrębność „stylów" versyfikacyjnych możemy zaobserwować i na gruncie twórczości Mickiewicza. Pseudoklasycy posługiwali się zasadniczo tylko jednym systemem wersyfikacyjnym, mianowicie systemem sylabicznym. Wytworzyli oni bardzo charakterystyczny kanon wersyfikacyjny, zgodny z ich ideałami estetycznymi. Ich smakowi estetycznemu odpowiadał ten rodzaj piękna, który charakteryzuje jasność, przejrzystość, „logiczność", symetria i odpowiadający temu typ wdzięku lub siły. Zasadniczymi metrami w systemie sylabicznym były i pozostały do dzisiaj 11-zgłoskowiec i 13-zgłoskowiec. Pseudoklasycy, zgodnie ze swymi upodobaniami, doprowadzili do wysokiego kunsztu i całkowitego wyczerpania możliwości tylko pewien typ faktury tych metrów. Schemat metryczny 11-zgłoskowca przedstawia się w sposób następujący:

oooSs ||| ooooSs

dzie o-sylaba obojętna co do akcentu, S-sylaba koniecznie akcentowana, s-sylaba nieakcentowana, ||| -średniówka. Schemat ten ma jemu tylko właściwy kontur intonacyjny i swoiste rozplanowanie wewnętrzne.

Najważniejszymi momentami tego rozplanowania będą: wyrazistość konturów wiersza, dwudzielność szeregu, powodowana średniówką wewnętrzną wreszcie dwa ustabilizowane akcenty. Pseudoklasycy, zgodnie ze swymi tendencjami do „logiczności", tak dobierali materiał językowy, by jego układ syntaktyczny podporządkowywał się schematowi metru. Jeżeli zdanie obejmowało więcej niż jeden wiersz, to okres był tak budowany, by jego człony syntaktyczne zajmowały rozpiętość poszczególnych wierszy.

To podporządkowanie materiału językowego naciskom schematu metru prowadziło z konieczności do określonego kręgu środków stylistycznych. Takim zucającym się np. w oczy środkiem będzie inwersja. Szyk prosty bowiem bardzo często albo zacierał któryś z momentów rozplanowania wewnętrznego metru, albo nawet nie zacierając go, dawał w wydźwięku prozaizm. Pseudoklasycy lubowali się w harmonii równomiernego następstwa rytmicznych „wzniesień" i „spadków". To zaś pociągało znów pewne konsekwencje w układzie akcentowym 11-zgłoskowca. Metr narzucał dwa stałe akcenty, których nie wolno było naruszać. Miejsc „pustych", na które swobodnie może padać akcent, pozostaje w 11-zgłoskowcu dziewięć. Ale już przy sześciu grupach akcentowych motywy rytmiczne „włażą" na siebie, zamącając „harmonię" toku. Zaś przy trzech akcentach narusza się równowagę szeregów składowych, tak że albo w części dośredniówkowej (przy jednym akcencie) powstaje „pustka" rytmiczna, zamknięta kadencyjnym tokiem „spadku" dwuakcentowego, albo odwrotnie, po rytmicznym „wzniesieniu" następuje „spadek" pozbawiony wyra-

zistości kadencyjnej. Toteż u pseudoklasyków dominuje 11-zgłoskowiec cztero lub pięcio-akcentowy, co w rezultacie sprowadza go do czterech następującyc typów:

SssSs ||| SsSsSs
SssSs ||| sSssSs
sSsSs ||| SsSsSs
sSsSs ||| sSssSs

To samo, co o 11-zgłoskowcu, można powiedzieć i o 13-zgłoskowcu pseudokla sycznym, uwzględniając tylko jego rozpiętość, dłuższą o dwie sylaby (7 + w stosunku do 5 + 6) i stąd większą ilość typów zasadniczych.

Ogólnie więc można powiedzieć, że „styl" wiersza pseudoklasycznego poleg na symetrycznym stosunku materiału językowego do schematu metrycznego Romantycy odwrócili ten stosunek. W zestroju czynników wiersza dali prze wagę swobodzie toku syntaktycznego i frazy intonacyjnej. Śmiałe i ostre zwar cia *(enjambements)*, przytłumianie średniówki, zróżnicowanie struktury akcento wej — oto najważniejsze rysy „stylu" wersyfikacyjnej techniki 11-sto i 13-zgło skowców romantycznych. Przykłady:

Przeszły dżdże wiosny, zbiegło skwarne lato,
I przykre miastu jesienne potopy,
Już bruk, ziębiącą obleczony szatą,
Od skalnej Fryzów nie krzesany stopy.

(Zima miejska).

Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,
Żeglarzu! ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna,
Wzmocnioną wczasem dłonią słone krajdj piany:
Otworem ci przestrzenne leżą oceany...

(Żeglarz)

I trzykroć echem powtórzyły mury:
„Biada!" — W tem jednym, jednym tylko słowie
Jest cały wyrok: — pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone — w jedną pierś Konrada.

(Konrad Wallenrod)

Zmów pacierz, opuść wodze, odwróć na bok lica,
Tu jeździec końskim nogom swój rozum powierza;
Dzielny koń! patrz jak staje, głąb okiem rozmierza,
Uklęka, brzeg wiszaru kopytem zachwyca,
I zawisnął.

(Droga nad przepaścią w Czufut-Kale)

Dla nas dzisiaj bezpośrednie zestawienie tych dwóch par przykładów nie st tak uderzające, ale sto kilkanaście lat temu dzieliła je przepaść. Dla pseuoklasyków druga para przykładów — to mógł być „bełkot", walczący ze lrowym rozsądkiem i ową miłą uchu „harmonią".

Należałoby w chronologicznym porządku zbadać utwory Mickiewicza posłujące się 11 i 13-zgłoskowcem. Wykazać stopniowe, czy nagłe wyosabnianie ę tych typów, względnie ich przemieszanie (w „Grażynie" np. o zdecydowanie mantycznym kolorycie motywów treściowych przeważa, zdaje się, pseudoasyczny typ 11-zgłoskowca) oraz ilość odmian nowego typu wewnętrznego ypełnienia tych schematów metrycznych. To byłaby jedna linia.

System sylabiczny, który w epoce Kochanowskiego zapanował jako jedyny stem wersyfikacyjny w poezji polskiej, spychając wersyfikację średniowieczną doły literackie, dopiero w okresie pseudoklasycznym otrzymał kanon faktulny. Ten kanon pseudoklasyczny ustalił się po dwustu latach rozwoju syemu sylabicznego, a zatem w chwili będącej momentem wyeksploatowania óż, jesiennym momentem uwiądu impulsów, jakie wezbrały w wieku XVI-tym. oteż *a priori* można wysuwać przypuszczenie, że dla jednostek twórczych, takie wydał niewątpliwie pseudoklasycyzm zarówno stanisławowski, jak kresu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, nasuwała się pozeba nowych środków wyrazu i w formie wierszowej.

Jako wyraz tych tendencyj można uważać wersyfikację „Bajek nowych" rasickiego. Są one pisane wierszem różnozgłoskowym, ale zasadniczo utrzyane w „duchu" systemu sylabicznego. Zamiast stale powtarzającej się jednej iary wiersza, w utworze powtarzają się miary różne. Ten typ „wolnego" iersza, wyrosły na gruncie systemu sylabicznego, stał się wierszem bajki i taim przejmuje go Mickiewicz, nawiązując, co prawda, raczej do soczystości rembeckiego, niż ogładzonego wdzięku Krasickiego, np.:

11 *„Lepszy w wolności kąsek ladajaki,*
8 *Niźli w niewoli przysmaki".*
11 *Rzekł, i drapnąwszy, co miał skoku w łapie,*
5 *Aż dotąd drapie!*

(Pies i wilk — 1822)

Ten typ wiersza „wolnego" przyjął się u pseudoklasyków nie tylko w bajce, le i w innych rodzajach, przede wszystkim w odzie, a więc rodzaju „poważym". Mickiewicz w swej twórczości bardzo obficie go zastosuje. Alę tu trzeba dróżnić przynajmniej dwa wypadki: utwory, w których zmiana metryczna astępuje wraz ze zmianą części utworu, pozostając bez zmiany w obrębie tej zęści, np. „Konrad Wallenrod", „Dziady" III, wyjąwszy Prolog, obie improizacje i Widzenie ks. Piotra, całe partie „Dziadów" IV — utwory operuące zasadniczo jednym typem wersyfikacyjnym, ale o wierszu zmiennym co do wego wymiaru sylabicznego (przytoczone już wyjątki, „Oda do młodości", naczne partie poszczególnych ballad. „Dziady" II, tłumaczenia z Petrarki, Goethego, „Farys" i inne drobniejsze utwory).

W tej chwili interesuje nas ten drugi wypadek. Tutáj, wbrew sugestiom chr nologicznym, Wielka Improwizacja byłaby przykładem najbliższym typo pseudoklasycznego wiersza „wolnego", a nie „Oda do młodości". Oczywiś zawartość treściowa Improwizacji jest inna, na ogół leżąca poza kręgami, w kich obracał się pseudoklasycyzm, ale faktura wiersży nie różni się zasadnic np. od „Ody na cześć Kopernika" L. Osińskiego. Co do „Ody do młodośc formalnie i ona mieści się w typie pseudoklasycznego wiersza „wolnego". W stępują w niej bowiem następujące odmiany metrów sylabicznych: 13-zgłosk wiec, 11-zgł., 10-zgł., 8-zgł. i po jednym 7-, 5-, i 3-zgłoskowcu. Ale uderz jąca jest ilość 8-zgłoskowców (42 na 75 wierszy całości). One tu stanow jądro metryczne utworu, gdy inne metry czynnik modyfikujący. Zaś 8-zgł skowiec jest zawsze wierszem bardzo giętkim, nadającym się do różnej int pretacji. To, o co mi tutaj chodzi, wyraziściej występuje w niektórych partia „Ballad i Romansów". W „Kurhanku Maryli" np., poza krótkim moment kontekstu 13-zgłoskowego — reszta, to nieustanne przeplatanie się 8-mio i zgłoskowców. Nie może to więc być *ex definitione* system sylabiczny. A charakterystyczną jest rzeczą, że zarówno 8-zgłoskowce jak 7-zgłoskowce m ją po trzy akcenty, byłby to więc system czysto-toniczny.

W inny sposób przejście od systemu sylabicznego do czysto-tonicznego w stępuje w „Liliach", pisanych zasadniczo 7-zgłoskowcem (system sylabiczny

7 *Potem cała skrwawiona*
7 *Męża zbójczyni żona*
8 *Bieży przez łąki przez knieje*
9 *I górą i dołem i górą;*
7 *Zmrok pada wietrzyk wieje,*
7 *Ciemno, wietrzno, ponuro.*

Otóż 8-zgłoskowiec i 9-zgłoskowiec dały się włączyć niepostrzeżenie w t kontekst, ponieważ wszystkie wiersze mają po trzy grupy akcentowe.

Te przykłady i cały szereg innych, które dałoby się przytoczyć, wskazu że w utworach Mickiewicza, pisanych wierszem nieregularnym, zmienny mamy nie tylko przejście od izosylabizmu do heterosylabizmu w obrębie te samego systemu metrycznego, ale i tendencje do zmiany systemu. Te tende cje dają się wyczuć już w „Odzie do młodości"; one to sprawiają, że wiers „Dziadów" II, zasadniczo 8-zgłoskowe, brzmią tak inaczej. Trzeba by zbad w jakim stopniu tendencja do wyjścia poza system sylabiczny tkwi w utw rach Mickiewicza, pisanych wierszem różnozgłoskowym, by zobiektywizow sobie wrażenie różnicy, jaka uderza, gdy zestawiamy ze sobą takie np. utw ry jak: „Z Petrarki" („O jasne, czyste..."), „Podróżny" (z Goethego) z jedn strony, a Wielką Improwizację — z drugiej. Ta ostatnia, jak było pow dziane, ma fakturę identyczną z pseudoklasycznym wierszem „wolnym „Z Petrarki", „Podróżny" i inne, chociaż, zewnętrznie rzecz biorąc, składa się również z takich samych metrów sylabicznych (13, 11, 10, 8-zgłosko

rzmią jednak inaczej, jakby nerwowo, niepokojąco na tlę sylabizmu. I to y była druga linia do szczegółowego zbadania.

Wymieniliśmy całkowicie lub częściowo już prawie wszystkie większe utwo- y Mickiewicza. Wskazuje to, jak „dynamiczna" na tle swej epoki jest wersy- ikacja Mickiewicza, jak podmywa i rozsadza ramy systemu sylabicznego. Czy jednak prócz tendencyj nie wykrystalizowało się w niej coś zupełnie no- vego? Wiadomą jest dzisiaj ogólnie rzeczą, że szereg utworów Mickiewicza „Czaty", „Trzech Budrysów", „Ucieczka", Bal u senatora w „Dziadach" III, Pieśń żołnierza" i inne) ma wersyfikację opartą nie na systemie sylabicznym, ecz sylabo-tonicznym, tzn. że fundamentem struktury metrycznej jest w tych vierszach nie stała ilość sylab, lecz szereg o stałej ilości jednorodnych stóp.

Ugruntowanie się dwóch systemów metrycznych obok siebie poprzedziły ozważania teoretyczne. Tu należałoby uwzględnić rozprawy: ks. Nowaczyń- kiego, Felińskiego, a szczególnie Elsnera i Królikowskiego. W rozprawach ych, walczących o „heksametr" polski, o przyznanie prawa obywatelstwa v wersyfikacji rymowi męskiemu, w innych terminach niż dzisiaj, a nawet v pomieszaniu pojęć z punktu widzenia dzisiejszego, kryje się próba teore- ycznego uzasadnienia nowego systemu i rzec można — tęsknota do zasad- iczej przemiany. W praktyce poetyckiej owe „tęsknoty", jeśli pominiemy óby K. Brodzińskiego, zrealizował Mickiewicz w wymienionych powyżej tworach. Przeprowadzenie tego, co nazwałem drugą linią do zbadania, do- tarczyłoby „genetycznego" materiału w tym sensie, że unaoczniłby on, jak o rozbiciu ram systemu sylabicznego, w owym wersyfikacyjnym stanie *ex ex* nawiązuje się krystalizacyjna praca, zdążająca do praktycznego zrealizo- vania nowego „tonu" wersyfikacyjnego. Dzisiaj, gdy czytamy obok sylabi- ów „Grażyny" czy „Sonetów krymskich" trocheje „Ucieczki" lub ana- esty „Czatów", nawet zdając sobie sprawę z odrębności systemów, przyzwy- zajeni już do tego, nie odczuwamy całej świeżości i inności tych wierszy. Ale vtedy to była rewolucja dla jednych czytelników, „dzikie paskudztwo" dla nnych.

Oczywiście, mówiąc o pionierskim przetarciu drogi i ugruntowaniu nowego ystemu przez Mickiewicza, nie należy zapominać o wpływie wersyfikacji iemieckiej i angielskiej. Ale takie czysto „wpływologiczne" twierdzenie nie mo- łoby być dostatecznym wyjaśnieniem. Bowiem o ile w sferze zawartości tre- ciowej jest możliwe bezpośrednie przejmowanie motywów, niejako ich kal- owanie, to jeśli chodzi o struktury foniczno-rytmiczne, do jakich należy viersz, różne względem siebie języki narodowe stanowią odrębne, „nieade- watne" instrumenty. Dany język-instrument w ramach własnego rozwoju echniki wersyfikacyjnej musi dojść do powstania nowych, odrębnych form netrycznych. I ten właśnie wysiłek możemy obserwować w twórczości Mi- kiewicza.

Zmiana „stylu" wierszy sylabicznych, dokonana przez wydobycie nowych nożliwości wypełnienia wewnętrznego schematu metru, dowodzi że odczuwano otrzebę nowego nastawienia do techniki wersyfikacyjnej. Natomiast historycz-

nie stwierdzalny fakt, że w epoce romantycznej krystalizuje się i wykształca nowy system metryczny, wskazuje, że to nastawienie jest bardzo radykalne i sięga głęboko. Oczywiście, skoro z tego stanu wstrząśnienia podstaw tradycyjnej wersyfikacji wyłonił się nowy system i otrzymał prawo obywatelstwa obok starego, to musiały działać jakieś przyczyny, które wynalazczy wysiłek wierszopisów pchały w tym kierunku. Ale w tym stanie rzeczy można sobie wyobrazić następującą sytuację „psychologiczną": w procesie twórczym wierszopis z jednej strony nastawiony był negatywnie na wszelkie napływy wersyfikacyjne w „duchu" sylabicznym, z drugiej zaś strony był otwarty na wszystko co inne, nowe, ale to nowe było zarazem nieznane, tchnące niespodzianką, dlatego na linii tego nastawienia mogły pojawiać się kształty wersyfikacyjne z punktu widzenia historycznego rozwoju (a ten możemy ujmować zawsze tylko retrospektywnie) wybiegające daleko naprzód od pionu epoki. Boć ostatecznie wszelki typ metryczny wiersza, jaki jest w ogóle możliwy na gruncie danego języka, musi się opierać na tych samych elementach wierszotwórczych, które zawiera w sobie dany język.

Tym się tłumaczą niespodziewane wyskoki naprzód w postaci wzmiankowanych momentów systemu czysto-tonicznego, tym się tłumaczy „awangardowy" wiersz nieregularny utworu: „Polały się łzy...". Obok tego powinnyby się znaleźć takie wypadki kształtów wersyfikacyjnych (wobec ścierania się ze sobą dwóch systemów wersyfikacyjnych, ich, by się tak wyrazić, walki o byt), które stanowią swojego rodzaju kontaminację sylabizmu i sylabotonizmu. Taki wypadek mamy w utworze Mickiewicza, również z epoki lozańskiej, „Gdy tu mój trup...".

Utwór składa się z 16 wierszy, związanych w cztery zwrotki czterowierszowe. Prócz jedynego wiersza (ósmego), który ma 12 sylab, reszta to 11-zgłoskowce. Ta równozgłoskowość wskazywałaby na system sylabiczny, przy czym na metr bardzo pospolity w poezji polskiej. Ale te 11-zgłoskowce, poza izosylabizmem, nie spełniają innego warunku metru 11-zgłoskowego, mianowicie nie posiadają średniówki wewnętrznej (po 5-ej sylabie). Co prawda w czterech wśród nich po piątej sylabie przypada przedział międzywyrazowy. Trzy z nich skupiają się w zwrotce czwartej:

Tam widzę ją, jak z ganku biała stąpa,
Jak ku nam w las śród łąk zielonych leci,
I z pośród zbóż jak w toni wód się kąpa...

Jednak nagromadzenie wyrazów jednozgłoskowych, rygorystycznie wytrzymany układ ukcentów bezapelacyjnie dowodzą, że są to szeregi jambiczne (sSsSsSsSsSsSs), a stąd przedział po piątej sylabie to nie średniówka, lecz cezura (przedział międzywyrazowy, zamykający stopę). Takich bezapelacyjnych, „czystych" szeregów jambicznych sześciostopowych (co wraz z dodaną sylabą w stopie ostatniej daje w sumie 11 sylab) posiada utwór osiem, a wśród nich zaraz wiersz pierwszy, który inicjuje nurt rytmiczny. Z pozo-

tałych ośmiu wierszy dwa dadzą się bez trudu zinterpretować jambicznie. Jednym z nich, to ów 12-zgłoskowiec:

Rodzina milsza, niż całe pokrewieństwo...

gdzie w jambie drugim została dorzucona sylaba (sSsSs + sSsSsSs); drugi to wiersz:

I ku nam, z gór jako jutrzenka świeci.

gdzie w stopie trzeciej, jamb został wymieniony na trochej. Oba zjawiska stałe w szeregach jambicznych. Ale pozostałe pięć wierszy już z trudem i sztucznie dałyby się naciągnąć do interpretacji jambicznej. W rzeczywistości brzmią one niejambicznie.

J. Łoś w swych „Wierszach polskich..." omawiając ten utwór Mickiewicza, widzi w jego konstrukcji wersyfikacyjnej usterki i niedociągnięcia, co tłumaczy brulionowym charakterem utworu, nie wygładzonym i nie przygotowanym do druku przez autora. To ujęcie zasłużonego badacza nie wytrzymuje krytyki. Utwór, abstrahując od jego wartości artystycznej (osobiście uważam go za arcydzieło liryki mickiewiczowskiej) jest wersyfikacyjnie najzupełniej „w porządku", tyle tylko, że jego metryka jest niezwykła, szczególna i rzadka, oparta na połączeniu dwóch systemów metrycznych: nie są to wiersze ani stuprocentowo sylabiczne, ani stuprocentowo sylabo-toniczne.

Naszkicowany projekt, zawierający w sobie zarazem bardzo ogólny przegląd wersyfikacji Mickiewicza, pozwala stwierdzić jedno: wiersz Mickiewicza, szczególnie na tle swej epoki, jest nowatorski, świeży, dynamiczny. Dzisiaj, gdy na ogół poeci nasi doszli do krańca możliwości eksploatowania linii rozwojowej (przykładem może tu być poetyka Przybosia), gdy, może nieuświadomione programowo, wisi w powietrzu: co dalej i jak dalej? ta analogia z okresem kiedy występował Mickiewicz, — boć kanon pseudoklasyczny wydawać się musiał współcześnie za ostateczny kres — wywołuje sympatię dla twórcy, który twórczym wysiłkiem znalazł i ukazał drogę wyjścia. Wywołuje zdumienie i podziw, które pozwalają odkrywać Mickiewicza na nowo, poza ramami oficjalnego uznania.

W WALCE PODZIEMNEJ Z FASZYZMEM

Pierwsza wojna światowa była dla Włoch raczej wojną przegraną. Zniszczyła kraj, zabrała życie mnóstwu ludzi, wyczerpała jego środki finansowe, dając mu w zamian niewielkie zdobycze terytorialne i bardzo niepewne, nie oparte na zaufaniu stanowisko w stosunku do prawdziwych zwycięzców: Wielkiej Brytanii i Francji.

Sytuacja wewnętrzna Włoch była jeszcze mniej pomyślna. Przez dziesiątki lat życie publiczne wyrzucało na wierzch tylko ludzi przeciętnych. Crispi był bodaj ostatnim mężem stanu ówczesnych Włoch. Na czele rządów stawali zazwyczaj politycy, dla których wygoda życia była dominującym dogmatem. Poza tym zabezpieczony pokój, łatwy kredyt, tani i bezlitośnie wyzyskiwany robotnik oraz można opieka trójprzymierza ułatwiały tworzenie się wielkich bogactw, w których gnuśniała większość społeczeństwa włoskiego. Stare hasło kondotierów italskich: *O Francia, o Spagna, basta che se mangia* („Francja czy Hiszpania, byle tylko było co jeść"), stało się również hasłem socjalizmu włoskiego, który dbał tylko o zapłatę robotnika, nie interesując się jego poziomem moralnym i życiem, jakie prowadzi. Strajk był stałym zjawiskiem, lecz owe ciągłe zaburzenia i strzelaniny po miastach i wsiach nie dawały żadnego rezultatu. Przyzwyczajono się tak dalece do tego „karabinu ciągle nabitego", że uważano go za zjawisko powszechne.

Po wojnie światowej nastroje te przybrały naturalnie formy jeszcze bardziej drastyczne. Do normalnego życia wracały rzesze ludzi zawiedzionych, rozgoryczonych i wprost niezdolnych do jakiejkolwiek cięższej pracy.

Wojna okopowa, która skazywała żołnierza na długie tygodnie bezruchu, nie tylko niszczyła go fizycznie, lecz dawała mu także sposobność do rozmyślań, do porównań z losem innych, do bezsilnego buntu przeciw samowoli tyrańskich oficerów i podoficerów, do wysłuchiwania przemówień bardziej uświadomionych kolegów. Oficer zawodowy w bezpośrednim zetknięciu się z oficerem rezerwy zatracał też swoje niewzruszalne *credo* żołnierskie, które miało mu być przewodnią życia, i wyszedł z tych gigantycznych zapasów wojennych rozczarowany i głęboko zaniepokojony.

Gdyby owe masy ludzkie ujęła wówczas jakaś silna ręka i poprowadziła do walki, rewolucja socjalna odniosłaby łatwe i wspaniałe zwycięstwo. Ale bezpośrednio po wojnie zaczęły się rozruchy, obejmowanie w posiadanie fabryk, rabunki i podpalania pałaców. Nie była to akcja celowa, rewolucyjna, tylko lokalne wyładowywanie nagromadzonych pretensyj, osobistych porachunków i nienawiści. Nikt bowiem nie umiał się zdobyć na pokierowanie owym ruchem, który nazywano pogardliwie *tumulti del pane*, ponieważ jedyne przedstawicielstwo ludu włoskiego — socjalna demokracja — nie otrząsnęła się jeszcze z tego marazmu, w jaki wtrąciły ją syte i spokojne czasy przedwojenne. Dobrze płatna biurokracja partyjna dbała więcej o rozwój swych biur, aniżeli o pomyślność robotnika i ustrój państwowy, w jakim on ma pracować. Dlatego też nie zrozumiała ona znaczenia owej dziejowej chwili i nie potrafiła skierować rozbujałych namiętności mas w łożyska twórczej rewolucji.

Znalazł się natomiast w jej własnych szeregach odstępca, który poznawszy na wylot niedomogi socjalizmu włoskiego, opuścił jego szeregi i rzucił pierwsze hasła walki o władzę nad ludem, z których wyrósł jego późniejszy wróg — faszyzm. Tym odstępcą był syn kowala i właściciela wyszynku w Varano di Costa w Romanii, sekretarz prowincjonalnego biura socjaldemokracji i nauczyciel ludowy, Benito Mussolini.

Zebrał on w Mediolanie przy placu św. Grobu kilkadziesiąt osób i powołał do życia Związek alki *(Fasci di Combatimento)*. „Faszyzm" — mówił — „dąży przede wszystkim do rewolucji ɔralnej. Musi mieć własną duszę, jasno określony cel, albowiem tylko dzięki temu można zdo- wać ludy. Musi mieć cel wyraźny, aby nie zbankrutował nazajutrz po zwycięstwie. Rewo- cja to nie jest *une boite à surprise*, jaką można otwierać wedle upodobania. Rewolucje są zeprowadzane z armią, a nie przeciw armii, z bronią a nie bez broni, przy pomocy grup rganizowanych, a nie mas chwiejnych, niezdyscyplinowanych".

Wnet też potem ukazały się w Lombardii pierwsze „grupy zorganizowane" młodzieży faszy- ɔwskiej i rozpoczęły swoje krwawe występy. Na wiosnę 1921 rzucono bombę na pochód ıdentów, zamordowano komunistę Lavagnini, redaktora dziennika *Pagine Rosse*, zdemolo- ıno wiele mieszkań na Santa Croce we Florencji i na San Frediano, przy czym zginęło sze- aście osób.

Niesłychana brutalność tego nowego ruchu, w którym część młodzieży zaczęła upatrywać ogę zbawienia ojczyzny, musiała rozbudzić reakcję, która wzrastała w miarę tego, jak szyzm zaczął coraz śmielej sięgać po władzę i rządy nad całym krajem. Jednym z najczyn- ejszych uczestników tego ruchu, a później jego przywódcą, był młody student prawa i nauk ɔłecznych Carlo Rosselli, zamordowany w końcu haniebnie przez zbirów hr. Ciano we ancji, w Bagnoles de l'Orne, w roku 1937.

Z jego życia, kształtowania się przekonań i działalności zdał teraz we Włoszech sprawę iennikarz Aldo Garosci w dwutomowym dziele zatytułowanym *Życie Karola Rosselli (Colle- ɔne Giustizia e Liberta*. Aldo Garosci „La vita di Carlo Rosselli", *Edizioni U. Roma, Firenze, ilano*, 1945).

Ponieważ jest ono zarazem historią walki podziemnej z faszyzmem, warto zapoznać się z jego ɛścią, bo propaganda rządów faszystowskich była tak umiejętnie prowadzona, dyscyplina asy włoskiej tak niesłychana, że o szczegółach owej walki nie wiedzieli nawet ci, którzy ɣażali się za doskonałych znawców państwa i stosunków włoskich.

Carlo Rosselli (ur. w 1899) należał do zamożnej rodziny włoskiej pochodzenia niegdyś dowskiego, która przyjaźniła się jeszcze z Mazzinim i innymi bojownikami o wolność Italii. ychowany w otoczeniu estetów i poetów, z dala od wszelkiego zgiełku życia politycznego, ɣrósł mimo to Carlo na dzielnego chłopaka, który już w gimnazjum nie znosił łaciny i huma- zmu, a okazywał szczególne zamiłowanie do matematyki i ekonomii. Śmierć brata, który inął na polu walki w 1916, wstrząsnęła nim do głębi i skłoniła go do zgłoszenia się ochot- czo do szkoły oficerskiej w Caserta. Tragiczny koniec wojny przeżył Carlo w okopach ırstu i nad Adygą i tam spotkał się po raz pierwszy z żywym zagadnieniem nędzy i niedoli oletariatu włoskiego.

Wróciwszy do przerwanej nauki, uczył się prawa w Ferrarze, a nauk społecznych we Florencji ɜam właśnie poznał jednego z przyszłych wodzów faszyzmu, marszałka lotnictwa włoskiego ɡubernatora Libii, Balbo. Opowiada o nim w swoich wspomnieniach charakterystyczną histo- jkę. Balbo, mimo, że należał już do miejscowego Fasci di Combatimento, nie wierzył w przy- łość faszyzmu i usiłował ukończyć prawo. Był jednak mało zdolnym próżniakiem i nie potrafił zygotować się należycie do egzaminu. Wypadł on też fatalnie, wykazując zupełną nieumie- ɔność ucznia. Profesor oznajmił mu też uroczyście, że daje mu stopień niedostateczny. Słysząc zrywa się Italo Balbo i rzuca się na przerażonego profesora grożąc mu pięściami, wyrobio- ɔmi już w ciągłych bijatykach ulicznych. „Musi mi pan dać dobry stopień" — krzyczy — ıbo będzie z panem źle". Słysząc tę pogróżkę chuderlawy profesor rzuca się do ucieczki, ılo Balbo za nim — i byłby go z pewnością dopadł, gdyby nie przypadek, który pozwolił ofesorowi uciec przed rozjuszonym studentem.

Ku zdziwieniu wszystkich, a oburzeniu niektórych, Italo Balbo zdał ten egzamin i opuścił ɛrarę, gdzie pozostawił opinię „człowieka o moralności dość problematycznej. Do faszyzmu rnął się wówczas niejeden młodzieniec z pobudek czysto idealnych. Balbo zaś był zwykłym bijaką, szukającym w faszyzmie kariery" (Tom I, str. 34).

We Florencji przeżył Carlo Rosselli faszystowski „marsz na Rzym" i próby zagarnięcia zez Mussoliniego władzy w państwie. W północnych Włoszech opozycja zaczęła się wówczas upiać około kilku tygodników, jak *Caffé* w Mediolanie, *Pietre* w Genui, *Studi politici* i in. Najwybitniejsi przedstawiciele lewicy: Aleksander Levi, Turati, Gobetti, Gaetano Salvemini ɔszli do przekonania, że chcąc podjąć walkę z faszyzmem, należy przede wszystkim socjalizm lnowić i przebudować na całkiem innych podstawach. Carlo Rosselli zbliżył się w tym czasie socjalizmu, poznał osobiście Matteottiego, zamordowanego wnet potem przez bojówkę faszy- ɔwską i odbył dłuższą podróż po kontynencie europejskim, w czasie której dotarł również Krakowa i Warszawy, „poznawszy w ten sposób kraje, które przedtem były dla niego

tylko pojęciem geograficznym". Brat jego Nello zajmował się już od dawna studiami nad za gadnieniami socjalnymi i napisał rozprawę pt. *Mazzini i Bakunin*, nie miało to jednak żadneg wpływu na Carla, którego interesowało nade wszystko życie współczesne i problemy dnia dz siejszego. Dom rodzinny obu tych młodych ludzi stał się wnet ośrodkiem ruchu wolnościowego miejscem spotkań i zapalonych dyskusyj. Tematu zaś do nich nie brakowało. Faszyzm ró i potężniał w oczach. „Obrzydliwy mord popełniony na Matteottim zdawało się wstrząsnął d głębi duszą społeczeństwa, wywołał jakby rewoltę uczuciową, podniecenie i histeryzm, któr zadziwił nawet Mussoliniego, posługującego się tak często i z zimną krwią gwałtem. Obserwo wało się objawy mistycyzmu, który przebiegł cały kraj, lud klękał na ulicach i modlił si konserwatyści abonowali pisma socjalistyczne, lecz tym odruchom brakowało świadomości pol tycznej, energii twórczej i siły, jaka mogła być wówczas wyzwolona. Rozpętała się wprawdz orgia oskarżeń przeciwko Mussoliniemu i jego rządowi, lecz nikt nie odważył się wypowi dzieć ich głośno i publicznie, z wyjątkiem krótkiego przemówienia posła Eugeniusza Chies w parlamencie. Gobetti proponował opuścić parlament, zwołać nowy i stanąć do walki z pań stwem. Nie pomyślano jednak o tym, aby do tego ruchu wciągnąć masy robotnicze". „Dalszy objawem niedołęstwa była myśl zebrania wszystkich dowodów zbrodni faszystowskich — d których przyłączył się świeży fakt zabicia w Mediolanie przez Skwadrystów konduktora tran wajowego Oldaniego, za to tylko, że ośmielił się głośno opłakiwać Matteottiego — ujęc całości oskarżeń w formę memoriału i wręczenia prywatnie królowi". (Tom I, str. 51).

Widząc to ogólne oburzenie wywołane śmiercią Matteottiego, Duce zatrwożył się o los swojej awanturniczej imprezy. Wnet jednak słabość jego przeciwników rozzuchwaliła go r nowo. Rozwiązał Izbę i zamknął całą prasę opozycyjną. Równocześnie zaś bojówki rozpoczęł szczególnie we Florencji i w Mediolanie, krwawe bijatyki na ulicach i niszczenie mieszka opozycjonistów. W ten sposób rozbito redakcję *Nuovo Giornale*, klub Zamku ŚŚ. Apostołów it Młodzież, wśród której obracał się Rosselli, spoglądała na ową samowolę faszystów i na inerc jego przeciwników z przerażeniem i mimo woli zaczęto szukać oparcia o jakąś solidniejsz organizację polityczną. Jedni znaleźli ją w *Unione democratica*, inni, a między nimi Rossel i Ernesto Rossi, założyli wówczas pierwszy tygodnik tajny *Nie ustępować (Non mollare)*, kt rego artykuł wstępny był zarazem jego programem: „W tytule jest nasz program! Jeżeli na odebrano wolność słowa, to ją odzyskamy. Musimy zdobyć się na opór, mimo uzbrojony milicyj, mimo wszystkich dekretów, jakie mogą się ukazać, podpisane przez króla. Jeżeli b dziemy chcieli, to zwyciężymy!" *(Se vorremo, vincerremo)* (T. I, str. 54).

Non mollare staje się wnet duszą oporu. Kiedy król wybierał się w kwietniu 1923 do Fl rencji, dziennik wezwał ludność, aby zbojkotowała tę wizytę. I oto król, tak zwykle huczn oklaskiwany, przeszedł przez *Piazza della Signoria* i *Piazza Cavour* przez szpalery czarny koszul, poza którymi ziała zupełna i milcząca pustka! Prefekta wyrzucono za to w przeciąg 24 godzin, a jego następca dokładał wszelkich starań, aby wykryć źródła opozycji. Pomog mu w tym, jak zwykle, podłość ludzka. *Non mollare* drukowano u drukarza, niejakiego Pin którego zdjął nagły strach. Kazał on się najpierw wysłać do Francji, stamtąd pisał ciąg o pieniądze, w końcu wrócił i zadenuncjował tych redaktorów, których znał: Rossiego i Salv miniego. Uwięziono ich obu, ponieważ jednak działały jeszcze wówczas zwykłe trybuna cywilne, a nie partyjne, oskarżonych wypuszczono prowizorycznie na wolność. Miejscowa b jówka faszystowska, zwana „Disperata" — do jednej z nich należał także późniejszy zi Mussoliniego i minister spraw zagranicznych, hr. Galeazzo Ciano — postanowiła jednak san wymierzyć sobie sprawiedliwość. Napadła więc zaraz u wejścia ze sądu na świadków, adw katów i oskarżonych i ciężko ich pobiła. Na szczęście dla reszty współwinnych, policji zd wało się, że głównym motorem opozycji jest masoneria, co nie odpowiadało prawdzie, i dlate poszukiwania jej poszły w zgoła fałszywym kierunku. Niestety, nie obeszło się i tu bez ofi Kiedy faszyści usiłowali wtargnąć do domu masona Bandinelliego, jakiś młody zapaleniec z czął do nich strzelać i zabił jednego z napastników, pochwycony jednak przez bojówkę zgin w więzieniu w najokrutniejszych podobno mękach.

W każdym razie teren florencki był już tak podminowany, że należało go opuścić. Rosse skończył w międzyczasie studia i został profesorem ekonomii politycznej w Wyższym Inst tucie w Genui, a potem w Mediolanie, gdzie stwierdza coraz widoczniejsze rozbijanie i osł bianie socjalizmu przez ruch faszystowski. Zabiera też po raz pierwszy głos w wydawnictw przez siebie założonym w roku 1926 pt. *Quarto Stato (Czwarte państwo)*, które jest jak programem politycznym Rosselliego. Na jego ukształtowanie się wpłynęły dwa zdarzen Pierwszym był zamach na Mussoliniego, zamierzony przez byłego posła socjalistyczne Zaniboniego, który miał strzelić do Duce podczas jednego z jego występów publiczny

Wszystko było najdokładniej przygotowane przy pomocy prowokatora i szpiega, niejakiego Quaglia, który w ostatniej chwili wydał Zaniboniego w ręce policji.

Historia ta powtarza się odtąd bez żadnej zmiany. Knuje się ciągle spiski i zamachy, ale wywiad rządu faszystowskiego i partii jest tak doskonały i tak bogatymi rozporządza środkami, że wszystko jest zawsze ujawnione i udaremnione.

Mussoliniemu zamach Zaniboniego był bardzo na rękę, bo dał mu sposobność do zaaresztowania generała Capello, obawiał się go bowiem jako konkurenta, cieszącego się dużą popularnością w armii i zawsze jeszcze wpływowej masonerii. Aresztowanie gen. Capello dało Rosselliemu wiele do myślenia, odkrywając słabe miejsca reżimu i możliwości posłużenia się w danej chwili armią jako przeciwniczką faszyzmu.

Drugą pobudką do wydawania *Quarto Stato* było coraz groźniejsze rozpadanie się skrajnej lewicy włoskiej na nieliczne grupy, które tym łatwiej mogły padać ofiarą ekspansji faszystowskiej. Na kongresie w Livorno w r. 1920 komuniści zerwali z socjalistyczną większością, która nie chciała godzić się na zmiany wymagane przez Międzynarodówkę, chociaż przyjęła bez zastrzeżeń jej zasady najbardziej skrajne. W Mediolanie w r. 1921 większość wydaliła znowuż tych posłów, którzy oświadczali się za współpracą z rządem burżuazyjnym, a tym samym pozbyła się swej doświadczonej i wypróbowanej starej gwardii, jaka znów powołała do życia nową grupę Zjednoczonych *(gruppo Unitario)*. Utraciwszy swych dawnych przywódców, lewica zaczęła ciążyć ku komunistom, wysyłając pod wodzą Serraiego delegację do Moskwy w styczniu 1923, co doprowadziło do utworzenia wspólnej organizacji pod nazwą „Stronnictwo zjednoczonych komunistów". Przeciwko owej fuzji wystąpiło jednak wielu członków partii socjalistycznej, przywiązanych do jej dawnej nazwy i organizacji. Wywołało to znowu nowy rozłam na kongresie w Mediolanie i przejście Serraiego i jego zwolenników do komunizmu.

Rosselli uderza tedy na alarm. Domaga się „reformy socjalizmu w sensie demokratycznym, republikańskim i woluntarystycznym. Socjalizm przyszłości musi opierać się o masy, aby stać się stosem pacierzowym polityki narodu, reformatorem jego gospodarstwa i sprzymierzeńcem innych stronnictw republikańskich, antyfaszystowskich, aby móc prowadzić walkę w sposób zdecydowany i skuteczny". (Tom I, str. 72).

Dla Rosselliego „rewolucja demokracji" jest najpierwszym zadaniem socjalizmu, a koalicja socjalizmu z republikanizmem programem przyszłości, który będzie podejmowany na różnych „frontach ludowych" Europy, aby oprzeć się niebezpieczeństwu rozbicia wszelkich instytucyj demokratycznych. Odbudować jedność socjalistyczną, nadać socjalistycznej walce politycznej treść wyzwalającą, demokratyczną i postępową, a w ten sposób zjednoczyć wokół impulsu socjalistycznego wszystkie siły demokracji, oto w ogólnych liniach plan idealnego „frontu ludowego".

W tych czasach (1926) dla Rosselliego zagadnienie komunizmu było jeszcze problemem ubocznym. Był on przekonany — jak sądzi jego biograf — „że ta herezja socjalizmu będzie pochłonięta przez socjalizm naprawdę demokratyczny, oparty o masy!"

Program głoszony przez *Quarto Stato* był dość gołosłowny i raczej teoretyczny. Spotkał się też od razu z krytyką, która stawiała to wydawnictwo niżej, aniżeli inne tego rodzaju publikacje, jak *Voce, Unita, Critica Sociale*. Dobór współpracowników był również dość przygodny. Należał tam m. in. Andrzej Caffi, rewolucjonista z czasów Rosji carskiej i przyjaciel Polski. Po zamachu stanu Piłsudskiego napisał on o nim z pewną sympatią i „nie całkiem negatywnie, co było dużym błędem, do którego sama redakcja musiała się przyznać". (Tom I, str. 84).

Żywot tego wydawnictwa nie był zresztą długi. Faszyzm przebudował w tym czasie cały aparat państwowy, i podporządkował partii także władzę ustawodawczą. W ten sposób pozbawiono wielu uchodźców obywatelstwa włoskiego i zamknięto kilka wydawnictw opozycyjnych, a między nimi *Critica Sociale, Critica Politica* i *Quarto Stato*. Przyczyniły się zaś do tych drakońskich zarządzeń zamachy, których w r. 1926 było kilka. Jedne z nich były inicjowane przez policję, inne zaś „oryginalne", lecz wszystkie — bezskuteczne. Najwięcej szczęścia miała jeszcze Angielka, pochodzenia irlandzkiego, Miss Gibson, której kula rewolwerowa zraniła nos Mussoliniego. Okazało się później, że Miss Gibson nie jest całkiem normalna, wypuszczono ją też po niejakim czasie na wolność. Drugim z rzędu zamachowcem był przybyły z Marsylii anarchista Gino Lucolli, który działając sam, bez towarzyszy i niebezpiecznego aparatu spiskowego, doprowadził do tego, że udało mu się, mimo wszelkich zarządzeń ochrony policyjnej dyktatora, rzucić bombę na samochód Mussoliniego. Bomba eksplodowała jednak nieszkodliwie, rozpętując tylko nowe furie wściekłości bojówek faszystowskich, które pobiły znów wielu ludzi i zniszczyły kilka mieszkań przyjaciół Rosselliego.

To samo powtórzyło się po zamachu czternastoletniego Antoniego Zamboniego, który strzel do Mussoliniego spoza kordonu czarnych koszul i omal że go nie trafił.

Wzmożona z powodu owych zamachów aktywność bojówek i coraz dalej postępując przebudowa królestwa włoskiego na państwo totalne, tępiące z niezwykłą brutalnością każ dy objaw opozycji czy niezadowolenia, uczyniła aktualnym problem, wysuwany już po przednio przez Rosselliego, ratowania przywódców i organizacyj socjalistycznych — jak jedynych wówczas ośrodków oporu — przez przeniesienie ich za granicę. Francja dawała naj więcej rękojmi swobody owego ruchu i tam też zaczęła skierowywać się włoska emigracj polityczna. Pokrewieństwo rasy, podobieństwo języka i nastroje ludności, stającej zawsz po stronie uciśnionych, czyniły z Francji idealne wprost schronienie dla ofiar faszyzmu Znaleźli się tam Sforza, Nitti, Salvemini, Donati, Prato, Tarchiani, a także i wielu byłyc faszystów poważnionych z Mussolinim i niestety także bardzo wielu prowokatorów, pozosta jących na żołdzie tajnej policji włoskiej.

W kraju zaś pozostali młodzi. Starszyzna miała we Francji pouczać zagranicę o tym, c dzieje się we Włoszech i przygotować cały materiał informacyjny i propagandowy dla kraju przez wydawanie dzienników, ulotek itd. Młodzież zaś miała się zajmować organizacją opo ru, tworzeniem tajnych związków i podtrzymywaniem ducha wolnościowego u ludnośc

Bardzo zasłużony przywódca lewicy, Filip Turati, nie wyjechał dość wcześnie, tak że p zaprowadzeniu najściślejszej kontroli ruchu podróżnych i straży granicznej oraz zupełneg odcięcia Włoch od zagranicy, ucieczka jego stała się przedsięwzięciem niezwykle ryzykow nym i trudnym. Zajął się nią Carlo Rosselli i wykazał przy tej sposobności tyle zimn krwi, daru szybkiej orientacji i odwagi, że wysunął się odtąd na czoło ruchu przeciwfa szystowskiego.

Historia owej ucieczki wygląda jak fragment fascynującego romansu kryminalnego. Do Turatiego był dzień i noc strzeżony przez policję. Wynajduje się więc sobowtóra, któr w kapeluszu nasuniętym na oczy, trzymając rozłożoną gazetę i psa na smyczy, wyszec głównym wejściem, prawdziwy zaś Turati wymknął się przez podwórze i uciekł do Vares (miejscowość zamieszkiwana przez p. Jadwigę Mrozowską), gdzie przyjaciel jego Józef A bini posiadał na ustroniu niewielki i przez nikogo nieodwiedzany domek. Musiano ta wezwać lekarza, który obawiając się terroru policyjnego i odpowiedzialności za odwiedzen Turatiego, chciał koniecznie, aby on jak najprędzej wyjechał. Przewieziono go tedy prze pokryte śniegiem Apeniny do Savony, gdzie oczekiwał go Rosselli z przyjaciółmi.

Sytuacja była naprawdę tragiczna. Policja poszukiwała właśnie słynnego bandytę San Pollastri i zatrzymywała każdego przechodnia, brzegi morskie były strzeżone, wynajęt motorówka mogła być z łatwością wykryta, a Turatiego nie było. Znalazł się wreszcie i pół żywy, przemarznięty, a tu trzeba szukać innego miejsca dla wejścia do motorówki, b cały port był otoczony policją i karabinierami. Na szczęście jeden z uczestników znał dobrz Savonę i poprowadził w głębokich ciemnościach brzegiem morza Turatiego i jego towarzy szy do Pesci Vivi, gdzie nareszcie udało się niepostrzeżenie wsiąść na motorówkę i wypły nąć na pełne morze. Tam złapała biednych tułaczy silna burza, tak że dopiero nazajutr znaleźli się oni na Korsyce. Stąd część udała się do Francji, a Rosselli i Pari, wierni zasa dzie, że „obowiązkiem młodzieży jest walczyć w kraju", powrócili do Italii. Ledwo jedna dotarli do Savony, przekonali się, że policja kontroluje cały ruch portowy, udali się wię do Spezzi, gdzie udało im się wprawdzie wylądować, ale wnet potem zaaresztowali ic karabinierzy szukający jeszcze ciągle bandyty Pollastriego i osadzili ich jako podejrzanyc w forcie Massa.

Tymczasem wieść o ucieczce Turatiego rozeszła się po całych Włoszech i wywołała ogrom ne wrażenie. Obojętna nawet burżuazja zaczęła się unosić nad jego osobą i afera Turatieg nabrała pierwszorzędnego znaczenia. Z tym większą też zaciekłością policja szukała spraw ców, nie wiedząc, że siedzą oni w brudnym, średniowiecznym forcie, wraz z włóczęgan i rzezimieszkami, oskarżeni o kontrabandę i brak dokumentów.

Carlo Rosselli zapoznał się tu po raz pierwszy z więzieniem. Pisze o tych swoich prz życiach w sposób wzruszająco prosty. „Pomyśleć, że muszę wstawać o szóstej, czyścić cel wynosić kubeł, pić jakąś brudną ciecz, nazywaną kawą, czytać po sto razy książkę, wypo życzoną z biblioteki więziennej, a przed jedenastą jeść ohydną zupę z kawałkiem papk jaka ma być chlebem i tak w południe kończyć już swój dzień. To jest po prostu okropn Ani kawałeczka papieru i ołówka, nic, tylko tępe wpatrywanie się w ściany, pokryte nap sami poprzedników, póki ciemność nie ogarnie celi i nie rozpocznie się straszna walka z ro jami pluskiew i przeróżnego robactwa". (Tom I, str. 107).

Po kilkudziesięciu dniach przewieziono Rosselliego i Pariego do więzienia w Como. Poby

tym więzieniu wywarł wielki wpływ na kształtowanie się myśli politycznej Rosselliego. otkał się tam po raz pierwszy z „wywrotowcami", z anarchistami, syndykalistami, sie-ąc we wspólnej celi z Bauerem, Ansaldo i Silvestrim miał też ciągłą możność rozstrząsania zrozumienia różnych problemów. Bardzo pouczającym był np. dla niego Ansaldo, który tem zdradził sprawę i stał się oficjalnym propagatorem faszyzmu na żołdzie hr. Ciano, e który wówczas był świetnym znawcą wad społecznych Italii i pierwszorzędnym publicystą. apisał on swego czasu po zamachu stanu w Polsce: „ów zamach nie będzie nigdy należał historii nowożytnych dyktatur, bo jest niczym innym, jak tylko „paktem spisanym na niu przez szlachtę polską". (Tom I, str. 112). Kiedy Ansaldo przeszedł na służbę hr. Ciano, osselli wypominał mu ustawicznie w swoich wydawnictwach dawne jego obrony Matteot-go, ataki na króla itd., kompromitując stale swego dawnego towarzysza więziennego.

Wnet jednak przerwały się „długie rodaków rozmowy", bo Rosselli został zesłany na yspę Ustica. Tyle słyszało się już o owych wyspach, pierwszy opisał je dopiero Rosselli. ż starożytność znała ten sposób nadzoru policyjnego. Wznowiony on został przez szyzm, który potworzył szereg obozów koncentracyjnych dla zwykłych przestępców podejrzanych politycznie. Pobyt na wyspach kształtował się dość różnorodnie. Na dnych zesłańcy musieli zamieszkiwać baraki, strzeżone przez skwadrystów i padali często iarą sadystycznych popędów faszystowskiej milicji, na innych mogli wynajmywać własne eszkania, z obowiązkiem codziennego meldowania się i nieopuszczania domu w godzi-ch przepisanych. „Pierwsze wrażenie" — pisze Rosselli — „jest nadzwyczajne. Opadają jdany i widzi się znowu niebo lazurowe i czuje świeży powiew morza. Ale po ośmiu dniach czyna ta maleńka wyspa między Sycylią a Libią być gorszą od więzienia. Komendantem jej ł brutal, porucznik Guasco. Traktował on na równi alfonsów, łotrzyków, szalbierzy i „poli-cznych", którzy uchodzili za szczególnie niebezpiecznych".

Po kilku tygodniach przewieziono wszakże Rosselliego z powrotem do Savony, gdzie miała odbyć rozprawa o ułatwienie ucieczki Turatiego. Wchodziła ona jeszcze w zakres sądów wodowych, które mimo obawy przed niezadowoleniem wszechwładnej partii kierowały się sadą prawa i niezawisłości sądu. Zachowanie się oskarżonych było wzorowe. Przyznawali do walki o wolność Italii i stwierdzali, że nie chcieli dopuścić do tego skandalu, aby mąż miary co Turati był niepokojony przez policję. Podobnie przemawiali świadkowie i obrońcy. edy młody Ferrucio Pari oświadczył, że uważałby za hańbę nosić pod rządami dyktatury edale zdobyte za waleczność na polu walki, przyklasnął mu jego ojciec, stary oficer, a cała a poszła za jego przykładem. „Dziesięć takich procesów" — mówiono — „a cały reżim faszy-wski się skończy". Wszyscy odczuwali to samo. Tu nie wchodził w grę los tych kilku karżonych, tylko przyszłość wielkiego problemu moralnego. Nic też dziwnego, że kiedy ogło-ono wyrok — bardzo łagodny — publiczność obrzuciła skazańców kwiatami, a nawet rabinierzy uśmiechali się łagodnie, widząc ów entuzjazm tłumów. Historia typowo włoska... osselli został skazany na dziesięć miesięcy więzienia i pięć lat wygnania na główną wyspę upy Eolskiej, Lipari (gdzie przebywa obecnie żona b. ministra, Edda Ciano-Mussolini). Lipari światło elektryczne, trochę ogrodów, dwie czy trzy kawiarnie i kilka ulic. Okolica jest dość alownicza. Po jednej stronie widzi się stare zamczysko na wzgórzu, wśród sadów i pól uprawch, po drugiej morze, gdzie zjawia się codziennie z Sycylii staroświecki parowiec przywo-cy pocztę i żywność.

Rosselli wynajął mieszkanie, sprowadził żonę, dzieci i książki i starał się o stworzenie możli-ych warunków życia dla siebie i swojej pracy. Towarzyszami jego było kilku posłów do rlamentu i kilku działaczy politycznych, wielki mistrz masonerii włoskiej Domizio Torri-ni, syn b. premiera Nitti, którzy wnet stali się codziennymi gośćmi domu Rosselliego. Uczono tam, z wiedzą policji, języków, ale naturalnie dyskutowano najwięcej. Owocem owych zmów i osobistych przemyślań Rosselliego była praca *Socialismo Liberale*, która ukazała się tem w Paryżu. W porównaniu z późniejszymi jego dziełami, bardziej już dojrzałymi i oparmi na większym doświadczeniu, *Socjalizm Liberalny* przedstawia może mniej wartości prak-cznej. Jest to bowiem dzieło emocjonalne, będące wynikiem głęboko odczutej potrzeby prze-dowy istniejącego porządku, a przede wszystkim świadomości tragicznego przesilenia, w ja-e faszyzm pogrążył Italię. Rosselli był wówczas zdania, że marksistowski socjalizm z tego zesilenia jej nie wydobędzie. Głęboka miłość ojczyzny i poczucie krzywdy, jaką ludz-ści wyrządza tyrania faszyzmu, kazały Rosselliemu iść za przykładem Bernsteina, Sorela, ures'a, Crocego, Labrioli, Mandolfa i innych i widzieć w rewizji socjalizmu broń, która ogłaby najskuteczniej zwalczyć faszyzm. W tej książce, tworzonej na wygnaniu, przemawiał tor jako przedstawiciel zrozpaczonej i rozczarowanej młodzieży włoskiej.

„Od roku 1908" — pisze — „kryzys moralny i intelektualny przybrał rozmiary wprost

niepokojące. Młodzież stawała się po kolei wyznawcą najróżnorodniejszych haseł, była liberalna futurystyczną, narodową, chrześcijańską, ale nigdy socjalistyczną. Młodzi intelektualiści pocho dzenia mieszczańskiego opuszczali jeden po drugim szeregi socjalistów z tą chwilą, kiedy ów ruch wyszedł ze swej fazy naiwnej, romantycznej i entuzjastycznej, rozpoczynając prozaiczn walkę o zarobki robotnika, walkę szkodliwą dla pomyślności ojcowskich pularesów".

Młodzież, uciekając od socjalizmu i chcąc przezwyciężyć tzw. przesilenie marksistowskie poczęła szukać takich ideałów, do których mogłaby mieć zaufanie. „Nowa generacja, nastro jona bardzo idealnie, woluntarystyczna i pragmatyczna, przestała wierzyć w materializm i pozytywizm starych (nb. objaw ten obserwowano również w tym samym czasie w Niemczech) Zrozumiał to i umiał wyzyskać jedyny człowiek — Mussolini. Ten awanturnik w świeci kultury i polityki nie umiał się nigdy zdobyć na myśl zdrową i na uczciwą działalność inte lektualną. Ale obdarzony niezwykłą intuicją, odczuł, że socjalizm taki, jaki był dotąd, nie moż zadowolić młodzieży. Przeciwstawił mu więc pragmatyczny woluntaryzm, bergsonizm a przede wszystkim idealizm, który ją porwał. Zwycięstwo Mussoliniego było tylko następ stwem organicznej nieudolności przywódców socjalizmu". „Był on instytucją martwą. Reakcj intelektualne antymarksistowskie spotkały się we Włoszech z reakcją antydemokratyczną i anty parlamentarną, która przybrała formy konkretne jeszcze za czasów walki prowadzonej z Gio littim. I w ten sposób torowało się drogę — faszyzmowi". (Tom I, str. 142, 143).

„Socjalizm liberalny" głosi pogląd, że socjalizm nie może narzucać społeczeństwu ram jeg życia, nie może być realizowany z góry przez państwo, tylko z pomocą różnorodnej działal ności gminy, cechów, syndykatów, przez ciągłość trwania z uwzględnianiem tradycji i wzorów gospodarstw prywatnych. Socjalizm powinien zawładnąć państwem przy pomocy większość organicznej narodu, wykonującej swoją władzę w sposób legalny i pozostawiający przeciwni kowi pełne prawo krytyki i opozycji". (T. I, str. 148).

Słusznie jednak zauważa autor biografii, że był to program raczej liberalny, aniżeli socja listyczny, dlatego socjaliści włoscy wypowiedzieli się przeciwko niemu, i to nie tylko prze swoje organizacje emigracyjne, ale także i krajowe. Dojść do władzy w Italii opanowane całkowicie przez faszyzm nie można przy pomocy wolności demokratycznej, przy pomocy roz wiązywania problemów aktualnych narodu włoskiego. Najważniejszym z nich jest walk z faszyzmem.

Według Rosselliego faszyzm nie jest produktem przypadku. „Zwalczyć go, nie znaczy t zanulować go całkowicie, przeciwnie, zwalczy się faszyzm łatwiej, im lepiej się go zrozumi *(Comprendere è vincere)*. Faszyzm pozbawiony jest całkowicie wartości konstruktywnych. Lec z chwilą jego upadku powinno się natychmiast wyzyskać jego doświadczenia, realizując zagad nienia stosunku socjalizmu do narodu i do rządu w ustroju demokratycznym, przy zachowani autonomii politycznej". (T. I, str. 150).

Mimo wielu zastrzeżeń i krytyk wypowiedzianych pod adresem *Socjalizmu liberalnego* prze socjalistów włoskich, książka ta spotkała się w Paryżu, po śmierci jej autora, z dużym uzna niem. Kamil Bouglé porównuje ją z ideologią Proudhona, a Henryk Pollès przepowiada je programowi pewne zwycięstwo. Nie należy jednak zapominać o tym, że *Socjalizm liberaln* powstał na długo przed dojściem do władzy Hitlera w Niemczech i zupełnym opanowanie Włoch przez faszyzm. Historia Europy w latach 1933—1936 wywołała jednak zasadnicz zmianę w przekonaniach młodego reformatora. Po ucieczce z wysp wygnania przebywa Rosselli wiele z francuskimi zwolennikami neosocjalizmu, dochodząc zwolna do przekonania że doktrynerstwo ich nie potrafi zbawić Italii. Rozmowy z Andrzejem Malraux, spotkani Trockiego, o czym zdawał Rosselli sprawę w *Giustizia e Liberta*, uczyniły poważny wyłom w pokojowym neosocjalizmie Rosselliego. „Nie jesteśmy demokratami w mechanicznym sensi tego słowa i nie przywiązujemy zbytniej wagi do większości i mniejszości, jeżeli ta większość czy mniejszość zachowuje się jak potulne barany!" (T. II, str. 70).

Kiedy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, Rosselli przypatrywał się z bliska działani tych czynników i pojęć, które dotąd uważał za miarodajne. Żywy jego umysł zwrócił się k problemowi rosyjskiemu i zaczął go oceniać z całkiem innego punktu widzenia. W pracac jego ogłaszanych w latach 1934—1935 znaleźć można tu i ówdzie uwagi krytyczne o ZSRI i pewne zastrzeżenia: „aby nie poddawać pod wymagania taktyki państwa rosyjskiego roz woju stosunków europejskich" i in. Ale na ogół wybija się na pierwszy plan pełne zrozumieni ewolucji przez jaką przeszła Rosja. „Wielkich rzeczy" — pisał on na przykład — „dokonan w ostatnich 17 latach. Rewolucja październikowa jest zdarzeniem, rozpoczynającym now epokę ludzkości. Stwierdzić też należy, że upadek reżimu sowieckiego byłby wstrząsający nieszczęściem, którego należy uniknąć! Doświadczenia Rosji powinny być decydujące dl wszystkich ruchów rewolucyjnych". (T. II, str. 91).

„Zdajemy sobie doskonale sprawę" — pisze Rosselli później — „z pewnej zawiłości naszego nowiska wobec ZSRR. O wiele łatwiej można by go egzaltować, jak to czynią komuniści. e prawdziwy rewolucjonista musi znaleźć w sobie dość krytycyzmu wobec ustroju, który je mu wiele korzyści, ale jest jeszcze daleki od tego ideału, jaki nam przyświeca".

Rozczarowania z anarchistami barcelońskimi przeżyte w czasie wojny domowej w Hiszpanii nadzieja, że formujący się w Madrycie przy pomocy Rosji legion włoski przyczyni się do ski Franca, a potem da się użyć do wywołania zbrojnego oporu przeciw faszyzmowi w Italii, iżyły Rosselliego jeszcze bardziej do komunizmu. „Rozważając wojnę domową w Hiszpanii o ośrodek zainteresowań europejskich należy przyznać, że komuniści i broń rosyjska przedwiają wartości pozytywne, podczas gdy postępowanie pacyfistycznej demokracji eurojskiej jest tylko wartością negatywną" (T. II, str. 254). Na tym też podłożu wyrosła ostazna decyzja Rosselliego wzięcia osobistego udziału w dowództwie tych włoskich formacji jskowych, jakie zawdzięczały swoje powstanie wyłącznie komunistom i pomocy z Rosji.

Na razie jednak Carlo Rosselli wierzył jeszcze nadal w neosocjalizm, który w jego żywym yśle przybierał coraz to inne formy, i przebywał nadal na wygnaniu w Lipari. Marzył tam gle o wyzwoleniu — o ucieczce. „Ogłupiałem już całkiem w tym kurniku" — pisał do jedgo z przyjaciół. — „Wolałbym naprawdę siedzieć w więzieniu". Ale wydostać się z Lipari było przedsięwzięciem łatwym. Po morzu krążą bez przerwy patrole, a policja sprawdza sto w nocy, czy zesłańcy są w domu. Ludność pomaga też w ich szpiegowaniu i pilnowaniu, sądzi, że to są niebezpieczni wrogowie państwa. W roku 1928 udało się, mimo wszystko, jakiemu Spangaro dostać się na okręt niemiecki, innych śmiałków wyłapywano jednak stale. ieczkę Rosselliego i jego towarzyszy przygotowywano z niezwykłą starannością. Zakupiono żą motorówkę we Francji, która mogła być jednak użyta w Lipari tylko w oznaczonych iach i o oznaczonym czasie, tzn. w pół godziny po zachodzie słońca i z nastaniem nocy zksiężycowej. Trzy razy zesłańcy skryci na brzegu morza wypatrywali na próżno nadejścia tku i trzy razy pędzili z powrotem do domu, aby znaleźć się tam przed godziną policyjną. reszcie komendant obozu otrzymuje ostrzeżenie, aby pilnował Rosselliego, bo przygotowuje ucieczkę. Ale komendant Cannata jest przekonany, na podstawie rozmów z Rossellim rzejmowanej korespondencji, że jest to *confinato modello,* który ani myśli o opuszczeniu wyspy. dchodzi wszakże umówiony, czwarty z rzędu, termin. Komendant siedzi w cukierni i orzeźa się sorbetem, a czterech spiskowców zmierza tymczasem różnymi drogami ku umówionemu ejscu. Gubią się po drodze, szukają i w dodatku nie mogą znaleźć motorówki. Nareszcie nadpływa. Rosselli i towarzysze dochodzą do niej przez wodę i przemykają się cicho pod sem strażników. Trzeba zatrzymać motor i wiosłować. A potem jeszcze jedna okrutna emocja, zebicie się przez kordon morskich patroli, których załogi zajęte są o tym czasie jedzeniem. vdostano się w końcu na pełne morze. Dalekie sylwety Lipari i Vulcano rozpłynęły się mroku wieczornym. Biedny komendant dostał nazajutrz ataku nerwowego i musiał być przeziony do Palermo, Rosselli wylądował na Korsyce i wnet potem znalazł się w Paryżu.

Przed rokiem 1924 szukała we Francji schronienia czy zarobku masa robotnicza z niewielu ko przedstawicielami tzw. inteligencji. Miała ona także swoją prasę: *Voce Socialista (Głos cjalistów), Rivendicazione (Żądanie odwetu* — anarchist.), *Campane a stormo (Dzwon burzy* — mitet antyfaszystowski), *Riscossa (Wstrząs* — komunist.) — Emigracja ta była pilnie serwowana przez licznych agentów policji faszystowskiej, nie brakło też i prowokatorów, których jeden został zastrzelony na tarasie kawiarnianym w 1924. Począwszy od 1925 przesili się również do Francji wybitniejsi działacze lewicy włoskiej oraz osobistości nie godzące z reżimem, jak Sforza, Nitti, Don Sturzo, a także i awanturnicy polityczni w rodzaju ci Garibaldich, wnuków oswobodziciela Italii i agenci prowokatorzy: Rossi, Fasciola, Bazzi . in. Dla tego nowego odłamu emigracji założono pismo codzienne *Corriere degli Italiani,* którego redakcji znalazł się od razu informator reżimu, szpieg Mario Pistocchi. Naczelnym laktorem pisma był sędziwy Odino Morgari. Ten zasłużony leader socjalizmu włoskiego dał jednak opętać komisarzowi policji włoskiej i wicekonsulowi partii Spetia i wtajemniczał go, dobrej myśli, we wszystkie sekrety redakcji. Była ona zrazu dobrze prowadzona szczególj w dziale korespondencji z kraju, nadsyłanych rzekomo z pomocą gołębi pocztowych. Inforcje te okazywały się tak dokładne, że pograniczna milicia faszystowska otrzymała rozkaz łego pilnowania przelotu owych rzekomych gołębi i strzelania do nich. W końcu jednak na tek trudności finansowych, dziennik przejął niejaki Carlo Bazzi, zdemaskowany później jako wokator policji faszystowskiej, który ogłaszał tak wywrotowe idee i tak otwarcie zachęcał zamordowania Mussoliniego, że aż pobłażliwa dotąd policja francuska zakazała wydawania o prowokacyjnego piśmidła.

Kiedy Carlo Rosselli zjawił się na bruku paryskim, rozprawiano wiele w kołach emigracji

włoskiej o możliwościach zbrojnej interwencji przeciw faszyzmowi; utworzył się nawet tzw Legion Garibaldczyków, najpierw w kraju, a potem przeniósł się on do Francji. Na czele tego legionu stanęli bracia Peppino i Riccioti Garibaldi, których nazwisko starczyło już za program Młodzież emigracyjna garnęła się do owego legionu, lecz smutna jego historia przyczyniła si niemało do późniejszej rezygnacji i bezczynności emigracji włoskiej. Cóż bowiem wyszło n jaw? Oto Riccioti Garibaldi zwerbował trzech anarchistów, między nimi niejakiego Scivol którzy mieli dokonać zamachu we Włoszech. Dał im legitymacje Legionu, paszporty i kom promitujące listy do kilku masonów. Policja francuska aresztowała jednak Scivolę, który wsypa Garibaldiego i spowodował jego uwięzienie. W czasie dochodzeń okazało się, że Garibald utrzymywał stałe stosunki z szpiegiem policji faszystowskiej La Polla i że pobrał od nieg w ostatnich tylko kilku miesiącach 645 000 lirów. Cały zaś zamach był na to tylko wymyślony aby skompromitować we Włoszech Legion i masonów.

Emigracja broniła się jak mogła przed ową korupcją, a lepsze jej elementy doprowadził w r. 1927 do tzw. Układu w Nerac, do którego przystąpili socjaliści (unitariusze i maksy maliści), republikanie i członkowie „Ligi praw człowieka", tworząc „Koncentrację przeciw faszystowską" i zakładając własny organ prasowy *La Liberta (Wolność).*

„Koncentracja" nie potrafiła jednak rozwinąć bardziej ożywionej działalności, a w każdym razie nie brała czynnego udziału w akcjach, jakie rozgrywały się na terenie włoskim. Komu niści mieli tam najwięcej szans prowadzenia skutecznej walki z faszyzmem. Podczas gdy „Kon federacja generalna pracy" zawierała pakty z reżimem, komuniści wydawali tajne pisma odezwy i podtrzymywali ze wszystkich sił ducha oporu. Inne ugrupowania redagowały te tajne wydawnictwa ręcznie powielane. W Turynie młodzież wydawała socjalistyczno-republi kańską *Umanita nuova (Nową ludzkość)* i antyfaszystowską *Difesa Liberale (Obronę),* repu blikanie zaś byli zawsze zwolennikami akcji bardziej energicznej i domagali się jej nada w swych tajnych pisemkach *Carbonerie* i *Giovine Italia (Młoda Italia).* Spowodowało to nawe liczne uwięzienia w Turynie, Rzymie i Trieście. Nikt tylko nie wiedział, kto był sprawc zamachu na króla, 20 maja 1928, kiedy to eksplodowała bomba zegarowa umieszczona w bu dynku Targów Mediolańskich, które król miał otworzyć. Wybuchła jednak o dziesięć minu za wcześnie i poraniła kilka niewinnych osób. W kołach opozycyjnych twierdzono, że zamach ów był prowokacją policji szukającej pretekstu do licznych aresztowań, jakich dokonan wśród komunistów i terrorystów włoskich

W tym czasie Ferdynand de Rosa przybył ze Szwajcarii z zamiarem ożywienia działalnośc socjalistów i zorganizowania przemytu nielegalnej literatury. Jej główną składnicę założon w Lugano, lecz czujność straży granicznej wnet udaremniła żabiegi de Rosa. Z tego samego powodu nie udał się zamiar wydawania dziennika *La Lotta politica (Walka polityczna)* reda gowanego w kraju, a drukowanego w Szwajcarii i sprowadzanego z powrotem do Włoch Z kilku numerów przedostał się do Turynu tylko jeden egzemplarz, stanowiący dzisiaj nie zwykłą rzadkość bibliograficzną. Aleksander Pertini założył ze swej strony w Eze koło Nice stację radiową i przez dłuższy czas psuł krew policji faszystowskiej, aż przyjechawszy pew nego razu do kraju, został wydany przez jakiegoś kolegę-zdrajcę i skazany na 12 lat ciężkieg więzienia.

Wszycy ci ludzie utrzymywali styczność z Rossellim, interesowali się jego ucieczką z Lipar i w końcu stanęli pod wspólnym sztandarem walki z faszyzmem, prowadzonej od r. 192 w ramach organizacji *Giustizia e Liberta (Sprawiedliwość i Wolność).* Z początku Rosselli by jedynym tam socjalistą zreformowanym. Towarzysze jego należeli przeważnie do demokratów liberałów i republikanów. Stojąc poza stronnictwami, *Giustizia e Liberta* poświęciła się wyłącz nie walce z faszyzmem. W jednej z jej pierwszych publikacyj czytamy: „Faszyzm opanowa duszę Italii. Trzyma broń w ręku i mówi: Dyskutuję tylko w ten sposób. My Italianie uczy nimy to samo i pokonamy faszyzm. Wyszedłszy z różnych kierunków politycznych, republi kanie, socjaliści i demokraci, będziemy walczyć za wolność, za sprawiedliwość socjalną!"

G. L. była zrazu organizacją spisku, a nie terroru, „który uważano za wybuch pasji, unie możliwiającej jakąkolwiek kalkulację polityczną", krytykowano również stosowanie terroru jako środka walki w innych krajach. Kiedy wszakże de Rosa strzelał w Brukseli do włoskieg następcy tronu, G. L. powitała ów zamach jako manifestację oporu przeciw dynastii toleru jącej faszyzm, jako przejaw woli emigracji nie dopuszczającej do uznania faszyzmu jak systemu mającego swoje prawa obywatelskie w Europie. 30 grudnia 1929 policja francuska przeprowadziła rewizje u wszystkich przywódców G. L., znajdując u jednego z nich materia wybuchowy i lonty. Nastąpiło kilka aresztowań, ale nie powstrzymały one dalszego, o wiel już śmielszego rozwoju działalności G. L. Zaczęto wydawać pisma propagandowe dla każdeg stanu z osobna. F. L. Ferrari był autorem broszury przeznaczonej dla kleru, Emil Lusso wy-

ział przez dłuższy czas do korpusu oficerskiego w eleganckich kopertach z napisem *Associa-ione del nostro azzuro (Stowarzyszenie błękitnej wstęgi)* pisma propagandowe, które tak bardzo yły dostosowywane do mentalności żołnierskiej, że uczyniły niejeden wyłom w narzucanych rzez faszyzm pojęciach. Podobnie też docierały różne inne i liczne wydawnictwa, jak *yktatura i dyktatorzy* Sforzy, wzruszający testament polityczny Michała Schirru i wiele nych. W ten sposób zacieśniały się związki między G. L., której siedzibą był Paryż, a krajem. otworzono składy owych wydawnictw w Trento, Florencji, Genui, na Korsyce, w Medio-nie, a dzięki urzędnikowi pocztowemu, Traquandi, dopływ prasy nielegalnej z Francji stał ę niemal regularny. Największym powodzeniem cieszyła się wtedy broszura *Rady taktyczne Consigli sulla tattica),* uczące pasywnego oporu i różnych sposobów propagandy rewolucyjnej. iccardo Bauer i Ferrucio Pari nawiązali doniosłe kontakty z wojskowością. Kiedy policja padła na ich ślady, aresztowano generała Caviglio, mimo to G. L. liczyła w korpusie ofi-erskim wielu zwolenników, a do nich należał generał Albricci w Neapolu i in. Ośmieliło to auera i Rossi do przejścia wprost do czynnej walki z faszyzmem, przez przygotowanie bar-zo zresztą popularnych napadów na poborców podatkowych i ich biura.

Był to rozkwit ruchu przeciwfaszystowskiego, który poniósł jednak nową porażkę, głównie zięki nieostrożności i łatwowierności jego działaczy. Oto w Brukseli prof. Berneri poświęcił ę głównie wykrywaniu prowokatorów i szpiegów faszystowskich. Zaprzyjaźnił się wszakże agentem prowokatorem Ermano Menapace, mimo że ten dał się już poprzednio poznać, wy-adając materiał przygotowany dla wystawy przeciwfaszystowskiej. Berneri pozwolił mu się ciągnąć w pułapkę, pod pozorem unieszkodliwienia innej bandy szpiegowskiej niejakiego azzi, którego Menapace chciał się jako konkurenta pozbyć. Kiedy Berneri przybył do Brukseli listą swoich towarzyszy pracy i bronią, Menapace kazał go aresztować pod pozorem przy-otowywania zamachu na ministra Grandiego i delegację włoską. Aresztowano wówczas także orzę, ale wypuszczono go wnet na wolność i on to wystąpił z oskarżeniem prowokatora enapace, którego skazano w Brukseli na 7 miesięcy, a Berneri na 5 miesięcy więzienia.

W paryskiej organizacji G. L. przeprowadzono również nowe rewizje, skazując Rosselliego, archianiego i Lusso na opuszczenie granic Francji. Wprawdzie udało im się uzyskać chwilowe droczenie tego wyroku, zadało to jednak poważny cios robocie organizacyjnej. Niezmordo-any Rosselli wpadł wówczas na pomysł urządzania stałych przelotów nad Włochami i zrzu-nia odezw i nielegalnej literatury. Niejaki Bassanesi zobowiązywał się nauczyć pilotażu, Rosselli wynajął samolot. Miano lądować w Szwajcarii niedaleko granicy i zrzucać „bibułę" d Mediolanem. Udało się to doskonale, tylko z powrotem, przy przymusowym lądowaniu, olicja szwajcarska aresztowała pilota i uniemożliwiła dalszą jego robotę. Za jego przykładem cieli pójść de Bosis i porucznik Viezoli, ale bez rezultatu.

Działająca wspólnie z G. L. krajowa organizacja *Alleanza Nazionale (Przymierze narodowe)* jmowała się głównie rozpowszechnianiem tajnej literatury i własnego dzienniczka, mającego ielu chętnych odbiorców. Jednym z nich był niejaki Karol del Re, dość zamożny przemy-owiec i znajomy Balba. Tenże del Re, namówiony przez Balbo, zbliżył się do organizacji zapoznał z Rossim i Bauerem, którzy przygotowywali właśnie w różnych miejscowościach ipady na urzędy podatkowe przy pomocy bomb fosforowych. Fabrykował je młody chemik eva, a del Re przewoził własnym samochodem do wyznaczonych składów. Del Re udawał turalnie zwolennika najradykalniejszych środków walki. Pojechał nawet do Sforzy, aby go ciągnąć w jakąś terrorystyczną robotę; wytrawny dyplomata przejrzał jednak od razu nie-zpiecznego prowokatora tak, że powrócił on z niczym do Rzymu.

Do organizacji nadeszło tam właśnie ostrzeżenie przed człowiekiem, któremu brakuje dwu alców u ręki. „Czyżby mnie miano na myśli?" — zażartował del Re, pokazując własną znie-ztałconą dłoń. I ta zimna krew tak zaimponowała Bauerowi, że nie uwierzył doniesieniu. yło ono jednak prawdziwe, bo wnet rozpoczęły się aresztowania rozbijające kilka najważniej-ych ośrodków organizacyjnych. Del Re znalazł się niby jako jedyny ocalały rozbitek w Lu-no i telefonował do Rosselliego, aby oń i jego towarzysze przyjechali do niego, dla omówie-a szczegółów owego pogromu. Niedawno jednak temu prowokatorzy zwabili do Lugano ezarego Rossi, byłego szefa prasy Mussoliniego i uwięzili. Rosselli nie dał się namówić na zyjazd i zażądał, aby del Re dotarł do Paryża. Tam zdemaskowano go i zwolniono, bo orga-zacja nie rozporządzała aparatem represyjnym unieszkodliwiającym tego rodzaju indywidua. el Re wymknął się do Włoch, zmienił nazwisko i ukrył tak dobrze, że nie dosięgła go nigdy msta mścicieli jego ofiar. Rossi, Bauer, Ceva i inni zostali osadzeni w więzieniu *Regina oeli* i zdawało się, że czeka ich kara śmierci za agitację w armii. Ceva powiesił się w celi, ś Rossi odstawiony do Mediolanu wyskoczył mimo kajdan z pociągu. Dotarł nawet szczę-wie do jakiejś zagrody, lecz odmówiono mu wszelkiej pomocy, tak że wnet wpadł znowu

w ręce policji. Sąd, teraz już „specjalny", skazał wszystkich na 15 do 20 lat ciężkich robót paraliżując na długo akcję wyzwoleńczą we Włoszech.

Tryumfujący faszyzm powołał wówczas do życia nową instytucję zwaną OVRA *(Opera Vigilanza Repressione Antifascismo — Czuwanie nad zwalczaniem antyfaszyzmu)*, która rozpo rządzając olbrzymim funduszem dyspozycyjnym i niezwykle licznym aparatem, zaciężyła jak zmora nad włoskim ruchem wolnościowym.

Wpadła ona też na trop anarchisty Michała Schirru, który przybył z Ameryki, aby zabi Mussoliniego. Napisał on poprzednio swój testament polityczny, ogłoszony przez G. L. a wzru szający swą gorącą miłością wolności i sprawiedliwości socjalnej. Schirru przyprowadzony n komisariat, wyjął rewolwer i zaczął strzelać do urzędników i agentów, raniąc kilku z nich W tym samym czasie aresztowano Belga, prof. Leona Moulin, któremu niebaczny Bassanes dał kilka adresów. Aresztowano więc i tych ludzi, tak samo jak dr Germani, przybyłego d Rzymu dla wywiezienia wdowy po Matteottim. Rok 1931 był w ogóle rokiem triumfów OVRA W Turynie zawiązał się wprawdzie nowy ośrodek oporu, zaczął nawet wydawać ręczni powielany dzienniczek *Voci di officina (Głos warsztatu)*, utrzymujący ścisły kontakt z G. L. te same usiłowania podejmowano w Mediolanie, rezultaty owej roboty były wszakże racze nikłe. O wiele skuteczniejszym był przebieg procesu, wytoczonego przez władze szwajcar skie lotnikowi Bassanesi, który, jak wiadomo, rozbił swój aparat przy przymusowym lądo waniu w kantonie Ticino. Na ławie oskarżonych zasiedli także wspólnicy jego Carlo Ros selli i Tarchiani. I z ust ich dowiedział się świat, co sądzą Włosi kochający wolność o fa szyźmie i stosunkach, panujących w ich ojczyźnie. O kilka kroków od granicy padło wów czas płomienne oskarżenie, które zaważyło ciężko na szalach opinii publicznej.

Oskarżeni wyszli z tego procesu niemal zwycięsko, bo skazano ich tylko na zakaz po bytu w jednym kantonie, a powróciwszy do Paryża zajęli się od razu sytuacją, jaką dl sprawy włoskiej mogło stworzyć ogłoszenie w Hiszpanii republiki. (14 kwietnia 1931).

Od tego też czasu daje się zauważyć stałe przesuwanie się organizacji *Giustizia e Libert* na lewo. (Układ o współpracy z socjalistami włoskimi w lecie 1931). Złączeni przyjaźni lub wspólnością myśli z hiszpańskimi leaderami Prieto i Asaña, wybrali się Rosselli, Tarchian i Bassanesi do Hiszpanii, aby tam przygotować bardziej aktywną akcję propagandową w Włoszech. Hiszpan Ramo Franco proponował zbombardowanie ze samolotu siedziby Musso liniego w pałacu weneckim, inni chcieli ograniczyć się do przelotów zrzucających „bibułę nad Włochami. Ustąpienie Asaña z ministerstwa wojny przerwało owe pertraktacje i Rossell powrócił dosyć rozczarowany do Paryża. W 1932 ponowiono znów rozmowy za pośred cnitwem De Rosa, który jednak pozostał w Hiszpanii i odegrał potem wybitną rolę, jak zwolennik Caballera w powstaniu madryckim.

W tym czasie rozeszła się wieść, że kanclerz niemiecki Brüning zaprosił do Berlina Musso liniego, który zaproszenie to przyjął. Rosselli wysłał tam więc Bassanesiego, aby przygoto wał zamach. Pomagał mu w tym socjalista Modigliani, który wprowadził go w koła *Reichs bahneru* i syndykalistów niemieckich. Nerwowi Włosi nie czuli się tam jednak swojsk „Różnica temperamentów — pisze autor — „była zawsze wielką przeszkodą. Nawet ci, c sympatyzowali z socjalizmem austriackim, nie mogli znieść pedanterii niemieckiej social-de mokracji". Mussolini jednak do Berlina nie pojechał, a Bassanesi przeniósł się do Constanzy aby stamtąd przygotowywać loty nad Włochami, lecz policja wpadła na trop owej robot i aresztowała Bassanesiego. Zapadł on wkrótce potem na chorobę nerwową i zniknął z sze regów organizacji G. L.

Stawała się ona coraz bardziej organizacją rewolucyjną zmierzającą do wywołania prze wrotu we Włoszech i wytępienia faszyzmu. Złączyła się z *Concentrazione Antifascist* składającą się z republikanów, socjalistów i liberałów-demokratów, i objęła przewodnictw całej działalności w kraju, pozostawiając „Koncentracji" wszystkie sprawy organizacyjne z granicą. Programem G. L. było przede wszystkim obalenie faszyzmu i przywrócenie w Włoszech życia parlamentarnego. Inne zagadnienia: republikańskiej formy rządu, refor socjalnych, zniesienia monopoli wielkiego przemysłu, zapewnienia ziemi temu, kto ją upra wia, krystalizowały się dopiero w dalszych dyskusjach i rozlicznych sporach.

„Dążymy do odzyskania wolności w państwie republikańskim, realizującym formy na szerzej pojętej demokracji, opierającej się przede wszystkim na klasie pracującej i jej auto nomicznych organizacjach". „Podstawą nowego państwa będzie rząd wyszły z rewoluc i lokalnych komitetów rewolucyjnych. Najrychlej zwołana Izba ustawodawcza, wybran na podstawie powszechnego głosowania, ustali ostateczny ustrój republiki". „Powinien o opierać się na najszerszej autonomii. Funkcje rządu centralnego ogranicza się do tych tylk spraw, jakie odnoszą się do życia narodowego".

„Ma być również utworzona gwardia republikańska dla obrony rewolucji i wydane pra-
o odszkodowania ofiar politycznych z majątków ludzi sprzyjających faszyzmowi lub ponoszących za niego odpowiedzialność". „Ponieważ agrariusze i przemysłowcy popierali faszyzm,
dą oni wywłaszczeni, o ile to popieranie zostanie im udowodnione" (T. I, str. 248—252).
Program ów wywołał wiele polemik i sprzeciwów w szeregach bardziej umiarkowanych
olenników G. L. Nie powstrzymało to jednak dalszej roboty, jaką ta organizacja prowadziła we Włoszech, narażając się na dotkliwe straty wyrządzane przez coraz pewniejszą siebie i coraz skuteczniejszą akcję policji faszystowskiej.

W czerwcu 1933 wybuchła w przedsionku Bazyliki św. Piotra w Rzymie nieszkodliwa
tarda. Miał to być protest przeciwko zbytniemu solidaryzowaniu się Watykanu z polika Mussoliniego. W następstwie owej niewinnej demonstracji aresztowano Klaudiusza
ianca i skazano go na 17 lat ciężkiego więzienia, a Renato Cianca i Leonarda Bucciglione
trzydzieści lat! Ofiarą policji zaczęli także padać Żydzi. Prasa oficjalna zaczęła pisać
„wojsku żydowskim" po schwytaniu na przemycie bibuły Mariusza Levi oraz aresztowaniu
ni Allason, Leona Ginzburga, całej rodziny Levich, Juliany Segre i in. Działalność ru-
u oporu, kierowanego przez *Giustizia e Libertà*, doznała wszakże największego wstrząsu
zez aresztowanie w Rzymie, na Piazzo Venezia, niejakiego Sbardelloto. Znaleziono przy
m bombę, torturowany zaś nieludzko, zeznał, że była ona przeznaczona dla Mussoliniego,
fałszywego paszportu, pieniędzy i bomby dostarczyli mu agenci G. L. Wywołało to na-
ralnie w całym kraju nowe obławy na zwolenników G. L., którzy czekali w więzieniach
„generalny proces przeciwko terrorystom"; miał on wzbudzić oburzenie społeczeństwa
łoskiego „na tych wrogów porządku i prawa".

Na emigrację włoską we Francji, a szczególniej na osiadłego w Paryżu Carlo Rosselli,
ywarło objęcie władzy w Niemczech przez Hitlera wstrząsające wrażenie. Dopatrywano
w nim, słusznie, wzmocnienia faszyzmu włoskiego, którego wódz lansował właśnie swój
ojekt dyktatury czterech mocarstw nad całą Europą. Rosselli zdefiniował od razu hitlezm jako „nową formę barbarzyństwa i zmierzch cywilizacji".

Jego obawy były tym słuszniejsze, że nie widział wokół siebie obrony przed ową klęską.
ancja przechodziła ciężkie przesilenie polityczne, pięć ministerstw (Herriot, Paul Boncour,
aladier, Albert Sarraut, Chautemps) radykalnych albo radykalizujących nie potrafiło
hronić Francji przed skandalami tego pokroju co afera Stavisky'ego, przed przesileniem
spodarczym i coraz większym zabagnieniem stosunków partyjnych i parlamentarnych.

Przed kongresem w Bordeaux, który miał potwierdzić zbliżenie się dwu międzynaro-
owek, socjalistycznej i komunistycznej, Rosselli wystąpił z żądaniem, aby to zbliżenie nie
ciągnęło za sobą jeszcze większego oddalenia się proletariatu od klasy średniej, która przez
oddalenie narażona jest najwięcej na niebezpieczeństwo poddania się faszyzmowi. Wal-
z nim staje się teraz celem życia tego nieugiętego bojownika. „Germania Hitlera, to Ger-
ania Wilhelma II", pisał Rosselli w r. 1933. „Widzimy, że ani Francja, ani Anglia nie
zumieją tego niebezpieczeństwa. Liga Narodów bankrutuje, rozbrojenie zawodzi, pakt Kel-
ga jest świstkiem papieru, a Locarno stało się znów nic nie znaczącą mieściną nad Lago
aggiore. Wojna zbliża się nieuchronnie. Nie zaraz. Może za dwa, za pięć, czy dziesięć lat,
wybuchnie na pewno. Cóż tedy pozostaje, jak nie interwencja rewolucyjna, mająca na
lu wywołanie rewolucji przeciwfaszystowskiej, najpierw w Niemczech, a potem we Wło-
ech i Austrii. Każda prawdziwa rewolucja była zawsze interwencyjną. Taką była rewo-
cja francuska i takim to ideałom służyli Mazzini, Kossuth, Mickiewicz, Garibaldi"!
. II, str. 25).

Jedyną drogą zapobiegającą wojnie jest uprzedzić ją, zduszając hydrę faszyzmu w jej
asnych gniazdach. Rosselli zdawał sobie jednak sprawę z ogromnych trudności, na jakie
potykało w owych czasach to zadanie. Szukał więc przyjaciół i pomocników wśród Francu-
w. Jego mieszkanie przy *Place du Pantheon* stało się znów, jak we Florencji, miejscem
ęstych zebrań i dyskusyj. Bywali u niego wszyscy. Politycy, dziennikarze, literaci i mu-
cy. Stosunki te okazywały się nieraz bardziej skuteczne od różnych urzędowych inter-
encyj. Było wiadome, że włoscy socjaliści docierali do Bluma, komuniści do Peri, republi-
nie i masoni do Herriota i Sarraut. Ale Rosselli dochodził nieraz łatwiej do celu przez
oją przyjaźń z historykiem Elie Halévy, z Bourgin, Déat'em lub René Benjamin.

Lecz na dnie owych przyjaźni z Francuzami zaczęło się osadzać sporo goryczy. Rząd
ancuski nie chciał rozumieć tej tragicznej wymowy, jaką miały wypadki rozgrywające
w Niemczech (czystka partii, zabójstwo Dolfussa w Austrii itd.). „Faszyzm i Mussolini
ko protektor Austrii byli jej największą tragedią" — pisał Rosselli (T. II, str. 86).
wtarza też ciągle w swoich artykułach, ogłaszanych w G. L., „że tylko rewolucja w Niem-

czech i we Włoszech mogą rozerwać ów piekielny pierścień, otaczający Europę. Nie st czą tu pochody i apele. Proletariat międzynarodowy musi zmobilizować wszystkie sw siły, aby rozpocząć walkę na śmierć i życie w Niemczech i w Italii". To poczucie, że dynym czynnikiem, na jaki można w owej walce liczyć, jest proletariat, oddala Rossellic coraz bardziej od teoretyków i idealistów politycznych, a zbliża do ludzi czynu. „Do kiej międzynarodówki należy *Giustizia e Liberta?* Do żadnej!" pisał w tym czasie. „ zdziałała Druga międzynarodówka po swym ukonstytuowaniu się w Hamburgu w 19 Stała się wyrazem starej social-demokracji w epoce największej stabilizacji kapitalizr A cóż zdziałali pacyfikatorzy Europy: socjaliści Mac Donald w Anglii, Blum we Fran a Müller w Niemczech?"

Kampania abisyńsko-włoska pogrążyła Rosselliego w jeszcze większy pesymizm. Nie w rzył zrazu w zwycięstwo Mussoliniego, nie przypuszczał, aby faszyzm był już zdolny prowadzenia wojny, aby żołnierz włoski chciał się bić dla sławy tyrana. G. L. zwołała do Paryża wszystkich działaczy ruchu dla obmyślenia środków szybkiej akcji na tere włoskim, a równocześnie obradował kongres socjalistów i komunistów na podstawie zaw tego poprzednio układu, celem ustalenia wspólnej linii postępowania. Rosselli wykorzys ową sposobność i z całym entuzjazmem młodości zwrócił się do komunistów, chcąc ich pr konać o konieczności rozpoczęcia walki na serio z faszyzmem włoskim. Jeżeli komun mogli poświęcić wiele milionów franków na cele kongresu Amsterdam—Pleyel, to j winni — mówił Rosselli — znaleźć środki na ten tak ważny cel. Ale komuniści nie chc wdawać się w akcję, prowadzoną nie według ich zasad. Byli oni za ruchem mas, kt w ten sposób dają dowód swej dojrzałości. Jeżeli jakaś grupa bojowców — twierdzili zajmuje pałac w następstwie masowych rozruchów, to jest to czyn pożyteczny. Jeżeli jedr dzieje się to w momencie ogólnego powstania mas, wówczas czyn taki wywołuje ty przeciwdziałanie reakcji i przyzwyczaja masy do wyczekiwania na własne wyzwolenie pr jednostki. (T. II, str. 133).

Rosselli nie traci jednak nadziei i nie mogąc liczyć na wydatniejszą pomoc lewicy fr cuskiej, udaje się do Londynu, gdzie zastaje wielkie zmiany. Żonaty z Angielką, miał t wielu przyjaciół i ci go rychło pouczyli, że rządowe sfery Anglii będą uważały rewolu we Włoszech za „księżycową fantazję" i że, co gorsza, w świecie politycznym i w pra znajduje się wielu zwolenników faszyzmu i jego agentów. Autor zalicza do nich także z nego nam również z artykułów w *Kurierze Porannym* Poliakoffa, który zajmował wówc ważne stanowisko w redakcji *Timesa* i prowadził bardzo zręczną kampanię na rzecz szyzmu. Straszył on np. angielskie społeczeństwo, na podstawie rzekomo autentycznych ź del, że lotnictwo faszystowskie stało się tak silne, iż może poważnie zagrażać brytyjsk flocie śródziemnomorskiej. (T. II, str. 135).

Doświadczenia londyńskie były dla całego ruchu wolnościowego we Włoszech nader l lesne. Łudzono tam świat fikcją sankcyj, za którą kryła się niemożność energiczniejsze wystąpienia przeciw Mussoliniemu.

W tym samym czasie nastąpiły we Włoszech nowe aresztowania. Dzięki zdradzie zr nego pisarza-pornografa, Pittigrilliego, rozbito niemal zupełnie grupę turyńską, aresztu przeszło dwustu członków organizacji. Nie trwały również długo próby zrzucania ode i druków z pomocą baloników wypuszczanych na granicy Francji i Szwajcarii. Bo i tu zd da, zakończona uwięzieniem czterech głównych wykonawców tej roboty, uniemożliwiła d sze jej prowadzenie. Tryumfalny marsz Badoglia na Addis Abeba i nieoczekiwane zwycięst faszyzmu podkopało jeszcze bardziej ruch oporu. Rosselli pisał wówczas głęboko rozcza wany: „Zaczynamy wierzyć w przewagę faszyzmu, w upadek starego świata, w załama się przywódców Zachodu, w zmierzch ideałów, które okazały się puste i fałszyw (T. II, str. 125).

Rosselli nie upadał wszakże nigdy na duchu. Jego nie ustająca ani na chwilę działaln zaczęła nawet niepokoić potężną *OVRA*, która nasadziła na niego po raz pierwszy zabó niejakiego Zanotta. Przybył on do Paryża rzekomo z Gdyni i prosił o widzenie się z R sellim. Przyparty do muru, zaczął płakać i przyznał się do zamiaru zabicia Rosselliego namową pewnego urzędnika konsulatu włoskiego.

Niebawem po zakończeniu kampanii abisyńskiej wybuchł konflikt hiszpański. Obcho on z bliska emigrację włoską, która zawarła swego czasu z emigracją hiszpańską pakt w jemnej pomocy, podpisany przez Blasco Ibañeza i Edwarda Ortega y Gasset. Rosselli v prawił się nawet do Madrytu, licząc na to, że po ustąpieniu Primo de Rivery, znajd w rządzie republikańskim wydatną pomoc w swej walce z faszyzmem. Ale nawet nie chci mu dać samolotu do zrzucania tajnej literatury! Napisał on wtedy o Hiszpanii: „Jest

.j wspaniały w swej opozycji, mało jednak twórczy w sztuce rządzenia sobą". Teraz zaś, rewolcie Franca, Rosselli zrozumiał, że należy wszelkimi siłami bronić wolności Hiszhii, chociaż premier frontu ludowego Blum odmówił jej czynnej pomocy. Zwołane przez sselliego zebranie wszystkich antyfaszystów w lokalu G. L. w Paryżu nie dało wszakże żądanego wyniku. Przeciw aktywnej interwencji oświadczyli się komuniści i socjaliści, za interwencją anarchiści, maksymaliści, masoni i inne drobne grupy. Rosselli objął od u ich kierownictwo. Hiszpania nie miała amunicji i broni, zaczął tedy jej szukać w Anerpii i w Pradze, pisał kilkakrotnie do Benesza, a do Madrytu wysłał młodego lotnika iana Viezzoli, który zginął śmiercią bohaterską w powietrznej obronie tego miasta.

Podczas gdy armia regularna Franca, wspomagana przez Mussoliniego, robiła coraz więe postępy, Hiszpania republikańska podzielila się na dwa obozy. W Madrycie powołano ızu do rządu gabinet Giral—Prieto, który okazał zupełną bezradność wobec tłumów, rozzonych bezrobociem i nędzą i wykonujących na własną rękę wyroki na winowajców. ıdrytem rządzili później socjaliści-maksymaliści, którzy wywrócili wnet rząd Girala, a na o miejsce powołali socjalistę Caballera, zwolennika współpracy z komunistami. Kazał się chętnie nazywać „hiszpańskim Leninem", chociaż kochał się równocześnie w zewnętrzch formach władzy, przypominających włoskiego *Duce!* Wnet po utworzeniu się gabiu Caballera anarchiści katalońscy ofiarowali swoją pomoc, łagodząc w ten sposób rozwięk, istniejący dotąd między Madrytem a Barceloną.

Po upadku królestwa ruch niepodległościowy Katalonii wybuchł bowiem z nową siłą rwał nadal pod wodzą C. N. T. gdzie wodzili rej Garcia Oliver i Santillan. Zadaniem ivera było wyszkolenie i uzbrojenie milicji ludowej, co zbliżyło go do przedstawiciela vieckiego w Barcelonie Owsiejenki (byłego posła ZSRR w Warszawie w latach 1928—29). Dzięki zabiegom Owsiejenki uzbrojenie milicji katalońskiej zostało też wnet przeowadzone. Przeciwko temu nowemu „kursowi" zaprotestowała w Barcelonie tylko niezna grupa starych anarchistów i to głównie zagranicznych, proletariat zaś miejscowy potał go z radością. Coraz groźniejsza sytuacja Madrytu mogąca zadecydować o losach wojny oniła jednak Katalończyków do zaniechania sporów i pospieszenia z pomocą rządowi Callera. Milicja pomąszerowała na front pod wodzą Durratiego, a Oliver objął jeden z portfeli. sselli i jego zwolennicy pozostali jednak w dalszym ciągu wierni Barcelonie. W Paryżu skutowano nad organizacją oddzielnej brygady włoskiej, a Rosselli pisał z entuzjazmem: atalonia trzyma w swych rękach losy Hiszpanii! W rządach jej biorą udział także anariści. Syndykalizm anarchistyczny, tak bardzo potępiany, wykazał teraz twórcze swoje wary! W Katalonii rodzi się nowa forma demokracji socjalnej, łącząca doświadczenia Rosji dziedzictwem Zachodu. Anarchizm kataloński miał w sobie świeżość i siłę, czasem może prytywną, ale pełną przyszłości. Jego przywódcy to rewolucjoniści, dojrzali na galerach, na ygnaniu, patrzący, jak wszyscy Katalończycy, na życie trzeźwo i praktycznie. Anarchiści atalońscy są bohaterską awangardą rewolucji zachodniej" (T. II, str. 215).

Wróciwszy z Paryża do Barcelony, Rosselli zabrał się od razu do formowania oddziału oskiego. Odtąd codziennie rozbrzmiewał jego głos w radio barcelońskim, rozpoczynający swój el słowami: „*Compagni, frateli Italiani, ascoltate! Oggi in Spania, domani in Italia!* Nie zaponajcie o tym, że każda dyktatura przeminie, a tylko naród pozostanie! Hiszpania jest go klasycznym przykładem. Któż mówi tu jeszcze o Primo de Rivera? Kto będzie jutro ówił o Mussolinim? I tak jak dawniej, kiedy straciliśmy już wszelką nadzieję, wówczas z zaanicy przyszedł dobry przykład i zachęta, tak samo jesteśmy pewni, że teraz z ochotników łoskich w Hiszpanii wyrośnie potężna siła i wybawienie!"

Do Barcelony napływali ochotnicy różnych przekonań politycznych, z których utworzono erwszą kompanię. Składała się ona z maksymalistów i liberałów, demokratów i anarchistów. ario Angeloni, oficer włoski z czasów pierwszej wojny europejskiej, mason, przybył do iszpanii, aby tu okryć się sławą. Kompania liczyła razem 130 ludzi. Angeloni objął dowódzo nad 40 granatnikami. Rosselli zaś nad 90 strzelcami. Komendę nad całością wykonyali oni razem. Oddział ów, którego uzbrojenie natrafiało na wiele trudności, bo trzeba było o karabinów i 130 bagnetów odebrać robotniczym formacjom wojskowym, które tę broń me sobie zdobyły, wyruszył wreszcie na front. Pierwszą jego potyczką było starcie z wojami Franca na wzgórzu Pelato, na drodze wiodącej z Saragossy do Huesca. Ochotnicy ytrzymali natarcie tanków, Angeloni zginął, było ponadto kilku zabitych i rannych, lecz ak nieprzyjacielski został odparty. Epizod ów nie wpłynął naturalnie na ogólny przebieg czącej się bitwy pod Saragossą, wykazał jednak wartość bojową ochotnika włoskiego, o któm zaczęły krążyć legendy, śpiewki, rysunki, będące najlepszym poparciem dla akcji werowniczej Rosselliego. Ale naturalnie, jak wszędzie na świecie, zaczęły działać różne względy

polityczne, obawy, zawiści. Obawiano się wpływów zawsze umiarkowanego Rosselliego ochotników, wybuchły też spory teoretyczne między nim a anarchistą włoskim Camillo Be neri, w rezultacie jedni, chorzy popowracali do domów, inni, szukający szybkiego awan powstępowali do armii hiszpańskiej, tak że włoski oddział ochotniczy niepomiernie zma i Rosselli znalazł się wobec konieczności rozpoczęcia swej pracy od nowa.

Doświadczenia jego pouczyły go, że chcąc zwalczyć faszyzm, mający dla swej obrony d skonale wyszkoloną i uzbrojoną armię, trzeba mu przeciwstawić równie dobrze zaopatrzone i przygotowanego żołnierza. Musi on być zdyscyplinowanym żołnierzem, a nie kapryśny ochotnikiem, który, jak to miało miejsce, groził śmiercią swemu dowódcy, gdy mu się je rozkaz nie spodobał, albo gdy cały oddział *Rojos y Negros* nie chciał w czasie bitwy p Almudevar przyjść z pomocą oddziałowi Ascaso. (T. II, str. 195). Najpewniejszymi w bo okazały się te pułki, w których nie było oddziałów ochotniczych, jak np. słynny „piąty re ment", „brygada międzynarodowa", w szeregach których walczyło wielu Polaków, dywi Mera i Vivancos itd. Natomiast *Carabineros* Negrina, złożeni, z samych wolontariuszy, c wali, jak twierdzi autor, bardzo marne wyniki. Było tam za wielu niefachowych oficeró za wiele swobody w wykonywaniu żołnierskich obowiązków. Rosselli doszedł też wnet przekonania, że chcąc przygotować w Hiszpanii żołnierza do walki z faszyzmem włoski należałoby zaniechać formowania drobnych oddziałków w Katalonii, a zdobyć się na wys wienie regularnej armii.

W pierwszych miesiącach 1937 utworzył się, niezależnie od akcji Rosselliego, tzw. batali Garibaldiego, rekrutowany wśród komunistów włoskich i polskich robotników przebywa cych we Francji i oddał się do dyspozycji rządu madryckiego, zdobywając wnet na fron jak najlepszą opinię. Garybaldczycy — opowiadał później pewien oficer Franca — biją jak czerwone diabły, a w walce na bagnety są nieporównani. Dziwne tylko, że idąc do atal wykrzykują jakieś niezrozumiałe słowa! (nb. byli to zapewne Polacy.)

Należało więc nawiązać z Garybaldczykami kontakt i starać się o ostateczne załatwie sprawy włoskich ochotników katalońskich. Po wyjeździe Rosselliego do Paryża oddzi owe noszące nazwy *Grupy Matteottiego* i *Grupy Aragońskiej* przechodziły różne kol Na czele jednej z nich stanął zastępczo niejaki Brichetti, który okazał się później agent policji faszystowskiej. Po zwycięskiej dla republiki madryckiej bitwie pod Guadalajara zc cydowano przyłączenie się ochotników katalońskich do Garybaldczyków. Anarchiści włos należący do starego pokolenia, nie usłuchali tego wezwania i częściowo wyginęli w krwav bitwie pod Carascal, a częściowo powrócili do Francji. Wojna zbliżała się zresztą do koń Caballero ustąpił miejsca rządowi Negrina. Rosselli, który leczył nabyty na froncie fle w Bagnoles de l'Orne, uchodził za najpoważniejszego kandydata na stanowisko dowód włoskich sił zbrojnych w Hiszpanii. Autorytet jego osobistości, magiczny wpływ jego ar kułów zaczął naprawdę być niebezpieczny dla faszyzmu. Postanowiono go tedy zgład Pułkownik Angioi, zastępca gen. Roatty (b. włoski attaché wojskowy w Warszawie) wy pułk. Santo Emanuele na polecenie ministra hr. Ciano rozkaz unieszkodliwienia Rossellie Szef kontrwywiadu w Turynie, major Navale, zajmujący się głównie szpiegowaniem emigra włoskiej we Francji, wynalazł też wnet ludzi, należących do tajnej organizacji CSAR(?). C to za cenę stu karabinów maszynowych zobowiązali się zabić Rosselliego. Uczynili to na leś drodze w *La chapelle Moche*, gdy Rosselli wraz ze swym bratem Nello wracał z krótk wycieczki automobilowej. Siedmiu ludzi zatrzymało wóz i zasztyletowało obu braci.

Nazwiska uczestników pozostałyby na zawsze nieznane, gdyby nie fanfaronada młodzień jednego z nich, Bouvier, który, służąc potem przy wojsku, przechwalał się, że brał udz w owym morderstwie. Prasa francuska stworzyła na poczekaniu jakiś niewinny pow owego krwawego czynu, nie pomógł też płomienny protest Centralnego Komitetu *Giusti e Liberta* zaczynający się słowami: „Oskarżamy formalnie Benito Mussoliniego, że rozka zbirom faszystowskim zamordować Karola i Nelli Rossellich".

Śmiercią Carlo Rosselli skończył się pierwszy etap owej rozpaczliwej walki, jaką podzien Italia prowadziła z faszyzmem. Tej walki, pełnej heroizmu, wiary w sprawiedliwość dziejo poświęcenia, młodzieńczego entuzjazmu i — naiwności, Rosselli był jednym z głównych pr wódców i uczestników. Za wyzwolenie ojczyzny od faszyzmu oddał wszystko: ambicje n kowe, majątek i życie.

Ale też cała jego, ze strony osobistej niewątpliwie z całym zaparciem prowadzona dz łalność antyfaszystowska, posiada pewień charakterystyczny posmak nieporadności polity nej. Nie będziemy powracać do naiwności włoskich konspiratorów, padających ofiarą p wokacji raz po raz w sposób zgoła dziecinny. Europejski ruch oporu przeciwko Niemc pozwala nieraz z uśmiechem patrzeć na tych konspiratorów. Chodzi o co innego. Ross

go otoczenie, to nieodrodne dzieci mieszczańskiego liberalizmu politycznego. Był on bez- w dopuszczeniu faszyzmu do władzy, niemniej się okazuje naiwny i bezsilny w meto- walki — typowe rewolucje intelektualistów. Bez wojny domowej w Hiszpanii ten ruch, rzez przyjaźnie, małżeństwa i znajomości apelujący poczciwie do radykalnych ministrów cuskich czy byłych labourzystów w Anglii, apelujący — o naiwności! — do ich „dobrej ", bez tej wojny, poczętej z ruchu mas, byłby się zapewne wyczerpał w szlachetnych ach. Był on właściwie poza nurtem prawdziwej walki rewolucyjnej. O niewątpliwej prze- iwości Rosselliego świadczy, że zrozumiał on to w świetle doświadczeń hiszpańskich, że ł rewolucyjny wkład Rosji, ale znów pytanie, o ile wyciągnął z tego konsekwencje, jeśli dzi o jego własne poglądy teoretyczne?

osselli głosił tzw. socjalizm zreformowany, a więc z furtkami ku woli, ku instynktom, ku cjonalizmowi, głosił go jako... antidotum przeciwko faszyzmowi, zapominając, że przecież furtkami wkroczył faszyzm i rozsadził całą budowlę. Nie dowiadujemy się z dzieła Garosci, czy pojął w sferze teorii ten zakapturzony błąd, jak w sferze praktyki, gdzie końcu zrozumiał swoją samotność polityczną. Być może, że nie starczyło mu już czasu, ątanemu w preludium nadchodzącej drugiej wojny światowej, której — widzieliśmy — na- cia był pewien.

ecz jakby nie osądzić tę nieporadność polityczną i jej odpowiednik polityczny, dzieło osci odsłania wielki płat życia politycznego Europy antyfaszystowskiej, ujawnia, że siły ru we Włoszech tliły wciąż, a przez to stanowi cenny przyczynek psychologiczny do zro- ienia postępowania masy włoskiej, masy żołnierskiej w czasie minionej wojny. Doku- tów takich pojawi się na pewno więcej, ten pierwszy jaki do Polski dotarł sygnalizujemy liczności.

A. T. W.

SPRAWOZDANIA

KWITNĄCE KRZYŻE

Wojciech Żukrowski: *Z kraju milczenia.* Opowiadania. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", (Kraków), 1946; str. 280.

Spróbujmy czytać książkę Żukrowskiego z drobnym uchybieniem wyznaczonej kolejności druku, a mianowicie pozostawmy sobie otwierające tom *Przedsłowie* na koniec. Manewr, być może, okaże się niepotrzebny. Ale: wszelkie „wstępy" i „przedmowy" tak często wyręczają czytelnika w interpretacji, tak usłużnie podsuwają gotowe rozwiązania, że warto zabezpieczyć się na wszelki wypadek przed ewentualnymi ułatwieniami, zabezpieczyć się, by zachować samodzielny osąd.

Przejdźmy zatem do właściwej osnowy.

Siedem opowiadań, pomieszczonych w tomie *Z kraju milczenia*, dzieli się tematycznie na dwie części: dwa pierwsze *Przed furtą* i *Lotna* wiążą się z historią walk wrześniowych 1939 r., a pięć pozostałych przedstawia sprawy okupacyjne. W tej drugiej części wyodrębniają się znowu trzy zasadnicze wątki: *Pozdrowienie anielskie* i *Pod śniegiem* ukazują grozę niemieckich represyj w stosunku do ludności polskiej i żydowskiej, *Czysta robota* wzbogaca obraz rzeczywistości wojennej o opis odwetowej kontrakcji „ludzi z lasu", wreszcie *Kantata* i *Przebieg* podejmują tematykę obozową.

Układ opowiadań jest wyznaczony kolejnością czasową: książka „rozpoczyna się" we wrześniu 1939 r., w ostatnich jej zdaniach pobrzmiewają odgłosy bliskiego już frontu wschodniego — październik 1944.

W poszukiwaniu najistotniejszego sensu książki, owej prawdy podstawowej, która podpiera każde wartościowe dzieło a dla jego twórcy stanowi legitymację, bez trudu, i to od pierwszych stronic, dostrzegamy właściwość wszystkich opowiadań najbardziej typową. A raczej — dwie właściwości połączone w akord nierozerwalny, dla wielogłosowej wymowy tomu zasadniczy: ta książka jest s a r m a c k a i równocześnie jest — s z k a p l e r z n a. Aby bliżej określić znaczenie tych nazw, posłużmy się, dla wstępnego uproszczenia, fikcją „w s p ó l n e g o b o h a t e r a". Wspólnego — dla wszystkich opowiadań, mimo że w rzeczywistości każde z nich prezentuje inne postacie.

Otóż ów „syntetyczny" bohater Żukrowskiego jest Sarmatą-dragonem; aby przybliżyć nazwę formacji wojskowej i rodzaj broni ku naszym czasom — powiedzmy kawalerzystą. Ten kawalerzysta nosi szkaplerz. Szkaplerz ukazuje się oczom widza czytelnika tylko wtedy, kiedy na to zezwala autor. Natomiast ostrogi, szabla, gest sarmacko-żołnierski jawią się niezależnie od jego woli. Oczywiście, pod naporem warunków okupacyjnych kawalerzysta nie jeden raz zmieni kostium i charakteryzację, lecz ostroga zabrzęknie i pod księżą sutaną, szablę zastąpi pistolet maszynowy ukryty pod kurtką partyzanta, a gest dragoński pozwoli zidentyfikować ze „wspólnym bohaterem" nie tylko ubranych w obozowe pasiaki uciekinierów, ale i niektóre postaci kobiece (np. Annę w *Pod śniegiem).* Również i druga cecha utożsamiająca dopomaga odszukaniu „bohatera" pod różnymi przebraniami: ów znak pobożny, mniej lub więcej, częściej lub rzadziej widoczny, wystarczająco jednak, by zaznaczyć metafizyczne aluzje w postawie życiowej postaci opowiadań.

Takie połączenie cech sprawia, że podstawowy akord prozy Żukrowskiego na pewno jest trudny. Dla słabego pisarza byłby

wręcz niebezpieczny i nie do utrzymania. Każdej chwili groziłby fałszem i zgrzytem. Trudność to osobliwa: nie dlatego, iżby „pobożny kawalerzysta", jako koncepcja typu, był rewelacją bez precedensu — gdyż, na dobrą sprawę, można by mu wyszukać intenatów choćby u Sienkiewicza (Skrzetuski); rzecz w tym, że „kawaleryjskość" u Żukrowskiego — to nie tylko żołnierska ochota, waleczność, męstwo — lecz przede wszystkim olbrzymia biologiczna urność, zmysłowe ukochanie ziemi i jej praw, bezgraniczne i bezustanne upajanie się słodyczą życia doczesnego. W zestawieniu z tym pogańskim *delirium* znamię zkaplerza zaskakuje zuchwałym i przezornym kontrastem i budzi mimowolny odruch niepokoju o pomyślność zamierzonego, artystycznie trudnego przedsięwzięcia.

Z tej ciężkiej próby wychodzi Żukrowski pewną i obronną ręką. Legitymacja, którą się jego „bohater" posługuje, nie tylko że jest wiarogodna i przekonywująca, ale — co więcej — zjednywa dla niego pozytywny oddźwięk uczuciowy u czytelnika, pozyskuje jego zaufanie i sympatię.

Jeżeli więc prawda książki, zawarta w tak niezwykłej i ryzykownej formule, staje się zwycięsko, jeżeli światopoglądowe i artystyczne „credo" Żukrowskiego zadowala i wystarcza, choć jest wyrażone tylko w prostym schemacie typologicznym jego „bohatera" — warto się zastanowić, ile jest w tym zasługi samego pisarza, a o ile do sukcesu przyczyniły się inne jeszcze okoliczności.

Wydaje mi się, że okoliczności takie istnieją i postaram się przeświadczenie to uzasadnić. Podkreślam na wstępie, że argumentu szukać będę w psychologii uczuć, więc, choć często przyjdzie mi po drodze dotykać zagadnień religijnych, uwagi moje nie przekroczą granicy, poza którą obowiązuje dogmatyczny sens tych zagadnień.

Dla wyjaśnienia sekretu „pobożnego kawalerzysty" posłużę się znowu dwoma umownymi skrótami. Skrót pierwszy zasadza się na najogólniejszym, potocznym pojmowaniu tzw. „natury" człowieka, jako dwostego ustroju „ciała i „duszy". Najbardziej pospolity rezonans uczuciowy, towarzyszący temu rozróżnieniu, mieści w sobie konkurujące zespoły emocjonalne, których treść wyrazi może najzwięźlej określenie zapożyczone u Słowackiego: „dusza anielska w czerepie rubasznym"; konieczne przesunięcie sensu i zastosowania tych słów rozumie się, oczywiście, samo przez się.

Skrót drugi jest pochodnym poprzedniego i charakteryzuje odwieczne rozdarcie człowieka pomiędzy konieczność potrzeb „ciała" i wiecznościowe aspiracje „duszy". Człowiek znalazł się jak gdyby w sferze działania dwóch różnokierunkowych magnesów, dwóch praw przyciągania: ziemskiego i niebieskiego. Mechanizm uczuć ludzkich reaguje bardzo żywo i samorzutnie na wszelkie napomknienia, aluzje, sądy, odnoszące się do tych spraw. „Ciało" szuka usprawiedliwienia, „dusza" — nadziei. Ma się rozumieć, że podchwytuje i aprobuje przede wszystkim takie opinie, które są najwięcej dla „natury" człowieka korzystne. Opinia, która godzi się na „rubaszność" cielesnego „czerepu", jako na fakt wyznaczony koniecznością — rozgrzesza; a gdy jeszcze dodatkowo potwierdzi „anielskość duszy" — „czerep" czuje się zaszczycony i dumny. Cierpkie określenie Słowackiego ma smak inwektywy tylko w kontekście *Grobu Agamemnona*, dzięki strukturze zdania, w którym warunkujące „póki ty... będziesz więziła..." podkreśla niechęć poety dla „czerepu". To samo określenie w izolacji, puszczone w obieg, stanie się komplementem i pochwałą. Właśnie w takiej formie: „dusza anielska w czerepie rubasznym". Na wzajemnym sąsiedztwie zarabia i dusza i czerep. Dusza uszlachetnia, sublimuje formę, w której się mieści, bo anielskość jej tym więcej zadziwia, w im trudniejszych jawi się warunkach. Czerep zaś zyskuje należny procent szacunku, jeśli — widocznie — jest w nim „coś", co usprawiedliwia zażyłość z aniołem. W tym samym schemacie reakcyj uczuciowych zawiera się współczucie czytelnika czy widza kinowego dla „dam kameliowych" i „lilij na bagnisku". Cnota w oprawie grzechu jest cnotą do potęgi, grzech okupiony cnotą bieleje.

In casu Żukrowskiego ciasną ramę „grzechu" i „cnoty" należy poszerzyć na dziedziny „interesu doczesnego" z jednej —, a „interesu wiecznego" z drugiej strony. Sam mechanizm uczuć, wywoływanych tym zestawieniem, pozostaje bez zmiany. Zestawienie kontrastowe jest autorowi „na rękę". Szabla i szkaplerz, podobnie jak dusza i czerep, wygrywają na bliskim sąsiedztwie.

Ale wygrywają nie tylko u Żukrowskiego. Ziemskość w ogóle nadaje smak uczuciom religijnym. Jej obecność tłumaczy pewne bezwiedne sympatie, względnie wzmożony stopień tych sympatyj. Statystyczna częstotliwość tych zjawisk jest na tyle łatwa do zaobserwowania i sprawdzenia, szczególnie wśród ludu wiejskiego i młodzieży, że można się nimi posłużyć jako argumentem. Wspólny ich sekret — to domieszka „ziem-

skości" przydana „sprawom niebieskim"; domieszka, która uintensywnia życzliwość uczuciową odbiorcy, szczególnie przy obrzędowym typie religijności, jaki panuje w Polsce. Wystarczy wspomnieć stajenkę betlejemską: w poświęconych jej pieśniach pastuszkowie-prostaczkowie dość bezceremonialnie zasłaniają żłóbek z Gościem niebieskim.

Niemniej wymowne są przykłady z „hagiografii stosowanej". Żywoty „nawróconych pogan", „nawróconych grzeszników" budzą żywsze zainteresowanie, niż historie „świętych od urodzenia". Mężni, krzepcy, odziani w zbroję, hasający na ognistych rumakach święci częściej bywali upraszani o patronat nad ziemskimi sprawami, aniżeli uczeni i świątobliwi opatowie. Święty Jerzy zabijający smoka, św. Florian gaszący płomienie, św. Hubert na łowach — to, co tu mówić, święci na schwał.

Całe mnóstwo innych przykładów z kultury religijnej, szczególnie średniowiecznej, dowodzi, że wzlatująca w niebiosa dusza chętnie jedno ze swych skrzydeł przygina ku ziemi. Przygina je w apokryfach, legendach, tak skrupulatnie zaszczepiających świętej Rodzinie cechy najzwyklej ludzkie. I takie właśnie, wygięte ku ziemi skrzydło „duszy" — to genealogiczne godło prozy Żukrowskiego. Na pewno nie on pierwszy przeczuł, jakie w tym drzemią możliwości efektów. Myślę, że już poczciwy Rej, uwikłany nieporadnie pomiędzy realizm doczesności a mentorskie nudziarstwo byłby w naszej literaturze pierwszym Żukrowskim, gdyby dysponował odpowiednią sprawnością wysłowienia. Że takie przeczucia miewał np. Sienkiewicz — na to starczy przypomnieć choćby Ursusa z *Quo Vadis:* bardzo się przydał wśród potulnych męczenników ktoś, kto przy całej słodyczy usposobienia umiał bykowi ukręcić łeb. No, a dla wrażenia, jakie wśród młodych czytelników budzi przedśmiertna litania Podbipięty, nie jest obojętny wieniec okalających go nieboszczyków. *Varietas delectat.*

Zastanówmy się teraz, w jakim układzie i w jakich proporcjach występuje „kawaleryjskość" i „szkaplerzność", żeby tak powiedzieć, w książce Żukrowskiego. Cechy te bowiem stanowią paralelne odpowiedniki dla naszkicowanych przeciwstawień „czerepu" i „duszy" — „przyciągania ziemi" i „przyciągania nieba". Czy te cechy w „bohaterze" Żukrowskiego się kłócą i wyłączają? czy ze sobą harmonizują? czy zmuszają do wyboru i uznania supremacji jednej nad drugą?

Otóż — ta sprawa została załatwiona już wcześniej, przed pierwszą stronicą książki. I na pewno nie było przy tym załatwieniu mowy o wyborze, bo nikt nie wybiera sobie barwy oczu ani kształtu nosa. Rzecz jest przesądzona i oczywista od pierwszych zdań książki, że „bohater" Żukrowskiego jest każdą kropką krwi i każdą kością związany z ziemią. Wszystkie opowiadania są namiętną, płomienną pochwałą życia doczesnego. I pochwałą właśnie „czerepu". „Bohater" Żukrowskiego zdaje się wołać każdym słowem książki: „patrzcie na mnie — jam jest czerep wspaniały, czerep doskonały!" Znamię szkaplerza — to cecha wtórna, świadomie przez „bohatera" wypracowana, nie spontaniczna i konieczna, lecz intencjonalna i programowa. Kawaleryjskie wzięcie jest tu sprawą temperamentu, pobożność — sprawą refleksji. Szkaplerz jawi się tylko w pewnych okolicznościach, w sytuacjach, w których „bohater" poczuje z bliska tajemnicze tchnienie wieczności. Wtedy sięga w zanadrze. Bywa to w chwilach niebezpieczeństwa lub poważnej wzniosłości, często na marginesie snów proroczych i przeczuć, których w książce dość dużo. Ale szkaplerz-znamię, jako pobożność *sensu stricto,* jako próba metafizycznej argumentacji, jawi się dopiero *in periculo mortis.* Wcześniej nie przekracza roli i kompetencyj talizmanu, który s o b i e j e s t.

Otóż — owe rzadkie momenty, zmuszające „bohatera" do gruntowniejszego załatwienia się z niebem — utwierdzają nas jeszcze bardziej w przekonaniu o jego bezwzględnej uległości dla „prawa przyciągania ziemi". Dialektyka „wiecznościowa" staje się bowiem próbą przemycenia w a r t o ś c i c z y s t o z i e m s k i c h na t a m t ą s t r o n ę. Biologiczna żywotność „czerepu" wcale a wcale nie myśli zrezygnować z ukochania ziemi i jej spraw na rzecz Wielkiej Niewiadomej. Gdy jednak nie ma już żadnej innej drogi — „bohater" wypracowuje sobie rozpaczliwie „najprzytulniejszą" koncepcję owego tajemniczego „t a m", które mimo nakaz wiary przejmuje lękiem, bo „...czymże jest śmierć, jeśli nie ostateczną samotnością?" W tych staraniach, aby sobie przyszłą o j c z y z n ę zapełnić wyobrażeniami, zmniejszającymi ucisk trwogi, jawią się słowa Łaska, Moc, Miłosierdzie — słowa i wyobrażenia nie pozbawione antropomorficznych aluzyj. Ale to nie wystarcza i nie równoważy soczystego miąższu ziemskich doznań. Wtedy „bohater" Żukrowskiego przypada do Ziemi, jedynej pocieszycielki i poręczycielki:

„Czuł idącą ku niemu ze wszystkich stron świata — miłość. Cierpiał w zachwyceniu.

Przywarł całym ciałem do ziemi, pachniała słabo spod nocnych ros.

„— Widzę cię taką piękną — szeptał — jakbyś już była wspomnieniem...

„O chwilo! O godzino bez nazwy!

. . . . . .

„Nigdy jeszcze ziemia nie mówiła do niego tak prosto, nigdy nie znał jej głębiej. Leżał tak z wargami przytulonymi do chłodnych włosów młodej trawy. Łagodnie szumiały nad nim zboża.

„Serce miał pełne uniesienia i radosną pewność, że dla tej chwili żył. Nieomylną musiała być ręka, która go przez życia wiodła.

„Gdy podniósł głowę, niebo jeszcze się pogłębiło i zbłękitniało. Zdawało mu się, że dokonał ostatecznego wyboru, osiągnął szczyt i reszta będzie tylko spokojnym zstępowaniem ku dopełnieniu. Wiatr mocniej przewiał, fala odurzającego zapachu przewaliła się nad nim. Woń mocna aż dławiła, mąciło mu się w głowie. Woń słodka i chlebna — żyto zakwitło" *(Przebieg)*.

W ziemi szukają postacie opowiadań poręczenia życia, ziemią zasłaniają się od śmierci jak tarczą.

W opowiadaniu zacytułowanym *Czysta robota* jest taka scena: W drodze „na skok" jeden z partyzantów, Maciej, je jabłko; tuż przed rozprawą z Niemcami „wsunął nadgryzione jabłko w kieszeń". Po skończonej pomyślnie potyczce, już w bezpiecznym lesie, „wsadził rękę do kieszeni. Wydobył jabłko. Ugryzione miejsce jeszcze nie pociemniało. Cierpki, rzeźwy sok spływał w wyschnięte gardło". Oto talizman przerzucony ponad przepaścią śmierci: jabłko, które się chowa, które musi się dojeść po bitwie. Taki gest dla religijności „bohatera" książki jest bardziej znamienny, niż sto refleksyj o Bogu, życiu i śmierci. Gest, nieznacznie i mimochodem wpleciony w tok akcji. Podobnych gestów-amuletów i jabłek-symboli jest więcej. — Ten sam Maciej znajduje niespodzianie na chłopskim strychu magazyn jabłek — w trumnach, przygotowanych przezornie przez gospodarza już za życia. Do tych jabłek dobiera się chłopak bez wahania, bo „...przecież to na razie skrzynie, o trochę dziwnej formie. Deski przejdą rozkosznym zapachem — myślał gryząc cętkowaną złotą renetę — przyjemnie byłoby leżeć w tej woni jesiennej, w zapachu słodkich owoców". — Refleksja o krańcowo odmiennym nastroju niż pesymistyczne „robak się lęgnie i w bujnym kwiecie!" — Do tej samej serii symbolów, afirmujących życie należą pszczoły, wyrające z ust zabitego Niemca miód, zrabowany przez niego przed śmiercią i wypity *(Lotna)*.

Ale nie wszędzie i nie zawsze można się było zapachem ziemi czy soczystością owocu obronić przed lękiem. Od czasu do czasu śmierć zaskakiwała znienacka w całej bezwzględnej grozie, brutalnie. Oto refleksja z opowiadania *Przed furtą* po zgonie rotmistrza Sołtana: „To wspaniałe ciało, brunatne i mocne, leży tam w czarnej stodole — nieruchome, we wsi ginącej za kurtyną ulewy. — Ocalony dla wieczności — wzdrygnąłem się, wydawało mi się to, wobec tej bezsensownej śmierci, jakże naiwne i żałosne".

Zicman z *Pod śniegiem* doznaje wstrząsu na widok wozu, wiozącego trupy zamordowanych Żydów. Patrząc na wystające spod łachmanów „szerokie udo w opadającej pończosze... nogę starej Honigowej" „...czuł, że i on mógłby być tam, podrzucany wstrząsami, wieziony chyłkiem pod słomą... ogarnęła go taka trwoga, że wszystkie siły wyciekły z niego jak z rany. Osłabł nagle, zbladł i pokrył się chłodnym potem. Schylił się i bliski zemdlenia skrobnął palcami garść twardego śniegu i czując w ustach jego jałowy smak, uspokajał się powoli". Więc: znowu mobilizacja środków obronnych, czerpanych z ziemi. Znowu tak prosty, lecz znaczący gest.

Czasem śmierć jawi się pełna grozy, lecz równocześnie „antycznego spokoju". Oto obraz zasieczonej serią karabinu maszynowego piątki partyzantów w *Czystej robocie*: „Grudki czarnego błota przylgnęły im do podziurawionych piersi, piach był w otwartych ustach, szarymi plamami przylgnął do czół wspartych o ziemię. Nawet pod na wpół uniesioną powieką było pełno ziaren piasku. To już nie byli oni. Podziurawieni kulami, wyglądali jak kukły, z których wysypuje się ziarnista, jałowa ziemia i kurzawa. Oni już stawali się ziemią, z której powstali i w którą mieli powrócić". „Dokoła chłopi milczą, nad rowem pastuszek, z nozdrzy przeżuwającej krowy tryskają jak z kadzielnicy dwa strumienie miedzianej pary".

Śmierć nie kieruje jednak postaci książki do bierności, rezygnacji, pesymizmu. Wręcz przeciwnie! Każe im szukać — i to nie ucieczki, lecz skutecznej broni, sposobu.

W opowiadaniu *Przebieg* bohater jego, Janek, układając się do snu na miedzy, po ucieczce z obozu, usiłuje się modlić. „Klęcząc na rozmokłej ziemi zaczął „Ojcze Nasz", a myślał gorzko „i tak nas zatłuką". Nagle modlitwa urwała się. Zawrócił, brakło mu następnego słowa, szukał uparcie,

powtarzając". Modlitwy sobie nie przypomniał, lecz zamiast niej — śmieszny wierszyk o czarnym Bobo i misiu, wierszyk, „który go wtedy (tj. podczas przedsennych lęków w dziecięctwie) pocieszał". I „...gdy powtórzył kilka razy ten wierszyk, przyszło na niego ukojenie i zasnął, podkulając kolana..." Okazało się zatem, że działanie talizmanów zasadza się na formie, w jakiej się ich używa, a nie na treści, którą wyrażają. Dla potrzeb uczuciowości, nastroju, emocjonalności wystarcza forma, wystarcza sposób.

Wierszyk o „czarnym Bobo" otwiera perspektywy na „szkaplerzną" problematykę książki Żukrowskiego. Sumę „sposobów", tworzących systemat środków obronno-zaczepnych, zbiór taktycznych wzorców postępowania, zbyt pochopnie chciałoby się nazwać praktykami religijnymi. Gdyż w miarę czytania książki ujawniać się poczyna coraz oczywiściej laickość, świeckość tych praktyk.

*

Potężny witalizm postaci tej książki nie spocznie, nie ustąpi, dopóki niewiadomych i obcych, irracjonalnych spraw spoza „tamtej strony" nie włączy w kategorie ludzkie, nie wprzęgnie w służbę życia. Tragiczna śmierć piątki *(Czysta robota)* niepokoi i dręczy Macieja tak długo, dopóki nie nabierze przekonania, „że z wojny tej, tak jak walczyli gromadą, jeszcze bardziej zespoleni wyjdą, by razem odbudowywać Polskę. Był pewny, że polegli nie odstąpią ich na krok, że będą wywierać na nich niewidzialną presję, dźwigać ich ramiona i czujnie kształtować losy. — Chłopcy, słuchajcie — szeptał do pomordowanych — podprowadźcie nam Baumgardtena pod lufę". Nawet nieboszczkę-staruszkę, przypadkowo w chałupie zastaną, angażują partyzanci do patronowania ich akcji odwetowej.

„Zmarłych obcowanie", wiara w ingerencję dusz, przebija również w *Pozdrowieniu Anielskim.* I tam i tu dojrzałość takiego przeświadczenia przygotowuje sen wizyjny, będący rodzajem natchnionego transu, jasnowidzenia. W *Pozdrowieniu* bohater otrzymuje słowa otuchy od zabitego przez Niemców przyjaciela — drogą seansu spirytystycznego! Zapewnienie życia dodaje mu sił podczas tragicznego apelu-dziesiątkowania (scena — jedna z najpiękniejszych w książce: płomienny wybuch miłości do ziemi — w obliczu śmierci, na tle budzącego się poranku). Organizator seansu, ów posłaniec przyjaciela-Adasia, ginie w dziesiątkowaniu, lecz „zanim salwa przetnie suchym trzaskiem powietrze... — krzyczy ...z nagłą radością: „Pozdrowię od pana Adasia!" — Tak to wiara w swobodne komunikowanie się dwóch światów rozjaśniła biednemu garbusowi-spirytyście najcięższą chwilę.

Praktyczna filozofia sposobów komplikuje się w opowiadaniach, których bohaterami są duchowni: w *Przed furtą* i *Kantacie.* A raczej: nie tyle się komplikuje, ile zaciera się pod liturgiczno-kultowym sztafażem. Cała sprawa przesuwa się na tor wyraźnie zadeklarowanego i oznaczonego wyznania religijnego. Ten wyrazisty adres myli o tyle, że stara się mechanicznie niejako włączyć problematykę opowiadań w krąg religii. Dlatego zaraz na wstępie warto powiedzieć, że nie tylko w tych dwóch opowiadaniach, ale w całej książce jest jedna tylko sytuacja, jedno tylko zachowanie się postaci, którego nie da się świecką moralnością uzasadnić: śmierć ojca Pawła w *Przed furtą,* śmierć poniesiona w konsekwencji ponad laicką miarę pojmowanego obowiązku kapłańskiego. Bo nawet szczytowy akt *Kantaty:* bezgraniczna dobroć księdza Czesława, organizującego śpiew gratulacyjny na dzień urodzin komendanta obozu — oprawcy, — nawet ta „kantata" nie zamyka się w obrębie wyłącznych możliwości chrystianizmu. Pobić diabła lilią próbowali różni ludzie w różnych czasach.

Być może, że Żukrowski zdawał sobie sprawę ze specyficznych trudności, jakie się wyłoniły po przebraniu „bohatera" w habit zakonny lub księżą sutannę, gdyż z większą ostrożnością (a i z większymi oporami) prowadzi rzecz w dwu wymienionych opowiadaniach. O ile bowiem w noweli „świeckiej" szabla mogła pobrzękiwać swobodnie, a szkaplerzem dało się także dowolniej i mniej obowiązująco manewrować, o tyle w aurze kapłaństwa, apostolstwa i świątobliwości musiał, chcąc nie chcąc, zwiększyć rygor, powagę — a przejawom „szkaplerznym" nadać zdecydowany charakter religijny. W rezultacie — będą tu do zanotowania pewne plusy, ale i pewne niedociągnięcia.

Trafna intuicja doradziła autorowi ustawienie postaci w głębszej, aniżeli gdzie indziej perspektywie, na kilku planach formalnej relacji (opowiadania) i na kilku planach stosunku do bohaterów centralnych i do reprezentowanej przez nich problematyki ideowej. Najbliższe sobie stanowisko powierza autor owym „ja", trzymającym ramy obydwóch opowiadań. Nie zamierzam ich utożsamiać z autorem, lecz prowadzenie narracji w pierwszej osobie skłania do szukania *porte-parole* pisarza przede wszystkim w tych „ja", relacjonujących

przebieg akcji bezpośrednio, z najbliższego planu. Ci „ja" (nazwa dwuznaczna i niewygodna, lecz nie umiem zastąpić jej stosowniejszą) odnoszą się do głównych bohaterów na poły z podziwem i uznaniem, na poły krytycznie. Tym sposobem, przez uchylenie się od milczącej identyfikacji z „bohaterem" (co zachodzi przy opowiadaniu w trzeciej osobie lub gdy „ja" jest podmiotem zasadniczej akcji) ustala Żukrowski pewien dystans epicki i zapewnia sobie obiektywność sądu. Dystans pogłębia jeszcze dzięki temu, że pomiędzy „ja" i postaciami głównymi ustawia postacie pośrednie. W *Przed furtą* rolę ubocznych komentatorów grają żołnierze z rotmistrzem Sołtanem na czele, w *Kantacie* o akcji zasadniczej informuje przyjaciel księdza Czesława, również ksiądz, pełniący w opowiadaniu rolę właściwego narratora.

Te „środki ostrożności", przedsięwzięte dla możliwie najpełniejszego zobiektywizowania treści, przynoszą bardzo dobry rezultat w opowiadaniu *Przed furtą*. Apostolski upór ojca Pawła jest równoważony kawaleryjską jurnością Sołtana; postać zakonnika jest wkomponowana dobrze w tło życia żołnierskiego. Ojciec Paweł ginie od kuli opowiadającego „ja" w chwili, gdy bieży ku rannemu Niemcowi, aby mu pomóc, nie bacząc, że odkrywa stanowisko towarzyszy najeżdżającym czołgom nieprzyjacielskim. I może ta kula i szczere wyznanie opowiadacza: „gdyby tam stał mój brat, tobym strzelał" — sprawiają, że *Przed furtą* tchnie pełnią prawdy i żołnierskiej i kapłańskiej. W tym opowiadaniu, w którym „ja" doprowadza swą solidarność z racją metafizyczną tylko do pewnej granicy ludzkich możliwości, czyn ojca Pawła, poza tę granicę wykraczający, zdaje się wzbijać ponad sferę „przyciągania ziemi". Dlatego *Przed furtą* jest najbardziej udaną próbą artystycznej peryfrazy chrystianizmu.

Nieco inaczej przedstawia się sprawa w *Kantacie*. Żywię podejrzenie, że całe opowiadanie zostało stworzone dla *pointy* kulminacyjnej, dla owej kantaty ufodzinowej. Pomysł ciekawy, lecz wymagający obszernego komentarza wstępnego, uprawdopodobnienia psychologicznego. Kantatowy epizod, będący kwintesencją serafickiej dobroci, sprawił, że trzeba było wszystko napisać „pod świętość". Ksiądz Czesław musiał być kanonizowany o wiele wcześniej, zanim by jego całkiem ryzykowna kantata zdołała zgorszyć nie dość ewangelicznie nastrojonego czytelnika. Te zabiegi przygotowawcze rozszerzyły nadmiernie pierwszą część opowiadania, co kompozycji nie wyszło na dobre. Poza tym — dramatyczność akcji, fabuły, musiała ustąpić na dalszy plan przed konstruowaniem postaci. *Kantata* jest przeto interesująca w dwojaki sposób: autorowi udało się stworzyć niełatwy do uprawdopodobnienia typ świętego, a akcja nić na tym nie utraciła.

Spróbujmy najpierw określić rodzaj świętości, zaprezentowanej w osobie księdza Czesława. Czy — i ile mieści się ona w ustalonych już wcześniej strukturach typologicznych, właściwych „wspólnemu bohaterowi" książki? — Owszem, mieści się. Świętość księdza Czesława — to przede wszystkim świętość praktyczna. To nie uprawianie cnót kontemplacyjnych, lecz doraźna gotowość śpieszenia z pomocą i wsparciem, czułość na rytm potocznych zdarzeń, umiejętna, bo „konkretna" i owocująca czynem miłość bliźniego. Ksiądz Czesław nie forsuje filozofii chrześcijańskiej drogą dysput, wnikliwych dialogów i roztrząsań; po prostu spełnia to, co uważa za swój obowiązek: podtrzymuje na duchu, krzepi, pociesza. Czyni to z ujmującą prostotą i skromnością.

Jest świadectwem taktu psychologicznego autora, że właśnie tak rozwiązał problem świętego — w obozie. Bo święty w obozie dbający tylko o własną duszę, być może Bogu nie jest obojętny, ale nam ludziom byłby obojętny. Świętość ks. Czesława dokonuje się przeto w normalny, ludzki sposób i takich świętych zna dzisiejsze piśmiennictwo (por. *Apel* Andrzejewskiego).

Jeżeli podtrzymuję zdanie, że znamię szkaplerza w *Kantacie* tak samo po laicku wygląda, jak w innych opowiadaniach, to dlatego, że katolicki charakter praktyk księdza Czesława wypływa niejako mechanicznie z jego „zawodu" kapłańskiego. Ale — jak powiedziałem już — moralna wartość jego postępowania jest możliwą do udźwignięcia w każdym czułym na ludzką niedolę sumieniu.

Istnieją więc względy, dla których może byłoby lepiej, gdyby bohaterem *Kantaty* był człowiek świecki. Gdyż, na skutek kapłańskiego stanu księdza Czesława, w opowiadaniu jawią się akcesoria, gesty i praktyki, z kapłaństwem związane, nieco ponad miarę. „Zawodowy" słownik księży wprowadza do utworu nieobecny gdzie indziej ton dewocyjny i — mimo sztafaż obozowy — specyficzny zapach zakrystii. Szkoda, gdyż na pewno nie leżało to w intencji autora, aby na ideologii, której swą świetną książką świadczy, położył się niebezpieczny cień tego czegoś, co by można nazwać „rutyną duszpasterską".

Ale, z drugiej strony, jest to zrozumiałe, że talizmany „nadgryzionego jabłka“ czy piosenki o misiu musiały zostać wymienione w *Kantacie* na talizmany praktyk religijnych. Następstwem formalnym — owa „fachowość“ języka: „Czesław spędzał z nim każdą wolną chwilę, podtrzymując go i krzepiąc...“; „...zaczął opowiadać o różańcu odmawianym po apelach, o jakimś medaliku z Matką Boską, który od założenia obozu wisiał na skale, przyprawiając ich za każdym przemarszem o wzruszenie pełne otuchy...“; „...z jaką radością opowiadał o tym akademiku, który przyczołgał się do niego nocą i ukrywszy się pod kocem, odbył spowiedź na intencję pocieszenia swej matki...“.

W tym punkcie rozważań — znowu pochwała dla artystycznej intuicji Żukrowskiego: jej dowód w tym, że opowiadaczem uczynił właściwie księdza, w którego ustach takie „fachowe“ zwroty są najbardziej — jak to mówią — „na miejscu“.

Ale... zaraz za pochwałą trzeba stwierdzić coś, co ją osłabi. Autor nie umie utrzymać się na wyznaczonym sobie stanowisku biernego słuchacza i styl, chciałoby się rzec, zawodowo-religijnej narracji przetyka obficie typowymi dla własnego stylu wstawkami, soczyście realistycznymi, zbyt naturalistycznymi nieraz. Nasyca to ciąg narracji pełnią prawdy życiowej. Niemniej jednak w ustach duchownego brzmią te soczystości często dość dziwnie, nawet gdyby przyjąć jego zażyłość ze słuchaczem. I w tej niepowściągliwości, pełnej żywiołowego temperamentu, daje znowu o sobie znać kawalerzysta, ukrywany skrzętnie za kulisami wieloplanowej stylizacji formalnej.

I znowu zbliżamy się do podstawowego nurtu książki. Tym bardziej, że „metafizyczna racja“ *Kantaty* okazuje się tą samą, co w całej książce, racją żyjącego człowieka, racją życia, któremu służą wszystkie postacie opowiadań. Służą nawet wtedy, kiedy się dobrowolnie poświęcają, kiedy się narażają na niebezpieczeństwa, kiedy dają życie w ofierze i umierają. Umierają za ziemię, którą ponad wszystko ukochali i za ludzi żywych. Własną śmiercią przyświadczają życiu. Na tej prawdzie opiera się „religia“ książki, w niej zamyka się i dopełnia patos ofiary. Dlatego wierność Janka *(Przebieg)* dla rannego towarzysza nie wymaga irracjonalnych komentarzy. Tym bardziej szlachetna pomoc uczciwej, prostej Anny udzielona szczutemu Żydowi *(Pod śniegiem)*. Obejdzie się również bez wszelkich takich komentarzy ofiara dziedzica Sierakowskiego, który przy dziesiątkowaniu dobrowolnie „zastąpił“ w śmierci swego sąsiada w szeregu, ojca nieletniej dziewczynki *(Pozdrowienie Anielskie)*. Wspólną ich wiarą jest życie. Naprawdziwszym wyznaniem tej wiary jest zakończenie *Pozdrowienia:* ocaleni od śmierci bracia wymieniają pocałunek ustami, „na których jest krew i ziemia“.

Ale i to nie wszystko. Pełnię prawdy o życiu dobywa Żukrowski, gdy przedstawia także jej negatyw. I nie byłaby ta książka tak prawdomówna, jak jest, gdyby zabrakło w niej kart, na których znajdziemy i tę drugą, mniej świetną stronę człowieczeństwa: trwogę, słabość, upadek. Opowiada nam więc autor o ludzkiej samotności w obliczu śmierci (Zicman), o samolubnym lęku ludzi względnie-bezpiecznych przed odpowiedzialnością za pomoc udzieloną prześladowanym i skazanym (Zicman — a rodzina lekarza, wieśniacy w *Przebiegu* i *Czystej robocie)*, wreszcie — o egoistycznych motywach czynów skądinąd szlachetnych i ofiarnych. Janek z *Przebiegu* rozumie, że „być potrzebnym — to znaczy żyć“, ale są chwile, kiedy więcej mu chodzi o osobistą doskonałość, o własny duchowy „wygląd“, niż o towarzysza, którym się opiekuje, a który w owych chwilach służy mu jak gdyby za pomocnicze narzędzie w dążeniu samowychowawczym. Gdy ich rozłączył przypadek, Janek boi się posądzenia o zdradę: „co on sobie o mnie pomyśli, jeżeli go złapali?“ Charakterystyczna jest forma tej refleksji, w której sprawa zasadnicza wyraża się w zdaniu podrzędnym, podporządkowana trosce o własny korzystny „wygląd“ moralny.

Dowodem sprawiedliwości, wymierzonej przez autora rzeczywistości ludzkiej, jest postać trzeciego uciekiniera w *Przebiegu*, Stefana. Typ zdecydowanie ujemny, w którym nie znajdziesz nic więcej poza egoizmem brutalnym i odpychającym. W szerokim wachlarzu postaci, o różnym stopniu nachylenia ku ziemi, Stefan przedstawia najskrajniejszy przykład przyziemności dosłownej, bez krzty sublimacyjnego uszlachetnienia. Wątek Stefana jest swoiście wkomponowany w opowiadanie: wystercza z niego boczną odnogą, niedopasowaną do całości i jak gdyby ułamaną w połowie. Być może, iż poprzez ten chwyt formalny wyraził autor swą wewnętrzną dezaprobatę dla antypatycznej figury handlarza i dziwkarza. Nakaz epickiej „bezstronności“ wypełnił rzetelnie, doprowadził tego syna Judasza do pewnej wymaganej dla narracji

granicy, ale ani krok dalej. Tym sposobem uchylił się w stosunku do tej jedynej w książce postaci od moralnej z nią solidarności i odpowiedzialności — zdając się mówić: „idź sobie precz, nie mam z tobą nic wspólnego".

*

Uwagi dotychczasowe dotyczyły głównie ideowo-etycznego i psychologicznego wyglądu książki. Cała olbrzymia „reszta" — to wspaniała rewia uroków życia doczesnego i uroków ziemi. Wydobycie i uplastycznienie tych czarów byłoby już tylko kwestią formy Żukrowskiego, gdyby nie to, że poprzez formę wyraża się ze szczególną mocą podkreślona we wstępie sarmackość „wspólnego bohatera" książki. — Tom Żukrowskiego nasuwa przeróżne paralele kulturalno-historyczne, lecz jeśli idzie o sarmackość — to przychodzi na myśl przede wszystkim nasz polski wiek XVII, wiek żarliwości religijnej (ze specyficznym odcieniem „praktykanctwa"), wiek *Pamiętników* Paska, wiek bohaterów *Trylogii*. Jest w tej sarmackości szeroka fantazja, kawalerska ochota i junactwo, głód życia i użycia, wytrawne smakoszostwo, niefrasobliwy optymizm i — konserwatyzm. Konserwatyzm — gdyż filozofia życiowa „bohatera" poprzestaje przeważnie na emocjonaliźmie, na impulsach uczuć, bez twórczego trudu intelektu, — a postawa wobec życia jest w większej mierze odziedziczona i przejęta, jak wypracowana.

Świat Żukrowskiego — to świat bogaty i szczodry. Soczysty i smakowity. Pełen światła, barw, zapachów, dźwięków. — Pola szerokie szumią zbożami; sady uginają się pod ciężarem owoców, słodki, gęsty sok sączy się z dojrzałych jabłek, gruszek, śliw; pszczoły gromadzą miód. Po takiej ziemi, słodyczą płynącej, harcują rycerze na pysznych koniach; w przelocie zrywają owoce z nawisłych nad białymi drogami gałęzi. W opłotkach czeka dziewczyna na gorącą, krótką pieszczotę. Hej, dziewczyno — i dalej — bo wojenka, wojenka. Pocałunek, bukiecik kwiatów, potem szaleńcza batalia — a wieczór niebo wyiskrzone od gwiazd, oczy ku górze wzniesione, westchnienie i modlitwa.

Gdyby nie wojna — byłaby to ziemia ze „złotego wieku" ludzkości, tak mocna jest mitologizująca i legendowa sugestia książki *(Lotna!)*. Gdyby w tej wojnie nie czołgi i karabiny maszynowe — byłaby to jakaś dawna romantyczna wojna, taka, w której słychać brzęk szabel Skrzetuskich i Wołodyjowskich — o ile nie dawniejsza. To — wrażenie syntetyczne, ogólne. Analiza szczegółowa wykazuje, że mitologizująca sugestia jest wynikiem niesłychanej intensywności światła i barwy — intensywności, która w pewnym sensie aż odrealnia świat, czyniąc zeń kolorową baśń. Godną podziwu jest niezwykła chłonność zmysłowa i obserwacyjna autora i zdolność zapamiętywania najdrobniejszych odcieni wrażeń. Chociaż: „zapamiętywania" — to właśnie źle powiedziane. Gdyż obserwacje Żukrowskiego nie wyglądają na wydobyte z magazynu pamięci, a więc zawszeć tam nieco zleżałe i przywiędłe. Trudno sobie wyobrazić autora piszącego swą książkę przy zwyczajnym biurku, w zwyczajnym pokoju. Gdy roztacza przed czytelnikiem przepych wrażeń w ich kształtach najzwiewniejszych, najbardziej przelotnych: z zapylonych dróg, z sadów, pól, lasów, kamieniołomów — musi się pomyśleć, że te opowiadania zostały napisane chyba na kartkach notatnika, na gorąco, — w rowie, na miedzy, pod leśną sosną, — z kamieniem lub skibą ziemi zamiast stołu. Sekret wyjaśnia może — wyobraźnia ejdetyczna.

Na podstawie wynotowanych, bardziej uderzających zdań „wrażeniowych" uzyskałem pewne obiektywne dane co do „repartycji zmysłowej", przewagi tych lub innych wrażeń zmysłowych u Żukrowskiego.

Okazuje się, że najbardziej jest autor uczulony na światło i wrażenia świetlne zdecydowanie przeważają.

„...brzezina świecąca... jasnymi pniami na skraju lasów..."; w nagrzanym drgającym powietrzu „dymił kurz złotawy i grzywiasty"; „białe kamienie murku krzyczały w blasku"; „woda w słońcu miała kolor bursztynu"; „ze skorupek rozłamanego jajka cienkie nitki białka, grające w płomieniu..."; „górą rzadkie sosny świeciły, jak łagodne, strzeliste płomienie"; (po drzemce podczas upału): „zielone, pawie blaski topniały powoli w źrenicach"; „gdy bagnet zaczepiał o gwiazdę, tryskały pęki iskier"; „chwiejny jeszcze, rozpylony, srebrnawy brzask dobywał koronkowe, jakby węglem zarysowane konary akacji"; „iskrzy się okolica przycukrowana świeżym śnieżkiem... przez niebo ciągną się pasma nawet nie obłoków, ale lotnych szronów"; (kolumna robocza wracająca o zachodzie, śpiewa): „zachód pogłębia cienie, śliską czerwienią błyska w otwartych ustach"; (rower w niskim słońcu): „obracające się szprychy prószą iskrami"; (zapałka w ciemnej sieni): „puszyste czerwone światło drążyło grotę w grubej ciemności"; „deszcz jeszcze szył z ukosa długimi szklanymi strzałami, które w nadlatującym słońcu zapalały się tęczo-

wo"; „krople potu występują na skórze jak rtęć i zajarzywszy się ściekają zygzakiem. Kilka drży migocąc na piórkach włosów otaczających sutki". Przykłady można by naturalnie pomnożyć wielokrotnie.

Równie silnie przemawia do oczu pisarza barwa, kształt, kształt w ruchu:

(konno przez pole, rankiem:) „...ciemna smuga w łubinie, szlak zgaszonej rosy..."; „z dachu, z papy kapało i narastała młodziutka frędzla delikatnych sopli"; (dym pociągu w śnieżnym pejzażu:) „ogromne kłęby przybrudzonej dymami pary przewalają się po młodziznach, długo trzymają się w iglastych gałązkach — potem ulatują kładąc cienie na błyszczące pola"; (zaciek deszczowy popod drzwiami wagonu:) „woda okryta błonką kurzu, jak nieufne stworzonko rozwijała się wężowym ruchem na deskach kołysanych wstrząsami podłogi"; (powódź w wiejskiej piwnicy-spiżarni:) „garnczki zalało całkiem, ale mleko bielało pod spodem, tylko śmietana, co się na wierzchu ustała, pływała, jak okrągłe grzyby"; (jesień:) „las sosnowy, wycięty równo w połowie wzgórza, odsłaniał coraz dalsze horyzonty lekko pofałdowanych pól, ciemniejących od podorywek, to zapalających się wąskimi językami jeszcze nie sprzewracanej ścierni. W powietrzu snuły się wątłe dymy ognisk wygaszonych na łąkach".

Równie ważną rolę grają smaki i zapachy; — dalej: wrażenia dotykowe, ustrojowe, fizjologiczne, o różnym uczuciowym rezonansie; często nasycają bujną erotykę książki, czasem z naturalistyczną bezwzględnością podkreślają stany głodu, dolegliwości fizyczne itp. — Parę przykładów:

„...Zicman czuje zleżały zapach ornatu nachylającego się nad nim księdza. Jest to woń wilgoci, uderza... jakby ferment, niejasne przeczucie przesilenia się długotrwałych mrozów..."; „krople potu ściekały po twarzach, łaskocząc jak przebiegające owady"; „żołądek sam się pożerał cisnąc jak kamień... [Janek] widział przez papier dokładnie przypalone, chrupiące skórki chleba. O, zapach, woń kwaskowa ciemniejszej, zakalcowatej warstewki"!

Najmniej może spotykamy wrażeń słuchowych — te bywają raczej umowne, choć i wśród nich znaleźć można niejedną odkrywczą i ciekawą obserwację:

„...poszept łusek akacjowych..."; „świerszcze na złość sypały mu w uszy ostre igiełki. Zdawało mu się, że przez zboże zbliża się tyraliera szczękająca rynsztunkiem"; „czasami zakołysały się szczyty wysokich sosen, syknęło igliwie na ulotkach tegorocznej, łuszczącej się kory...".

Nieraz cały zespół wrażeń splata się w obraz, pełen realistycznej prawdy. Praca zimą w kamieniołomach: „Kamienie przymarzały. Kurtki kazano nam zdejmować, bo gdy z koszul dymiło, uznawali, że pracujemy wydajnie. Rękawice, stylisko młota, kurtka złożona pod skałą — porastały puchem, nasiąkały wilgocią, a co było wilgotne sztywniało jak blacha i paliło chłodem".

Już tylko na podstawie podanych cytacyj można sformułować pewne stwierdzenia co do rodzaju stylu i języka Żukrowskiego. Żukrowski nie hołduje „sposobom" nowatorskim. Język jego jest prosty, krzepki, jędrny, — a styl wypowiedzi wolny od wymyślnych arabesek. Można rzec nawet, iż konserwatywny — w tym sensie, w jakim wiecznie konserwatyzm obowiązywać musi; gdy chodzi o podstawową funkcję słowa: komunikatywność. Zdania podają swą treść wprost; wyrażają przedmioty niejako „same w sobie", bez peryfraz porównawczych, podając w ich opisie to tylko, co one w sobie jako własne swe cechy mieszczą. Stąd opisy i obrazy Żukrowskiego są tak jasne, tak wyraźnie obrysowane a przejrzyste, tak jakoś „swoje własne", nie zamącone nadmiarem skojarzeń ani aluzyj. Jeżeli Żukrowski posłuży się porównaniem — to takim, które nie zburzy oczywistych stosunków między rzeczami: „...przychylony księżyc, jak łódka dźwignięta bałwanem, osrebrzał kłębiastą chmurę..."; „...uśmiech... trwał taki na wpół ujawniony, ledwie zarysowany, jak igranie małych, srebrzystych rybek, które nie zamąci wygładzonej powierzchni stawu...". Metafora bywa tak „oczywista" (choć nie banalna!) że umysł czytelnika szybciej się na nią zgodzi, nim zdąży dostrzec jej świeżość (frędzla młodziutkich sopli"...). Zresztą Żukrowski rzadko używa tropów. Zdania jego książki, wyizolowane, wydają się aż za „łatwe", za „zwyczajne". Ale umieszczone w sąsiedztwie innych — nasycają kontekst blaskiem i soczystością, przemawiają taką pełnią prawdy, taką pełnią równoczesnego widzenia wszystkich stron rzeczywistości, jak u nikogo z jego rówieśników, a i na pewno u niewielu pisarzy polskich.

W tym bowiem sensie książka Żukrowskiego jest debiutem, który ze wszystkich debiutów powojennych najwięcej zapowiada i już najwięcej realizuje. Ten rozmiar widzenia świata rzeczywistego, rozmiar, którego granice wydają się jeszcze dalekie do osiągnięcia, jest właściwością typowego epika. Tom omawiany przynosi bogactwo arty-

styczne, w którym jest z czego wybierać, bogactwo świeże i oczywiste.

Nie jak stanowi bowiem główną ambicję autora, lecz co. Wyznam dla spokoju sumienia, że przed książką Żukrowskiego żywiłem sporo nieufności dla tego typu „treściowego" realizmu. Nieufność rozwiała się przy lekturze *Z kraju milczenia*. Tym bardziej, że — co nie trudno stwierdzić — prostota i oszczędność Żukrowskiego, jego formalistyczno-konstruktywna zachowawczość jest wynikiem wyboru. Gdy autor chce, to umie pokazać, na co go stać. Przykład. Taka sytuacja: pokój trochę mroczny od nawisłych za szybami gałęzi; człowiek siedzący pod światło okna; i takie zdanie: „Ksiądz patrzy w okno. W piwnych oczach ma pełno liści". — Trudno o celniejszy i bardziej „konstruktywny" skrót całego zespołu wrażeniowo-opisowego.

Aby zakończyć uwagi, właściwej osnowie książki poświęcone, godzi się jeszcze podnieść jeden formalno-treściowy moment, pozostający w pewnym związku z cechą „sarmackości": polskość krajobrazu. Te łubinowe pola, kartofliska, oraniny i ściernie, piaszczyste drogi, wioski przycupnięte wśród niskich sadów, zagajniki sosnowe przetykane po brzegach brzeziną — zlewają się w jedno wielkie przeżycie swojszczyzny, w jakiś syntetyczny pejzaż wiejsko-polski. Ukochanie ziemi zyskuje w tym konkretną określoność i przynależność: ukochanie ziemi ojczystej.

*

Teraz przeczytajmy *Przedsłowie*.

Przeczytajmy — i lepiej może nie rozmieniajmy na drobne żarliwego, burzliwego patosu tej dedykacji. *Przedsłowie* (pisane w latach wojny) potwierdza nasze spodziewania i stwierdzenia. W tej dedykacji-modlitwie poświęca pisarz swą książkę towarzyszom walk, Matce-Ziemi i „pełnej zmartwychwstania" przyszłości. Jest w niej gorące pragnienie, by krwawy, bohaterski trud Bezimiennych uchronić przed niepamięcią, przekazać i w wiecznie żywym kształcie utrwalić. To pragnienie zostaje spełnione. Słowa dobyte z kraju milczenia obsypują żołnierskie mogiłki niewiędnącą zielenią i spowijają drewniane krzyże krasą czarodziejskich, bo wiecznie żywych kwiatów.

Książka *Z kraju milczenia* jest piękna.

Tym najprostszym słowem pragnę zakończyć garść uwag o niej.

Jeśli obowiązkiem społeczeństwa jest dawać świadectwo, że dostarczane przez artystę piękno jego dzieła nie pada w próżnię, i jeśli te uwagi mogą się liczyć jako cząstka zobowiązania powszechnego — to cząstkę moją oddaję z radością i głęboką satysfakcją.

Wilhelm Mach

ŚWIAT W SZKLANYM KLOSZU

JERZY ZAWIEYSKI: *Droga do domu*. Powieść. Wydawnictwo E. Kuthana, Warszawa [1946], str. 320.

Gdyby przyszło wydobyć w skrócie najistotniejszą cechę świeżo wydanej powieści Jerzego Zawieyskiego — to będzie nią chyba jej nienowoczesność. *Droga do domu* jest dziełem nienowoczesnym nie tyle, jeżeli chodzi o jej tło historyczne (akcja toczy się współcześnie, ściślej mówiąc, podczas wojny i okupacji), ani jeżeli chodzi o jej problematykę, która jest bodaj że wieczna. Najogólniej biorąc: sprawa znalezienia osobniczego i powszechnego celu życia, tej „drogi do domu", jak to określa autor. Nienowoczesność zawarta jest raczej w atmosferze dzieła, w jego klimacie duchowym, w samej strukturze i sposobie budowy przedstawianego świata.

Świat Zawieyskiego w tej powieści stanowi rzeczywistość zamkniętą, w której wszystko decydujące odbywa się w strefie psychicznej, na dnie, popod warstwą zjawisk zewnętrznych, nie przebijając jej i nie wprawiając w ruch. Można by go określić jako świat w szklanym kloszu, wewnątrz którego odbywa się drganie i — niekiedy nawet ożywiony — ruch zamkniętych tam drobnoustrojów, atoli sama kulista powierzchnia jest martwa i nieruchoma. Jest to świat średniowiecza, później jeszcze Pascala i jansenistów, świat reformatorów religijnych, ascetów i anachoretów, w którym tempo duchowych perypetyj żywsze jest niż tempo życia zewnętrznego. Dzisiaj (a odnosi się to także do najbliższego nam „wczoraj") potężny rozwój materialnej cywilizacji spowodował ogromne uintensywnienie życia w jego warstwie powierzchniowej. W gwałtownym pośpiechu czysto technicznych przeobrażeń i przechodzących wskutek tego szybko jedna w drugą coraz to nowych form życia — tempo duchowych proce-

sów słabnie. Nie ma się po prostu czasu zająć tym, co się dzieje wewnątrz. Świat nieograniczony, niezamknięty, ustawicznie zmienny, ustawicznie w działaniu, zagłusza intymne funkcjonowanie myśli. Nie wartościujemy w tej chwili tego zjawiska jako czegoś w rozwoju życia ujemnego względnie dodatniego. Stwierdzamy je tylko.

Dlatego to nowoczesna proza i powieść ma za swój przedmiot raczej obraz życia zewnętrznego, historię form społecznych, obyczajowych i wszystkich ich przemian, odbitych w relacjach wydarzeniowych. Także i problemy psychologiczne pozostają w — takich lub innych — związkach z obiektywną i fizykalną rzeczywistością. Nie waham się tu zaliczyć nawet Prousta i Joyce'a, których świat — mimo skurczenia się jego wymiarów realnych na rzecz upiornie rozrosłej rzeczywistości cieni — jest, niezależnie od intencji autorów, ściśle wyznaczony społecznie i historycznie. U Prousta jest to świat paryskiej arystokracji w drugiej połowie XIX wieku, u Joyce'a świat dublińskiego mieszczaństwa z pierwszych dziesiątków XX-go. (Nie wchodzimy w tej chwili w niewątpliwie także istniejące rozleglejsze perspektywy). Dzisiaj ta nowoczesna powieść — w związku z ogólnymi przeobrażeniami społecznymi — ulega dalszym przekształceniom, ale znajdują się one na razie w stanie fermentu.

W tym świetle zrozumiałe się staje, że powstanie nowoczesnej powieści przypada na okres tworzenia się nowej, kapitalistycznej formy ustrojowej i gospodarczej, na dobę rozwoju industrializmu, cywilizacji technicznej i maszynowej. Tu, naturalnie, paść musi nieuchronne nazwisko: Balzac. Stoi on, co prawda, dopiero u kolebki tego okresu historycznego, dlatego też i jego powieść jest już w stosunku do dzisiejszych wymagań technicznych staroświecka, ale są w niej już w zawiązku te wszystkie elementy, z których później rozwinie się wszechwładnie dziś panujący gatunek literacki. Inaczej z powieścią XVIII wieku. Jest to okres rozwoju takich form prozy jak wyznania, pamiętniki, listy, najbardziej odpowiednich dla wyrażenia jednostkowych procesów psychicznych, choćby wyizolowanych sztucznie z procesów powszechnych.

Otóż powieść Zawieyskiego posiada właśnie podobny charakter. Już jej konstrukcja nawiązuje do tradycyj Samuela Richardsona, genialnego maniaka Jana Jakuba czy nieśmiertelnego *Werthera*. Jest ona pisana w formie pamiętnika, uzupełnionego i komentowanego kilkoma listami. Treścią jej jest proces dojrzewania osobowości bohatera Pawła, an liza jego walk wewnętrznych w drodze c znalezienia istoty i celu życia. Etapami t drogi są zetknięcia się z rozmaitego typ postawami duchowymi, reprezentującym różne systemy — niekoniecznie świadomej - filozofii życiowej. Są to oddany swej prac naukowej Adam, poszukujący rozpaczliw Boga Krzysztof, trzeźwo i po mieszczańsk organizujący swą zdrową codzienność Bol dan, „człowiek społeczny" doktor Bardy gotów zawsze skromnie i po prostu do p mocy cierpiącej jednostce czy wreszcie T resa, uczona kobieta-archeolog, oddana w c łości „służbie". I raczej — jak relacjonu o niej Paweł — „służbie człowiekowi i życ w ogóle — niż jedynie nauce. U podstaw t służby był heroizm trwania, walka z kostni niem i umieraniem, triumf życia i jego ci głości, życia, które w pojmowaniu Teresy je najwyższym dobrem". Do tego dochodzą j szcze ogniska pomniejszych możliwości ja np. pan Ryszard ze swym naiwnym ale ni spokojnym umiłowaniem życia. Ale pona tym wszystkim góruje nieznany Pawło i tylko z przypadkowych okruchów wiad mości formowany obraz jego ojca, w który odnajduje on ogniwo wiecznie odradzające się łańcucha pokoleń i nieśmiertelności życ i który — wraz z Teresą — staje się fund mentem jego własnej filozofii względnie dr gi do niej. A jest nią, zdaje się (jak możen się z trudem dorozumieć i to dopiero z fak i z rodzaju śmierci Pawła, o której wiad mość znajdujemy w końcowym liście Adan do Bohdana) — „służba człowiekowi".

Jest w tym wszystkim jakieś nieporoz mienie. Niewątpliwie, chodzi o rzeczy na większe i najważniejsze. Niewątpliwie, ar bicje filozoficzne i pisarskie autora i aut analityczne dociekania Pawła są szlachet i uczciwe. Niewątpliwie wreszcie rezult końcowy tej karkołomnej „drogi do domu prowadzącej samymi niebotycznymi szcz tami, skąd w każdej chwili grozi katastr falny upadek, jak to się zdarzyło nieszcz śliwemu Krzysztofowi, jest godny szacunk i uznania. Ale wszystko to jest w akir podstawowym sensie nierzeczywiste, fikcy ne, umowne. Znajdujemy się niejako w cz stym, kartezjańskim bycie, oderwanym c wszelkich dotychczasowych doświadczeń er pirycznej rzeczywistości i rozpoczynający egzystencję od nowa, od samego siebie. Je to, jak już zaznaczyliśmy, świat w szklany kloszu, w którego wnętrzu wykonywane z stają ożywione ruchy, nieraz tragiczne, ni raz nawet wzniosłe i bohaterskie, ale które - obserwowane z zewnątrz — wydają się p prostu niepotrzebne.

Wrażenie to wywołuje ich bezcelowość, bezpłodność w atmosferze klosza. Znajdujemy się niby w jakiejś ponadczasowej a raczej bezczasowej atmosferze, cofnięci w na pół mistyczne i klasztorne mroki, gdzie wszystkie mosty prowadzące do normalnego, prostego świata są zerwane. Prawda, jest cały szereg realiów, które uwspółcześniają i unowocześniają sprawę. Jest wojna 1939 roku i oblężenie Warszawy i praca konspiracyjna i koncentracyjny obóz. Ale realia te w żadnym istotnym sensie nie wiążą się z zasadniczą sprawą powieści, nie wpływają na nią, nie przecinają się z nią. Problem główny mógłby być równie dobrze umiejscowiony na tle wojen punickich albo wyprawy krzyżowej i nie straciłby (wzgl. nie zyskał) na tym nic.

To odcięcie go od korzeni, ten brak najprostszego, czysto techniczego i kompozycyjnego powiązania przebiegu myśli z przebiegiem wydarzeń, przy zachowaniu motywacyjnej logiki konieczności — odbiera sprawie Pawła jej ważność. Cały ogromny wysiłek umysłowy Pawła idzie w ten sposób na marne, rozładowuje się w próżni, podobnie jak bezsensowna i niepotrzebna jest jego śmierć. Gdyż Paweł zastrzelony zostaje w chwili, gdy na widok tortur schwytanego przy ucieczce z obozu współwięźnia wychodzi samowolnie z szeregu stojącego na apelu i podchodzi do skatowanego bliźniego, może aby „jako lekarz pomóc w czymś umierającemu, lub może tylko po prostu być przy nim". Jeszcze jedno życie oddane w imię pięknego, patetycznego i bezużytecznego gestu. Rozumiemy, że chodzi tu raczej o symbol, ale — zbyt dużo takich symboli w tej niesymbolicznej powieści.

Ta zasadnicza wątpliwość i niepewność powieści zawarta jest w samym jej organizmie, w samym stylu i budowie zdania. Zawieyski niczego nie definiuje stanowczo, określenia jego pełne są zawsze niedomówień i wahań. Oto pierwsze z brzegu przykłady: „Mimo wszystko zadaję sobie ten trud, nie będąc pewnym czy go dokonam". „Nie znam jej (scil. Teresy) właściwie do dziś i nie poznam pewno nigdy". Prawdę o człowieku określa „jakaś zapewne jednolitość, która jest sumą wszystkiego". „Uśmiech Teresy jest raczej smutny". O wrażeniu na widok Teresy decydował nie jej wygląd zewnętrzny ale „chyba właściwości duchowe". „Nikt, o ile wiem, nie zadawał sobie zbytniego trudu, aby dotrzeć do tej tajemniczej siły Teresy". „Chodzę po świecie z odczuciem klęski, jakbym ...coś zmarnował może..." „Muszę... popatrzeć jak Teresa, aby ocalić siebie, jeżeli to możliwe". Matka Pawła „pozwalała do pewnych granic na samo niszczenie życia w sobie, którego widocznie już nie lubiła". „Byłaby dobrą żoną (tak mi się wydaje) i dobrą matką, gdyby wyszła za mąż za jednego z tych, którzy ją tak kochali". „Choć tego nie wiem, ale najpewniej nie marzyła nigdy o życiu, które by było ponad wzory jej otoczenia".

Ta konstrukcja ustawicznego wahania, zastrzeżeń i wątpliwości wyraża się także w strukturze zdania, które budowane jest zadziwiająco często we formie pytajnej: „Czyż podobna, aby zmysł moralny na przykład był tylko wynikiem odpowiedniej budowy niektórych komórek kory mózgowej? Tak samo i zmysł estetyczny?"... „Czyż nie psuje normalnej funkcji organów zburzony ład moralny? I odwrotnie: czyż na tę sferę życia nie wpływa tak samo nagły zanik niektórych organów? Co przeżywać może złoczyńca tknięty paraliżem, chorobą raka lub ciężką dusznicą? A człowiek nauki lub człowiek czynu na przykład?"... „Pragnęliśmy zrozumieć istotę czegoś odmiennego od nas samych, podejmowaliśmy zamierzenia w założeniu swym paradoksalne, przekraczające nasze możliwości, może możliwości ludzkie w ogóle? Lecz jakież jest to źródło, które otwiera w człowieku tę dziedzinę pragnień poznania, tę siłę wzruszeń i przeświadczenie bolesne o niepoznawalności naszego istnienia?" Itd. itd.

Do tego samego rzędu właściwości technicznych, które determinują klimat duchowy powieści, należy szczególny rytm zdania, wynikający z określonego układu syntaktycznego. Polega on często na pewnym, jakby łańcuszkowym sczepieniu z sobą zdań pobocznych, z których jedno wynika z drugiego. Oto przykład: „Nie wiem, czy opowiadanie Teresy trwało długo, czy krótko, lecz pamiętam, że celowo jej pobyt przedłużałem i szukałem jakichś niepotrzebnych papierów i ksiąg, że znów, znajdując, co mi było potrzebne — wracałem jeszcze raz do niektórych szczegółów, aby patrzeć jak Teresa mówi, czy ginie, czy też jest stale to coś, co w jej twarzy zatrzymuje zmysły i budzi ochotę poznania tajemnicy, bo właśnie tego byłem pewien od razu, że coś z kategorii tajemnicy jest bliskie jako nazwa dla tego wrażenia, jakie wywiera Teresa" (str. 201). To stłoczenie i spiętrzenie na sobie zdań bez żadnej między nimi przerwy, bez możności wypoczynku i zaczerpnięcia oddechu, przyczynia się również do wywołania owej dusznej atmosfery, która ciąży nad całą powieścią.

Istniałaby tylko jedna możliwość wyjścia z tego „szklanego klosza" i nawiązania kontaktu z rzeczywistością. Mianowicie, gdybyśmy zaryzykowali paradoksalną hipotezę, że w *Drodze do domu* chodzi, w gruncie, o coś zupełnie innego niż to przedsięwziął Zawieyski, a przeprowadza Paweł. Kto wie, czy niezamierzona — niejako autonomiczna, niezależna od autora — treść tej powieści nie posiada własnej wymowy? Być może jest nią... uraz Pawła z powodu jego nieślubnego pochodzenia? Przy bardziej pedantycznej analizie dałoby się może wykazać, że Paweł przetrawia w sobie ten kompleks, który czyni go — w jego podświadomości — niepełnowartościowym człowiekiem, starającym się w męczeński, psychoanalityczny sposób tę „mniejszą wartość" wyrównać. Tego rodzaju hipoteza pozwoliłaby ujrzeć problem Pawła od całkowicie innej, społecznej strony. Ukazałaby ojca jego jako typowego szlacheckiego, obszarniczego młodzieńca, którego rodzicom ich majątek, pozycja społeczna, jednym słowem ich przynależność klasowa — nie pozwala dopuścić do „mezaliansu". Stąd wynika dramat porzuconej kobiety, która rodzi nieślubne dziecko, właśnie Pawła, stąd dramat tego Pawła, który nie może znaleźć właściwego swego miejsca w życiu. I dlatego śni mu się wciąż droga do domu czyli do szlacheckiego dworu w Bogudziękach, którego bramy zamknięte zostały przed jego matką. Jak widzimy, zabrnęliśmy oto niespodziewanie aż do podświadomości i do... reformy rolnej. Ale to są tylko domysły.

Dokądkolwiek jednak prowadziłaby *Droga do domu* Jerzego Zawieyskiego, nie jest ona — mimo całej szlachetności i ciężaru gatunkowego zamierzeń autora — drogą do domu naszej teraźniejszości.

Henryk Vogler

PONIŻEJ GRANICY CZŁOWIECZEŃSTWA

Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie. *Dokumenty zbrodni i męczeństwa,* Kraków, 1945, str. 214. Rudolf Reder. *Bełżec,* Kraków, 1946, str. 65 + 7 nlb. Gusta Draenger. *Pamiętnik Justyny,* Kraków, 1946, str. 116 + 7 nlb.

Dokumentarne stwierdzenie zbrodni niemieckich, popełnionych w ciągu sześciolecia wojny, to obowiązek nie tylko wobec historii; bowiem — mimo wewnętrznego oporu — w pierwszym rzędzie dzisiejsze pokolenie winno powrócić do przeżytych chwil, by je uporządkować i zobiektywizować. Miniony okres wyniszczył miliony istnień ludzkich, zrujnował lub przynajmniej poważnie naruszył byt każdej rodziny, a jednak fakty te, jeśli nie uderzyły bezpośrednio w osobiste życie jednostki, docierały do jej świadomości fragmentarycznie i tylko w swych najbardziej typowych przejawach — reszta tonęła w ogniu walki, a zarazem w tyglu plotek i domysłów, w atmosferze wciskającej się wszystkimi porami kłamliwej propagandy.

Każdy w większym mieście przeżył grozę łapanek, legitymowanie, wszyscy widzieli masowe egzekucje lub choćby spryskane krwią mury, lecz już wiadomości o okrucieństwach popełnianych w obozach koncentracyjnych przesączały się wąziutką strużką, zaś o losie Żydów wywiezionych z ghetta krążyły pogłoski tak sprzeczne, nieprawdopodobne i niezgodne z elementarnym poczuciem człowieczeństwa, że nikt rozsądny nie chciał w nie wierzyć. Ta instynktowna wiara w jakąś granicę, przed którą jednak zatrzyma się szalejące germańskie okrucieństwo — odgradzała „fabryki śmierci" od świadomości publicznej o wiele skuteczniej, niż osłona zielonych gałęzi przed obserwacją samolotów. Zakonspirowaniu strasznego dzieła sprzyjała także szatańska metoda natychmiastowego usuwania tych, których ręce przygotowały miejsca kaźni i narzędzia zbrodni. W ten sposób dzieło zbrodni pokrywało wieczne milczenie.

Wszystko to działo się na jakichś koszmarnych peryferiach ludzkiego odczuwania — z jednej strony zezwierzęceni zbrodniarze, wychowani na micie o nadczłowieku — z drugiej masa, zepchnięta poniżej granicy człowieczeństwa, masa, w której powoli i systematycznie paraliżowano zdolność czucia i myślenia, ośrodki woli, a nawet ślepy instynkt życia. Wydawać by się mogło, że w tych warunkach jedynie bezpośrednia, rzeczowa relacja dopomaga do odnalezienia ładu w chaosie, do odbudowania zachwianej hierarchii wartości. A jednak tak nie jest.

W przedmowie do *Dokumentów zbrodni i męczeństwa* czytamy: „Zamierzeniem instytucji, która zbiera materiały dokumentarne, jest przedstawienie prawdy nie stylizowanej, lecz prostej i niezmienionej, wydobycie jej na jawne światło dzisiejszego dnia".

Ten postulat surowej prawdy, zamkniętej w ramy dokumentu, nie zawsze jednak da się utrzymać, zwłaszcza w stosunku do tak niedawnej i tak koszmarnej przeszłości. W udręczonych istotach ludzkich, cudem wyrwanych z piekła, realny, bezosobisty opis przeżywanej udręki nie był jedyną, najważniejszą potrzebą. U niektórych dominowała ekshibicjonistyczna chęć uzewnętrznienia osobistych doznań, które przez tyle lat nie miały prawa głosu, u innych pragnienie wysublimowania strasznych chwil, przeniesienia ich w inny wymiar.

Dokumenty zbrodni i męczeństwa — to zbiór zeznań, ułamków pamiętników, słowem wszelkich piśmiennych relacji, dających obraz prześladowania Żydów w obozach i ghettach po miastach i miasteczkach. By stwierdzić autentyczność tych zeznań, podane są w nagłówku każdego fragmentu nazwiska więźniów, lecz są one równie symboliczne, jak podana na końcu cyferka, oznaczająca numer skazańca. Jest to zbiorowy akt oskarżenia, z którego nie wybijają się pojedyncze głosy, mimo iż każdy jest przejmującym dokumentem jednostkowego cierpienia. Te fragmentaryczne zeznania, nie dające obrazu całości, miały na celu stwierdzenie tych samych faktów przez ludzi różnych środowisk, różnego wieku (np. *Dzieci opowiadają*).

Uderza w nich więc przede wszystkim straszliwa monotonia, jeśli możliwa jest monotonia na najwyższym poziomie napięcia ludzkiego przeżywania. Ciągle to samo noszenie ciężarów ponad siły, rozbieranie do naga na mrozie, bicie na śmierć, egzekucje, grzebanie żywcem i drgające mogiły. A jednak te straszliwe wizje, przypominające sceny dantejskie lub makabryczne obrazy Wirtza i Kubina, na których matka rzuca do zlewu poćwiartowane zwłoki dziecka, a nieboszczyk podważa wieko trumny — tutaj powtarzanie się tych samych motywów jak upiornych refrenów obezwładnia czytelnika, mechanizuje jego reakcję i w rezultacie powoduje obojętność. Oczywiście nie jest sprawą najbardziej istotną, jak przyjmuje opis tych faktów człowiek współczesny, dokument bowiem pozostanie dokumentem i spełni swą rolę historyczną, nasuwają się tutaj jednak uwagi ogólniejszej natury.

Otóż faktów o tak intensywnej wymowie, o tak dramatycznym napięciu jak prześladowanie Żydów, nie da się po prostu i naturalnie przetłumaczyć na słowa, które okazują się zupełnie niewspółmierne z odtwarzaną rzeczywistością, jeśli traktuje się je jako bierne narzędzie. Wówczas nawet w dokumencie nie uzyskujemy wrażenia prawdy. Słowo odtwarzające rzeczywistość musi posiadać moc twórczą, by ją opanować, wprowadzić w nią ład, stać się czynnikiem organizującym, w przeciwnym bowiem razie — zamiast wzmacniać — degraduje i osłabia wymowę samych faktów.

Dobrze się więc stało, że Żyd. Kom. Hist. — wbrew założeniom — nie położyła tamy wypowiedziom beletryzowanym, bowiem w ten sposób wśród suchych relacji znalazły się pozycje, mające szanse przetrwania z racji innych, nie tylko dokumentarnych — wartości.

Bełżec — opowieść o masowym grobie Żydów — napisana przez jedynego ocalonego z tysięcy skazanych na śmierć, jest dokumentem wstrząsającym nie przez wymowę samych faktów, lecz właśnie dzięki przejmującej prostocie słowa, którego powściągliwość i zwartość zdaje się wypływać ze świadomości swych założeń artystycznych. Autor pisze stylem niemal telegraficznym i ten system skrótów, przeczący wszelkiej rozlewnej opisowości, przylega ściśle do przeżywanej grozy, daje szereg obrazów wstrząsających prawdą dlatego właśnie, że opanowanych powściągliwą rezerwą. Brak tu wszelkiego psychologizowania, skala uczuć została zredukowana do najbardziej elementarnych i zawiera się w intensywnej wymowie samych faktów, w takim a nie innym ich ugrupowaniu. Na tym tle szybkie, wnikliwe wejrzenia w stan ludzkiej duszy są jak okna, przez które błyska wewnętrzna męka. „Umieraliśmy co dzień po trochu wraz z całym transportem ludzi, którzy przez krótką chwilę przeżywali jeszcze mękę złudzenia".

Zwięzłości i prostoty powyżej wymienionej pozycji nie posiada *Pamiętnik Justyny* Gusty Draenger. Pamiętnik ten — pisany w więzieniu na skrawkach toaletowego papieru — wydany przez pietyzm dla młodej działaczki, której świetlana postać opromieniała atmosferę pracy konspiracyjnej bojowej grupy żydowskiej, posiada — przy niewątpliwym zacięciu literackim — wszystkie cechy kobiecego pióra: rozlewność liryczną, miękkość wyrazu, pewną gładką wielomówność, powierzchowność obserwacji psychologicznych. W pamiętniku tym, wyraźnie beletryzowanym, ton subiektywny — mimo, że autorka występuje w trzeciej osobie — jest dominujący. Znać, że notatki te były pisane na gorąco, w pełnym jeszcze nadziei podnieceniu, wypływającym z pokrzepiającej atmosfery pracy konspiracyjnej, w której młodzi bojowcy wyżywali się w sposób szlachetny, ze świadomą żyłką

ryzykanctwa i przygody, choć śmierć czyhała o krok.

Pamiętnik Justyny, mimo, że niezbyt jasny w swym rodzaju formalnym, gdyż zbyt mało przezwyciężony artystycznie jako powieść, a zbyt stylizowany i psychologizowany jako dokument, posiada jednak swoistą wymowę i dopełnia w sposób pożądany obraz całości. Widzimy tutaj bowiem odcinek pozytywnej walki Żydów z okupantem, akcję idącą równolegle z walką Polaków — mamy możność zaobserwować dumę narodową, wybijającą się spod narzuconych oznak hańbiącego poniżenia i bohaterską odwagę, tę samą, która przejawiła się później podczas powstania w ghetcie. Tutaj jeszcze Żydzi nie stoczyli się poniżej granicy człowieczeństwa, byli jeszcze ludźmi, zdolnymi do przeżywania całej skali radości i cierpienia, zwątpienia i nadziei. Otrzaskanie ze śmiercią miało w sobie młodzieńczą brawurę, nie było to jeszcze wstąpienie do otchłani, w której trzeba było żyć ze świadomością nieuchronnego końca, a jednak przystosować się do tej konieczności i nauczyć się „być ze śmiercią na ty".

Krystyna Kuliczkowska

„ZE ŚMIERCIĄ NA TY"

Michał Maksymilian Borwicz. *Uniwersytet zbirów. Literatura w obozie.* Wydawnictwa Żydowskiego Komitetu Historycznego, Kraków, 1946, str. 103 + 9 nlb.

Dwie książki Michała Borwicza, wydane przez Żyd. Kom. Hist., zasługują na osobne omówienie. Ich kształt formalny stawia je bowiem na zupełnie innej płaszczyźnie, niż wyżej wyszczególnione pozycje. *Uniwersytet zbirów* i *Literatura w obozie* — to dokumenty, które nie obezwładniają grozą, lecz pokrzepiają i utrwalają wiarę w nadludzką odporność maltretowanej jednostki, w iskrę bohaterstwa, która tli się do końca, wbrew nadziei.

Dwa utwory Borwicza powstały poza granicami wszelkiego ekshibicjonizmu, wszelkiego „wyrazu uczuć", poza naturalistyczną potrzebą odtworzenia wypadków w całej ich grozie lub w drapieżnych, zdeformowanych wizjach — nie są one także wypływem postawy epickiej, która usiłuje zamknąć opisywaną rzeczywistość w zhierarchizowany ład. Borwicz idzie drogą, która najpełniej realizuje współżycie czytelnika ze znaną i tylokrotnie już w różny sposób opisywaną rzeczywistością; uważa, że jest ona zbyt poważna, by ją brać na serio, odgradza się od niej żartem, satyrą i to pozorne bagatelizowanie jest zarazem wykazaniem nad tą rzeczywistością moralnej i artystycznej władzy.

„Padały słowa — pisze autor — które nie mówiły tego, co tutaj oznaczały, w brzmieniu były zbyt krągłe, za mało chropowate, zbyt łatwe i zbyt tą swoją krągłością i łatwością (w stosunku do tego co miały wyrazić) — wątłe: śmierć z godnością, śmierć z sensem..."

Borwicz powoduje się wyczulonym poczuciem niewspółmierności pewnych utartych pojęć, wielkich słów w stosunku do przeżytej grozy, lęka się jak ognia szablonu, który mógłby zwulgaryzować jej tragiczny patos, używa więc „słów chropowatych", lekkich, żartobliwych aluzji i tą drogą sugeruje najpełniej ostateczną powagę tych chwil, rozgrywających się na minutę przed końcem.

Jakżeż autor opisuje swych prześladowców? Czy są to tytany brutalnej siły, wyolbrzymieni w swej fizycznej przewadze gnębiciele? Posłuchajmy.

„Untersturmführer Rokita lubił rozmawiać z więźniami i gdy w szeregach położył trupem kilku ludzi, zawsze potem zapalał papierosa i uśmiechał się przymilnie". „Esesowiec Siller, otyła kulka, z wyglądem dobrodusznego piwosza, zwykł mordować bez podniecania się, spokojnie, ze znudzeniem". „Fritz Gebauer był to smukły i przystojny mężczyzna, z głową o regularnych rysach filmowego gwiazdora, z oczyma, które były piękne, rozmarzone i łagodne". „Dwudziestoletni Scharführer Heisen najbardziej lubuje się w krajaniu ludzi żywcem — gnębi go chłopięca ambicja, by uchodzić za zupełnie dojrzałego, lecz w swojej gorliwości nie może się ustrzec od popełniania *faux-pas*". Tą metodą autor najskuteczniej pozbawia Niemców ich człowieczeństwa, degraduje ich do szeregu malowanych kukieł uprawiających makabryczną zabawę.

A więźniowie? „Wiadomo, głowę nosi się w obozie dlatego, że potrzebna jest do wykonywania rozkazu: czapki zdjąć, czapki wdziać, skoro ten podstawowy punkt odpada, głowy wracają jednak do utajonych narowów i zaczynają myśleć". A owe myśli redukują się do takiej np. zwięzłej for-

mułki: „Nie jest dobrze, gdy w lagrze bywa lepiej, niż przewiduje regulamin". A jeśli jeden z kolegów przed przewidywaną ostateczną „selekcją" odzywa się: „Cóż. Trudno. Trzeba dalej żyć" — zdanie to wymawia „z pogardliwą parafrazą przeboju o takim refrenie" i obdarza towarzysza uśmiechem pokrzepienia, który w tych warunkach jest bohaterstwem.

Słowo u Borwicza rzadko jest w harmonii z treścią, częściej sprzecza się z nią, parodiuje, wykrzywia sarkazmem, maskuje pełen patosu ból i wstydliwe wynurzenia i w ten sposób neutralizuje ich najwyższe napięcie. Takie posługiwanie się słowem wypływa oczywiście z intelektualnej postawy wobec rzeczywistości. Autor zdaje się w ten sposób zaznaczać, że uczuciowe bodźce, zbyt często wstrząsane przeżytymi okropnościami, po prostu stępiały, że jedynie możliwe opanowanie rzeczywistości leży na drodze wysiłku myślowego. Stąd pewien szczególny chłód, rezerwa wewnętrzna, skłonność do filozofowania. Taka postawa jest samoobroną, ułatwia opanowanie cierpienia.

Podobną rolę odgrywała literatura w obozie. Charakteryzowało ją „pomieszanie tragizmu z trywialnością" i ścisłe dopasowanie do makabrycznej codzienności — nie przez kopiowanie, odtwarzanie przeżyć, lecz przez wyłamywanie się z nich za pomocą żartu lub banalnego, a więc nie szarpiącego — sentymentu.

„Było bowiem tak, że przecież ze śmiercią każdy z nas prowadził rozmowy zasadnicze. Szło jedynie o to, by w momencie któregoś z rzędu materializowania się wiadomego rachunku przemyślanymi sylogizmami umieć reagować. Wiersz nie był zastępowaniem bieżących wniosków, lecz ich sformułowaniem i przywołaniem".

Literatura w obozie, obojętne, czy była to literatura *sensu stricto* — była aktem samoobrony, była jeszcze jednym dowodem niezależności ducha ludzkiego, w którym najbardziej haniebna niewola nie zdoła stłumić odporności i mocy.

M. Borwicz stał na czele ruchu oporu zorganizowanego w obozie janowskim i nie dziwimy się, że był to on właśnie, że jemu udało się wyratować prócz swego własnego — szereg ludzkich istnień. Jedynie człowiek z taką postawą mógł stworzyć ośrodek buntu, mógł zgrupować wokół siebie wszystkich, którzy najwyższym wysiłkiem rozniecali w sobie iskrę nadziei, którzy pragnęli do ostatka nie poddać się bierności i depresji.

Borwicz w swych książkach ukazał nam odwrotną stronę medalu, na którym sadystyczna ręka wypisała słowa zagłady, udowodnił, że nawet do najgłębszej otchłani może wąziutką szparą dotrzeć smuga światła. A taką postawę pozytywną, twórczą — może dać tylko całkowite zżycie się ze świadomością śmierci, spoufalenie się z nią tak bliskie, by utraciła wszelką grozę.

Siedzimy u stóp piaskowej skały
I pijemy ze śmiercią „na zdrowie"
...Ze śmiercią pijemy toast
Chlebem spleśniałym zakąsując
I daty do wyzwolenia licząc
U zamkniętego płotu bram —

— oto słowa żydowskiej piosenki, śpiewanej w obozach na melodię ludową.

Tymi prostymi środkami, tym ściągnięciem wielkich uczuć z wyżyn koturnowego patosu do poziomu doznań zwyczajnych, pospolitych, błahych — autor osiągnął zamierzony cel. Z kart jego książek takie wytarte słowa jak „śmierć z godnością", „śmierć z sensem" wystąpiły w pełnym i nowym blasku, choć nie zostały nazwane po imieniu.

Krystyna Kuliczkowska

NOTY

NIE MA TAJEMNICY AUTORSKIEJ...

Każdy z piszących ma w swoim drukowanym dorobku trochę utworów, do których radby się nie przyznać. Zwłaszcza pierwociny, przedwcześnie (lub za późno...) ogłoszone bywają żenujące. W zbiorze *Miejsce nie ziemi* nie pomieściłem wielu wierszy dawniej publikowanych, bo uznałem je za niegodne zaszczytu przebywania w towarzystwie utworów, które i dzisiaj cenię. Formalnie i bezapelacyjnie skazałem je na zapomnienie.

Ale krytyk ma prawo zajmować się juveniliami nawet najbardziej wstydliwymi. L. H. Michalski zaskoczył mnie w numerze 5 *Twórczości* gruntowną znajomością najpierwszych moich prób drukowanych, ba, odkrył, że u Kadena w dodatku do *Gazety Polskiej* ogłaszałem wiersze pod kryptonimem Karnasa (Kazimierza, jeśli dobrze pamiętam) i Czyżyka (Jana, jeśli się nie mylę). Więc parę słów o tych najdawniejszych wierszach.

Istotnie, w broszurce pt. *Hiperbola* wydanej chyba w 1920 roku w Krakowie obok wierszy kolegów znalazło się kilka moich studenckich próbek poetyckich, znalazło się tam bez korekty — i na szczęście bez echa. Składał tę broszurkę jakiś uczeń zecerski za darmo, narobił też chyba tyle błędów, ile słów. Płakałem wtedy nad tym tak, jak dziś się śmieję.

Karnas i Czyżyk w dodatku Kadena sprawiali mi już tylko uciechę, byli kompanami miłej i wesołej zabawy.

Byłem w opałach pieniężnych i za radą kogoś bliskiego, który wydobył z zapomnianych papierów dawne moje rękopisy, postanowiłem, nie zdradzając nazwiska, posłać Kadenowi trochę tych porzuconych wierszy. Było to chyba już po wydaniu tomu *W głąb las* — i ze swoich wierszy sprzed dziesięciu lat mogłem tylko stroić kpiny. Zabawa się udała. Kaden w odpowiedzi od redakcji — za pierwszym razem stwierdzał talent, entuzjazmował się, chwalił. Potem — napominał, krytykował, zachęcał. Myślę, że nie tylko ja dopuściłem się takiej niewinnej igraszki. Słyszałem, że i inni wytrawni i znani poeci „debiutowali" w ten sposób u Kadena. O tym debiucie wiedziało kilku moich ówczesnych przyjaciół i od któregoś z nich dowiedział się zapewne Michalski.

Ale tak jak Kaden, który nigdy się autora nie domyślił, nie domyśli się nikt, jak bardzo jeszcze czuję się winowajcą tego, co w przeszłym wcieleniu napisałem, skoro odkryty — muszę się wstydliwie uśmiechać.

Julian Przyboś

DESHUMANIZACJA WIEDZY

Niedawno odbyło się w Sorbonie inauguracyjne zebranie Stowarzyszenia Przyjaciół Bergsona. Zagaił je (i przewodniczył) znakomity fizyk książę de Broglie. Od razu nadał obradom wysoki ton, kierując je ku najważniejszym zagadnieniom współczesnym. Punktem wyjścia dla ks. de Broglie była następująca cytata z ostatniego wielkiego dzieła Bergsona *Deux sources de la morale et de la religion:* „Nie ma fatalizmu w historii. Ludzkość nie zdaje sobie dostatecznie sprawy z tego, że przyszłość zależy od niej samej. Nasze ciało, nieproporcjonalnie spotężniałe wskutek naszej potęgi materialnej, musi być uzupełnione wzbogaceniem życia duchowego, rozrostem duszy".

Odpowiedzialność ludzkości za własne jej losy nabiera dziś specjalnego znaczenia. Książę de Broglie zwraca uwagę na fakt, że dziś nawet stosunkowo drobne zwichnięcie równowagi moralnej może za sobą pociągnąć następstwa nieobliczalne. W epoce złowrogich wynalazków technicznych jednostka, psychopata, zbrodniarz — może zniszczyć całe miasto. Zawsze, nawet przy najsurowszej kontroli, możliwa jest kradzież lub uproszczenie niszczącego wynalazku. Fizyk, jakim jest ks. de Broglie, wypowiada zapewne najgłębsze swe obawy i daje wyraz najbardziej dręczącym przeżyciom, gdy

wyznaje, że obecnie „radość poznania zostaje zamącona lękiem przed nieobliczalnymi następstwami odkryć". Musi to wpływać fatalnie na postęp wiedzy, gdyż: „tworzy się tylko w atmosferze wolności myśli i — spokoju sumienia".

Oto istotnie nowy problem w kulturalnym życiu ludzkości! „Odpowiadamy za wszystko" — głosił już Dostojewski. Odpowiadamy za zły użytek, który inni mogą uczynić z naszej pracy. Ale książę de Broglie nie jest katastrofistą, ani wrogiem postępu naukowego. Jego postawa niczym nie przypomina Spenglera. Nie przepowiada nieodwracalnego jakoby upadku kultury. Chce tylko przestrzec przed niebezpieczeństwami, chce zwrócić uwagę na konieczność współpracy uczonych i moralistów. Dostrzega już nawet pewne objawy pomyślne, np. w drugiej wojnie światowej nie użyto gazów trujących, ponieważ postęp wiedzy uczynił ich użycie szczególnie niebezpiecznym dla tego, który by ich użył pierwszy.

W dyskusji nad mową ks. de Broglie zabierali głos uczeni, filozofowie i pisarze. Zaznaczyły się dwa stanowiska: skrajnego pesymizmu i pewnego relatywnego optymizmu. Np. z ufnością patrzy w przyszłość świata filozof Edward Le Roy, następca Bergsona w Akademii Francuskiej i *Collège de France*, uczeń i wyznawca twórcy intuicjonizmu. Jego zdaniem, wszystko zależy właśnie od owego „rozrostu duszy", który według Bergsona musi zrównoważyć rozrost fizycznej i materialnej siły człowieczej. Historyk kultury Emil Brehier ukazywał w dłuższym wywodzie, że etyczna myśl ludzka zawsze usiłowała zbalansować niszczące wynalazki.

Natomiast skrajnie pesymistyczną pozycję zajął autor dramatyczny i krytyk, Gabriel Marcel. Twierdził, że można dziś mówić o zjawisku deshumanizacji wiedzy. Sytuacja staje się tragiczna. Dotychczas uczony miał tylko jeden ideał: „Wiedzy dla wiedzy" (*Science pour la science* Poincarégo). Lecz obecnie fizyk, badający jądro atomów (a więc na pozór pogrążony w sprawach oderwanych od życia) może się znaleźć w obliczu najbardziej brutalnych konsekwencyj bezpośrednich: konsekwencyj destrukcji i zbrodni. Akcja godząca w ludzkość może być rezultatem — marzenia. Czy można sobie było wyobrazić dawniej sytuację następującą: wynalazca musi wstrzymać swe prace, gdyż grozi zniszczenie planety?

Ton Gabriela Marcel staje się w toku jego wywodów coraz bardziej gwałtowny: cytuje *Mojego Fausta*, ostatnie dzieło Valéry'ego, wyśmiewające dawnego Mefistofelesa z powodu „jego przestarzałych metod destrukcji, jego śmiesznej, dziecinnej i niewinnej fizyki". Dziś ludzkość rozporządza gigantycznymi środkami samozagłady.

Śledząc pilnie przebieg tej dyskusji można by zwrócić uwagę na dwa istotne a pominięte zagadnienia. Pierwsze wyglądałoby tak: jest jednostronnością dostrzegać tylko narastanie nowych niebezpieczeństw a zapominać o przezwyciężaniu dawnych. Jeszcze w XIX stuleciu cholera i inne potworne choroby zakaźne były złowrogimi widmami zbiorowego życia. Opanowanie ich stało się tryumfem niezaprzeczalnym. Nowoczesne środki niszczenia są może efektowniejsze, ale i w dawnych wiekach ginęły setki tysięcy bez nadziei ratunku. Są więc dziedziny wiedzy, dziedziny kultury, które się nie „deshumanizują", lecz przeciwnie — coraz bardziej stają się przyjazne dla ludzkości. Niegdyś lekarz tylko w rzadkich wypadkach mógł przyjść z pomocą choremu; dziś zapobiegawczo ratuje od męki i śmierci tysiące zdrowych. Nie tylko medycyna („pomyślmy o cudach chirurgii"), ale także i technika, ekonomia (planowanie!) oraz socjologia i pedagogia coraz bardziej się „humanizują". Sama nawet energia atomowa kryje nie tylko groźne, ale może i błogosławione w skutkach niespodzianki. Po wtóre: instynkt moralny nie wygasa w miarę postępu, ale się wzmaga i nabiera wpływu. Druga wojna światowa miała m. in. charakter walki o ideały moralne. Hitleryzm przyjmował biologiczną walkę wszystkich przeciw wszystkim jako wyłączną zasadę życia. Uznawał tylko prawo silniejszego, nie uznawał nawet bezinteresownej twórczości kulturalnej. Otóż takie stanowisko, wyraźnie antymoralne, zmobilizowało przeciw sobie wszystkie siły samozachowawcze ludzkości, którymi są siły moralne. I siły te zwyciężyły.

Nie jest przypadkiem, że zagadnienia etyczne przenikają coraz mocniej różne dziedziny twórczości. Porównajmy tylko moralnie najczęściej indyferentny dramat naturalistyczny z *Elektrą* Giraudoux, *Pasażerem* Anouilha, *Odysem* Flukowskiego, fragmentem dramatycznym Anny Świrszczyńskiej *W baraku*, ogłoszonym w roku ubiegłym na łamach *Odrodzenia*, czy *Wielkanocą* Otwinowskiego. Porównajmy Maupassanta z Duhamelem i Mauriakiem, Wilde'a z Huxley'em *(Niewidomy w Gazie)*.

Pisarze coraz bardziej odczuwają „zmianę skali swej odpowiedzialności moralnej", którą dla uczonych przewidywał książę de Broglie. Z tym łączy się także wzrost świa-

domości religijnej. I dlatego nie pesymistom, wietrzącym nieuchronny koniec kultury, ale księciu de Broglie trzeba przyznać rację; zakończył on zebranie Towarzystwa Przyjaciół Bergsona akcentami nadziei, że nauka, literatura i sztuka jako instrumenty naszej woli odwrócą niebezpieczeństwa i przezwyciężą mroki nieszczęścia.

Wojciech Natanson

SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ WIEDZY

Wyzwanie należy podjąć, a nie płakać i wykręcać się. Jeżeli dzisiaj stoimy wobec większych niebezpieczeństw i klęsk, niż kiedykolwiek w historii ludzkości, to dzisiaj również mamy większe możliwości i większe nadzieje. Nie możemy tego wyzwania pozostawić skwaśniałym intelektualistom, których oczy utkwione są w przeszłości. Muszą je podjąć ci, którzy mają nadzieję, wiedzę, zdolność i chęć określenia i rozwiązania problemów naszych czasów. Chcemy odrzucić nasze wątpliwości i stłumić nasz niepokój, nie przez jakieś metapsychiczne dociekania, lecz przez podjęcie pilnych, praktycznych czynności, zmierzających do zabezpieczenia warunków dobrego życia wszystkim ludziom na świecie.

Obecnie po raz pierwszy w historii ludzkości ludzie mają wiedzę, a z nią i potęgę, by się do tego zabrać. Przez to kryzys naszych czasów jest czymś nowym i różnym od wszelkich kryzysów przeszłości. Jest on wynikiem tego, że nadszedł wiek wiedzy. Dawniej wiedza wyjaśniała sprawy, pomagała budować pożyteczne maszyny, doradzała tu i ówdzie; obecnie stała się dominującym zjawiskiem naszych czasów.

Nie przyszło to nagle. Od czasów Newtona ruch wiedzy i wynalazczości szedł naprzód z rosnącym rozpędem, przez rewolucję przemysłową, do zarania wieku atomicznego. Opanowanie energii atomowej — energii słońc i gwiazd — dla celów ludzkich potrzeb, jest największą ze zdobyczy, jakie kiedykolwiek osiągnięto, znacznie większą niż uprawa roli, ogień lub para; lecz jakby nie była wielką, jest tylko symbolem, co mogą ludzie zrobić na wszystkich polach swoich dążeń. Metody zorganizowanych dociekań i rozwoju, które narastały przez wiele lat i zostały wypróbowane i udoskonalone w czasie wojny, dały nam w ręce potęgę dosłownie nieograniczoną.

Największym faktem, wobec którego stoimy, jest to, że wraz z tą potęgą człowiek po raz pierwszy musi przyjąć odpowiedzialność za prowadzenie swego własnego świata w sposób rozsądny. Odpowiedzialność ta szczególnie obciąża ludzi wiedzy, ponieważ oni pierwsi mogą widzieć co można zrobić, niemniej jest to odpowiedzialność obowiązująca każdego. Dla niektórych jest ona zbyt straszną, by zdołali stanąć jej twarzą w twarz. Będą woleli odwrócić się do starych dróg, do wieków wiary i nałogów. Lecz czy nam się to podoba czy nie, nie ma dzisiaj odwrotu. Dzisiejsze i jutrzejsze niebezpieczeństwo światowe nie jest już niebezpieczeństwem czasu i przypadku, lecz leżeć może w niezdolności opanowania i mądrego pokierowania świadomymi wysiłkami zorganizowanej ludzkości.

M a m y o b e c n i e j e d e n ś w i a t. Musimy troszczyć się, jak nim kierować. Przez setki i tysiące lat co prawda kierował się sam — od wypadku do wypadku. Istniało pewne podstawowe zwyczajne życie wsi i miasta, które ustawiczne wojny, zarazy i głody mogły zaburzyć, lecz nie zburzyć, lecz nie zniweczyć. Czas zasiewów i żniw, ognisko domowe i dom w tych latach były ważniejsze, niż królowie i wojownicy, filozofowie lub święci. Obecnie wszystko to minęło i minęło na dobre. Świat nie będzie już więcej toczył się sam. Obecnie musimy na nowo przemyśleć, jaki świat chcemy mieć i jak mamy dojść do niego.

W tym zadaniu mamy przed sobą przykład Unii Sowieckiej, gdzie po raz pierwszy uczyniono wysiłek racjonalnego, ogólnego planu. Ten przykład daje natchnienie dzisiejszemu światu, nawet tym, którzy się zapierają tego natchnienia. Jest podstawą naszych planów przemysłowych i rolniczych i będzie podstawą przyszłej organizacji produkcji światowej i światowego handlu.

Obecnie są ludzie, którzy chcieliby, aby wierzyć, że skoro raz spróbuje się kierować światem w rozsądny i świadomy sposób, stanie się coś strasznego z walorami człowieka, że ludzie będą uważani tylko za maszyny, że ludzka społeczność zostanie obniżona do poziomu białych (dlaczego nie czerwonych?) mrówek.

Jest to czysty nonsens. Faktycznie jest przeciwnie. Właśnie bezmyślne i ślepe poszukiwanie zysku doprowadziło do zmechanizowanych okropności rewolucji przemysłowej i tropikalnych plantacji. Kierowanie światem w świadomy sposób będzie pracą tak olbrzymią i skomplikowaną, że nie będziemy mogli pozwolić sobie, by nie zrobić użytku z każdej szczypty inteligencji, każdej szczypty dobrej woli i każdej szczypty inicjatywy, jaką posiada ktokolwiek na świecie. Pozycja indywidualności w nowym świecie będzie znacznie ważniejsza i bardziej

interesująca, niż była kiedykolwiek w starym i rola odgrywana przez indywidualność współpracującą będzie czymś znacznie bardziej demokratycznym niż cokolwiek, co było znane dotychczas.

DOBROWOLNA PRACA, NIE DYKTATURA

Oczywiście nic z tego nie stanie się samo przez się. Dzieje się to obecnie za sprawą woli ludzi, wynikającej z doświadczeń ostatnich walk, za sprawą ich wiedzy o nowych siłach, które może przynieść nauka. Zajęcie się dostarczeniem dostatecznej ilości żywności, mieszkań i ogólnych dóbr spożywczych dla całych dwóch miliardów mieszkańców świata jest ogromną pracą praktyczną, lecz wiemy, że pracą technicznie możliwą i mamy całkiem dobre pojęcie, jak się z tego wywiązać administracyjnie. Nie może to być zdziałane przez dyktowanie; powinno być wykonane przez integralną i dobrowolną kooperację setek tysięcy małych grup ludzkich, współdziałających w swoich gospodarstwach, fabrykach i transporcie.

Uczeni, którzy myślą o swej odpowiedzialności socjalnej, są w pełni świadomi tych problemów. Wiedza nie jest czymś ograniczonym do elektronów, chemikalii i maszyn; jej zasięg obejmuje wszelkie zakresy żywych istot, i coraz bardziej zajmuje się ludzkimi istotami w odniesieniu do ich stosunków socjalnych i ekonomicznych. Dlatego naukowiec jest ostatnim, który mógłby nie doceniać znaczenia jednostki i potrzeby demokratycznego działania społeczeństwa. Niech mi będzie wolno na próbę zacytować argumenty z mego artykułu w *Modern Quarterly:*

„1. Najważniejszym zajęciem świata w dniu dzisiejszym jest zapewnienie każdej istocie ludzkiej szans pełnego rozwoju.

2. Może to zostać dokonane jedynie przez świadomy, zorganizowany wysiłek pod kierunkiem samej ludności. Należy to powierzyć większości ludności, nie mogą istnieć grupy wyższe lub elitarne.

3. Materialne i socjalne warunki, konieczne do urzeczywistnienia ludzkich możliwości, mogą być osiągnięte jedynie przez dobrze zorganizowany system produkcji i podziału.

4. Dla realizacji tych zmian konieczny jest nowy pogląd i zmiana wartości. Nowe wartości muszą zawierać starą tradycję, lecz tradycję tę winny związać z nowymi potrzebami. Niemoralny w swej istocie wpływ kapitalistycznego indywidualizmu musi być zastąpiony przez moralność, która podnosi inteligentną współpracę dla wspólnego dobra.

5. Sztuka i kultura muszą się stać wspólnym, żywym dziedzictwem, w którym biorą czynny współudział wszyscy, a nie martwym osiągnięciem dla podziwiania przez wybraną garstkę".

Moralność, do której tam nawoływałem, nie oznacza ślepego posłuszeństwa dla narodu lub partii, oznacza uznanie tego, co obecnie jest oczywistym faktem, że jak mówi Biblia, „wszyscy jesteśmy członkami jedni drugich", i musimy wszyscy świadomie i chętnie brać udział w kształtowaniu i wykonywaniu wspólnej polityki, zamiast szukać naszego własnego, osobistego sukcesu czy zbawienia. W nowym świecie każdy ponosi odpowiedzialność nie tylko za to, by dobrze wykonywał swoje własne zajęcie, lecz także w pilnowaniu, by własne zajęcie pozostawało w zgodzie z ogólnym wysiłkiem ludzkim. Każdy musi być zarówno organizatorem jak i pracownikiem. Jak mówi Lenin „każdy kucharz musi się nauczyć rządzić państwem".

Dylemat środków i celu jest nierealny i zwodniczy. Uczony wie, że osiągnięcie każdego ludzkiego zamiaru jest rzeczą złożoną; w planowaniu nie ma podziału na środki i cele. Życie, zdrowie i szczęście ludzi zatrudnionych w fabryce są tak samo częścią planowej produkcji, jak wykończone towary, które wysyła. Oczywiście nie znamy wszystkich konsekwencji naszego działania, lecz naszą rzeczą jest przewidywać jak najlepiej, jak najumiejętniej, plan mieć podatny, by móc go dostosować do nieprzewidzianych komplikacji i uczyć się z własnych błędów. Niebezpieczeństwo leży nie w jasnych i świadomych działaniach, lecz w pobożnej i tchórzliwej odmowie działania, w brnięciu po starej drodze. Przez długie wieki więcej ludzi umierało i cierpiało od dających się uniknąć głodu i chorób, z powodu samolubnej ignorancji i bezczynności, niż w ogóle zginęło lub zostało zranionych we wszystkich wojnach historii. Działanie może być czasem złe; bezczynność wobec zła jest zawsze złem.

Ci, którzy szerzą strach przed użyciem naszej mocy, wyrządzają ludzkości najgorszą przysługę; strach bowiem paraliżuje wielkoduszną akcję, budzi podejrzenia i jeszcze więcej strachu. Istnieje jedna obawa obecnie, która wstrzymuje wszelką konstrukcję w świecie — strach przed wojną. Dlaczego? Porównajmy nasze położenie obecnie z tym, jakie było przed dziesięciu laty. Wówczas mieliśmy przed sobą wzrastające niebezpieczeństwo zbrojnej potęgi faszyzmu, a za nim trujące doktryny nie-

nawiści rasowej i tortury obozów koncentracyjnych. Ta siła została zmiażdżona.

Czego się boimy obecnie? Oczywiście bomby atomowej; tego strasznego, nowego wytworu wiedzy, który zwielokrotnia zniszczenie, jakiego mieliśmy mały przedsmak w naszych bombardowanych mastach. Lecz bomba atomowa nie robi się sama i nie wybucha sama przez się. Rzeczywiste niebezpieczeństwo leży w tworzeniu takiej sytuacji światowej, która pozwoli lub nawet zmusi mężów stanu, by kazali jej użyć. Dlaczego to niebezpieczeństwo istnieje? Powiedziano nam, że z powodu stanowiska Unii Sowieckiej; narodu, który przez poświęcenie 20 milionów swych braci i sióstr ocalił nas od podobnych ofiar; narodu, obecnie zgiętego przy naprawianiu zniszczenia, o którym u nas mamy zaledwie słabe pojęcie.

Obawiamy się nowej wojny, która może zdarzyć się jedynie, jeżeli rozmyślnie będziemy sabotować efektywną współpracę międzynarodową, której pierwszym wcieleniem jest Organizacja Narodów Zjednoczonych. Rzeczywiste niebezpieczeństwo nie nadejdzie z Unii Sowieckiej, ani od bomby atomowej, ani od istotnego zła człowieka, ani od naszej wewnętrznej niezdolności do współpracy w budowaniu nowego świata, opartej na wspólnym wysiłku dla wspólnego dobra. Nadejść może od tych, którzy nie życzą sobie tego rodzaju świata: tych, którzy mówią o wojnach i hałasują o wojnach; tych, którzy odkryli specjalne walory „zachodniej cywilizacji", której obronę możemy teraz przejąć po pokonanych Niemcach. To są nieprzyjaciele nadziei; to są rzeczywiście dziedzice nazistów. Jeżeli nie potrafimy ich powstrzymać w podziale świata na dwa obozy, w umysłach ludzkich ten fatalny rozdział będzie wzrastał, a wojna stanie się nieunikniona.

TRWAŁY POKÓJ

Wiemy, że o ile potrafimy i tylko o ile potrafimy utrzymać pokój, będziemy mogli użyć nowych sił dla osiągnięcia o wiele lepszego i wolniejszego świata, niż kiedykolwiek był znany. Możemy utrzymać pokój, myśląc mniej o starych brytyjskich i imperialnych interesach, które tak wielce się przyczyniły do ujarzmienia i sponiewierania świata przeszłości, a więcej o konstruktywnym dziele, jakie niesie ze sobą dzisiejszy świat. Ruch, który wyrósł łącznie z ruchem oporu, wspólny ruch narodu, usiłuje naprawić zniszczenia wojenne, użyć zasobów swych krajów dla pełniejszego życia ich narodów. To są siły, które należy popierać, zamiast im przeszkadzać.

Przede wszystkim musimy utrzymać przyjaźń z Unią Sowiecką, którą utrzymaliśmy w czasie wojny i że jest to naszą wolą i zamiarem, wykazać czynami, a nie tylko słowami. Jeżeli to potrafimy zrobić, strach, który zawisł nad światem zniknie, a dzieło, jakie należy wykonać, może być rozpoczęte z pełną nadzieją sukcesu. W naszym kraju już zaczęliśmy tworzyć przyzwoity, uporządkowany, ludzki świat. Z ubezpieczeniem socjalnym, z Narodową Służbą Zdrowia, z nowym wychowaniem, z nowo planowanymi miastami, fabrykami i kopalniami mamy się czego spodziewać, jeżeli zdołamy utrzymać pokój. Dzieło to może przejść do większych zadań, może podnieść stopę życiową w Indiach, Chinach i reszcie świata.

Nie zważajcie na tych, którzy chcą założyć postępowi hamulce i którzy usiłują odciągnąć was od tych zadań, prawiąc kazania rozpaczy i podejrzeń. Pozostawcie ich ich własnej jałowiźnie i złości. Chcemy wiary, nie aby przetrzymać klęskę, lecz by odwrócić ją i budować na nowo. Wielu jest nas w tym kraju, którzy już mają tę wiarę, a znacznie więcej, którzy ją będą mieć. Wedle starych słów Cromwella znajdziemy „ludzi, którzy wiedzą o co walczą i miłują to".

J. D. Bernal
(The Listener, 4. IV. 1946)
przełożył *Utis*

ANGIELSKIE TROSKI KSIĘGARSKIE

Księgarnie zatłoczone kupującymi stały się obecnie zwyczajnym widokiem. Popyt na książkę nigdy nie był tak wielki. Czy sprawczynią powstania nowych nabywców książki jest wojna, a jeżeli tak, to jaki typ książki kupują oni?

Zanim będzie można odpowiedzieć na te pytania, musimy zbadać kulisy handlu książką w ostatnim czasie. Przez cztery lata handel książką miał doskonałą koniunkturę. Przeszedłszy pewne mniejsze lub większe zahamowanie w pierwszych dniach wojny błyskawicznej (która zniweczyła miliony książek), przeszedłszy racjonalizację i ograniczenia w przydziale papieru, (które zarazem ograniczyły produkcję) oraz częściową ewakuację miast (która w znacznej mierze zmieniła istniejący system rozprowadzania książek), — handel ten znalazł się wobec równie trudnych co pociągających problemów. Swymi zupełnie niewspółmiernymi zapasami ma zaspokoić coraz bardziej wzrastający popyt.

Dotychczas nie znaleziono rozwiązania. Ani nie można go znaleźć tak długo, jak długo będzie istniała racjonalizacja papieru, jak długo pierwszeństwo będą miały zamówienia na eksport, a drukarnie będą upośledzone na skutek braku wykwalifikowanego personelu. Lecz przepaść między podażą a popytem zwolna się zwęża. Wzrost produkcji papieru wkrótce pozwoli wydawcom pokryć przedwojenne zapotrzebowanie w 75 procentach; siły pracownicze zaczynają wracać z armii, a powrót do bardziej normalnych warunków życia będzie miał skutek także w księgarstwie. Gdy zjawiają się konkurencyjne aktrakcje także w innych firmach, czytająca publiczność staje się bardziej wybredna w wyborze książek. Księgarze zaczynają już zwracać uwagę na to, że półki poczynają się im wypełniać martwym towarem, książkami nabytymi w czasie, gdy można było sprzedać wszystko i dlatego stają się bardziej drobiazgowi w tym, co zamawiają z listy wydawców. Nie zmniejsza się jeszcze ilość sprzedawanych książek, lecz istnieją wyraźne oznaki powrotu do wybredzania w zakupnie.

To nie jest zły objaw. W czasie wojny handel ten przyciągał zbyt wielką ilość nowych wydawców; widzieli oni szanszę szybkich zysków i popierani byli przez rząd, który przydzielał im odpowiednią ilość cennego zapasu papieru. Skutek był oczywisty. Gdy klasycy, książki wychowawcze i podręczniki domagały się uzupełnienia zniszczonych lub wyczerpanych zapasów, nie drukowano ich, a rynek natomiast został zalany sensacyjnymi powieściami wątpliwego charakteru, książkami dziecinnymi małej wartości i przedrukami książek, do których prawo autorskie wygasło i dlatego nie było obowiązku płacenia honorarium autorskiego. Podczas gdy jest prawie niemożliwe dostać słownik, gdy *Everyman Library* Denta faktycznie jest nie do nabycia, półki w okolicy Charing Cross Road uginają się pod zgubnym i pornograficznym towarem.

Z drugiej strony pojawiają się wyraźne oznaki, że stała publiczność czytelnicza myśli poważnie. Najbardziej poszukiwanym autorem w pewnej księgarni londyńskiej w czasie wojny był Szekspir, a każdy klasyk, jaki zjawi się z drugiej ręki na półkach, sprzedany zostanie w ciągu kilku godzin. Powieści i biografie postępują daleko za podręcznikami, dziełami tęchnicznymi i pedagogicznymi. Popyt na nie wzrasta, niewątpliwie z tego powodu częściowo, że kupują je zdemobilizowani wojskowi, spodziewając się w ten sposób usunąć i odrobić zdziczenie, jakie sześć lat w mundurze spowodowało w ich umysłach.

W rzeczywistości zdaje się być jednak niewątpliwym, że w ciągu ostatnich kilku lat obserwujemy powstanie nowej kategorii czytelników. Częściowo należy to przypisać temu, że nowa, lepiej wychowana generacja ma skłonność do nieprzerwanego kształcenia się. Tę ewolucję można było zauważyć już przed wojną. Ujawniało się to na przykład w dużym zbycie książek Pelikana (popularne wydawnictwo), poważnego odpowiednika popularnego Penguina. Lecz dążność ta została niezmiernie przyśpieszona, gdy długie wieczory w domu bez rozrywek, z wyjątkiem radia, ciągnęły do czytania ludzi, którzy nigdy przedtem nie czytali. Stosuje się to oczywiście jeszcze bardziej do wojskowych, którzy mając mnóstwo czasu usilnie starali się o każdą nową zdobycz dla biblioteki swego oddziału. Trudno jest ocenić dzisiaj należycie daleko idące skutki, jakie w stworzeniu stałej, nowej publiczności czytelniczej będą miały rozmaite schematy dostarczania książek dla sił zbrojnych.

Dlatego można jako rzecz pewną przyjąć, że obecny obrót w handlu, który w ciągu czterech lat podwoił swą przedwojenną cyfrę 10 milionów Ł. rocznie, nie spadnie wiele poniżej 15 milionów Ł. Z całkowitej sumy, 3½ miliona przychodziło zazwyczaj z rynku eksportowego, w porównaniu z 5 milionami w obecnym stanie, przy czym istnieje nadzieja, że suma ta wzrośnie do 8 milionów. Zwiększony przydział papieru został dozwolony specjalnie dla wzmożenia eksportu i wiele przedruków znanych dzieł faktycznie zostaje wysłanych za granicę, zamiast znaleźć drogę na rynek krajowy. Jeżeli Wielka Brytania nie ma stracić na zawsze swych zagranicznych rynków na rzecz konkurencji amerykańskiej, jest to konieczne i nieuniknione. Amerykanie, wobec braku ograniczeń w sprawie papieru, są w bardzo korzystnej sytuacji, by wykorzystać obecny głód książki angielskiej za morzem.

Istnieją przeto podstawy do optymizmu co do przyszłości handlu książką. Są także i niebezpieczeństwa. W najbliższych latach istnieje prawdopodobieństwo znacznego ograniczenia standaryzowanych przedruków. Wydawcy, którzy nie potrafią zdobyć papieru na dzieła bieżących pisarzy, będą mogli oszczędzić jedynie ułamek swej kwoty na przedruki. Wielu z nich utraciło na skutek bombardowania wielkie składy wolno idących dzieł standartowych, których składy drukarskie zostały zniszczone, co czyni

problem przedruku podwójnie trudnym. Kiedy np. została zbombardowana firma hurtowa Simpkin Marshall, w ciągu jednej nocy uległ zniszczeniu skład, zawierający sześć milionów książek. Ten sam los podzieliło wiele firm, a wyrównanie strat będzie trwało lata. Nawet gdyby można było otrzymać papier na każde żądanie — a nie ma oznak, by mogło się to przydarzyć w najbliższej przyszłości, — i tak powstaną zatory we wtórnych rzemiosłach druku i oprawy.

Nieograniczona dostawa papieru nie cieszy się zresztą obecnie względami niektórych fachowców. Powołują się oni na okres przedwojenny, gdy produkcja nowych książek wzrastała z roku na rok, a całkowity obrót w tej branży mimo to był prawie stały. Skutek był oczywiście ten, że przeciętna sprzedaż każdej książki malała, co redukowało przeważną część zysku z każdej książki. Usiłując odrobić utracony zysk, wydawano nowe książki — i tak powstawało błędne koło. Dotykało to oczywiście księgarzy, którzy wydawali znaczne kapitały na zakupno większej ilości rodzajów książki, co znowu zwiększało ryzyko leżącego towaru, a martwy towar ograniczał znowu ich siłę nabycia. Miało to również skutek ograniczający sprzedaż. Zamiast się skupić na stworzeniu warunków sprzedaży dla nielicznej grupy dzieł, wysiłki księgarzy rozpraszały się na wielką ich ilość. I tak zarówno wydawca jak i księgarz wciągnięci byli w coraz zacieśniające się koło wzrastającej produkcji, a malejącego zysku. Nie jest rzeczą wykluczoną, że za powrotem normalnych zasobów papierowych i nieograniczonej konkurencji sytuacja taka się powtórzy. W każdym razie księgarze widzą znaki ostrzegawcze i kupują ostrożniej.

Lecz mimo wszystko, handel patrzy w przyszłość z ufnością. Jakkolwiek się skończyły dni niezdrowej koniunktury, pozostawiły one efekt finansowego poprawienia pozycji zarówno wydawcy jak księgarza — a po czarnych latach poprzedzających wojnę było to konieczne. Albowiem zdrowy handel książką może zaopatrzyć wzrastające koło czytelników w sposób znacznie ulepszony w stosunku do tego, jaki istniał zazwyczaj przed wojną. Stałość finansowa uzdolni wydawców do wydawania książek rzeczywiście wartościowych, taniej i z mniejszą uwagą na ich bezpośredni finansowy wynik. Księgarze będą w możności trzymać na składzie większą ilość i bardziej wartościowych nakładów. A nabywca znajdzie się znowu w położeniu, że będzie mógł kupować wedle swego wyboru, a nie wedle lokalnej dostępności.

Graham Watson
(Spectator, 26. IV. 1946)

przełożył *Utis*

ZAMIESZCZONE W NINIEJSZYM ZESZYCIE ILUSTRACJE DO „TRYLOGII" NALEŻĄ DO CYKLU 21 RYSUNKÓW WYKONANYCH W ROKU 1916 PRZEZ FRANCISZKA WALCZOWSKIEGO, LICZĄCEGO WÓWCZAS 14 LAT ŻYCIA.

WYKAZ TREŚCI

JAN SMUTEK: Czarne płomienie, Cienie, Odcięta ręka, Szklany dom 5
ROMAN BRATNY: Inny brzeg 11
TADEUSZ BREZA: Kaperowanie poety 21
ROMAN KOŁONIECKI: Do mojej rzeki, Aubade, Elegia XV, Do mojej rzeki: ciąg dalszy 37
JAN WIKTOR: Na ruinach 43
JÓZEF FELDMAN: Rozkład kultury mieszczańskiej 60
KAZIMIERZ WYKA: Sprawa Sienkiewicza 84
STANISŁAW FURMANIK: Wersyfikacja Mickiewicza 107

SPRAWY I TROSKI

A. T. W.: W walce podziemnej z faszyzmem 118

SPRAWOZDANIA

WILHELM MACH: Kwitnące krzyże 134
HENRYK VOGLER: Świat w szklanym kloszu 143
KRYSTYNA KULICZKOWSKA: Poniżej granicy człowieczeństwa 146
„ „ „Ze śmiercią na ty“ 148

NOTY

JULIAN PRZYBOŚ: Nie ma tajemnicy autorskiej... 150
WOJCIECH NATANSON: Deshumanizacja wiedzy 150
J. D. BERNAL: Społeczna odpowiedzialność wiedzy 152
GRAHAM WATSON: Angielskie troski księgarskie 154

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“, Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Kolegium redakcyjne: Leon Kruczkowski i Jan Wiktor.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.
Cena zeszytu 65 zł. Prenumerata kwartalna 195 zł., półroczna 390 zł.

SPIS TREŚCI
MIESIĘCZNIKA „TWÓRCZOŚĆ"
ZA II KWARTAŁ 1946
(KWIECIEŃ—CZERWIEC)

(cyfry rzymskie oznaczają zeszyt, cyfry arabskie stronicę)

Str.

JARACZ STEFAN: Pamiętnik . . . . . V, 5
SZYFMAN ARNOLD: Wojna za frontem (fragmenty pamiętnika) . . . . IV, 100

PROZA

BOROWSKI TADEUSZ: Dzień na Harmenzach . . . . . VI, 43
BRATNY ROMAN: Inny brzeg . . . . . VI, 11
BREZA TADEUSZ: Kaperowanie poety . . . . . VI, 21
KOCWA EUGENIA: Smak wolności . . . . . V, 107
KOZŁOWSKA JADWIGA: Stary szadchen . . . . . V, 47
KUCZYŃSKI BOGUSŁAW: Złe dni włoskiego faszyzmu . . . . . IV, 10
OLSZEWSKI KRYSTYN: Transport Sosnowiec—Będzin . . . . . IV, 61
OTWINOWSKI STEFAN: Pomyłka . . . . . IV, 77
POGAN JÓZEF: Pod gnojem . . . . . V, 130
POROJSC ANDRZEJ: Opowiadanie ze skraju puszczy . . . . . V, 125
ROSIŃSKI JAN: Chłopcy z lasu . . . . . V, 117
VOGLER HENRYK: Ucieczka Martina Schellera . . . . . V, 111
WIKTOR JAN: Na ruinach . . . . . VI, 43
ZALEWSKI WITOLD: Maski . . . . . V, 23

POEZJA

BIEŃKOWSKI ZBIGNIEW: Dorota . . . . . IV, 5
BRATNY ROMAN: Losy . . . . . IV, 94
GIERUT LESŁAW: Misterium poetyckie o zagładzie i nadziei . . . . . V, 39
HOŁUJ TADEUSZ: Na pewno . . . . . IV, 39
„ „ O tym wierszu . . . . . IV, 40
„ „ Taka piosenka . . . . . IV, 38
KOŁONIECKI ROMAN: Aubade . . . . . VI, 39
„ „ Do mojej rzeki . . . . . VI, 37
„ „ Do mojej rzeki: ciąg dalszy . . . . . VI, 41
„ „ Elegia piętnasta . . . . . VI, 38
SMUTEK JAN: Czarne płomienie . . . . . VI, 5
„ „ Cienie . . . . . VI, 8
„ „ Odcięta ręka . . . . . VI, 19
„ „ Szklany dom . . . . . VI, 10
STOLAREK ZBIGNIEW: * * * („Jak gdybyś liść") . . . . . V, 46
„ „ Liryk wiosenny . . . . . V, 46
SZUMAŃSKA HANNA: * * * („Moja strona") . . . . . V, 42
„ „ Porachunki . . . . . V, 42
„ „ * * * („Tyle blach") . . . . . V, 45

TIMOFIEJEW GRZEGORZ: Liść . . . . . IV, 74
„ „ Powrót z pastwiska . . . . . IV, 75
„ „ Studnia . . . . . IV, 75
WIRPSZA WITOLD: Wersety morskie . . . . . V, 35
„ „ Deformacje . . . . . V, 36
ZAGÓRSKI JERZY: Cztery rysunki . . . . . V, 16

ROZPRAWY

A. T. W.: W walce podziemnej z faszyzmem . . . . . VI, 118
DOBROWOLSKI TADEUSZ: Pankiewicz — malarz intelektualny . . . . V, 91
ERPENBECK FRITZ: „Naród bez przestrzeni" . . . . . IV, 119
FELDMAN JÓZEF: Rozkład kultury mieszczańskiej . . . . . VI, 60
FURMANIK STANISŁAW: Wersyfikacja Mickiewicza . . . . . VI, 107
SCHAFF ADAM: Słowo i znaczenie . . . . . V, 79
WYKA KAZIMIERZ: Sprawa Sienkiewicza . . . . . VI, 84
ZAWODZIŃSKI KAROL W.: Czterdzieści lat z Kochanowskim czyli metamorfozy pojęcia poezji . . . . . V, 58

SPRAWOZDANIA, ARTYKUŁY, LISTY, NOTY

BARNAŚ KAZIMIERZ: List z Wybrzeża . . . . . IV, 174
BERNAL J. D.: Społeczna odpowiedzialność wiedzy . . . . . VI, 152
BROSZKIEWICZ JERZY: Koncerty krakowskie . . . . . IV, 135
DĄBROWSKA MARIA: Audiatur et altera pars . . . . . IV, 182
DOBROWOLSKI TADEUSZ: Sprawa zbiorów lwowskich . . . . . IV, 183
GEBETHNER STANISŁAW: Wystawa tkanin i rękodzieła artystycznego w Muzeum Narodowym w Warszawie . . . . . IV, 146
GRODZICKI AUGUST: Katowice w okresie dojrzewania . . . . . IV, 171
HERTZ PAWEŁ: List z Łodzi . . . . . IV, 161
KOZIKOWSKI EDWARD: Na Dolnym Śląsku . . . . . IV, 177
KULICZKOWSKA KRYSTYNA: Poniżej granicy człowieczeństwa (Książki Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie: „Dokumenty zbrodni i męczeństwa", „Bełżec" R. Redera i „Pamiętnik Justyny" G. Draenger) . . . VI, 146
KULICZKOWSKA KRYSTYNA: „Ze śmiercią na ty" („Uniwersytet zbirów" i „Literatura w obozie" M. M. Borwicza) . . . . . VI, 148
MACH WILHELM: Dziecko w mrocznym Sezamie („Jezioro Bodeńskie" S. Dygata) . . . . . V, 152
MACH WILHELM: Kwitnące krzyże („Z kraju milczenia" W. Żukrowskiego) . VI, 134
„ „ Niecierpliwe przedwiośnie („Sztuka umierania" Z. K. Skierskiego i „Wczoraj" J. Lipskiej) . . . . . IV, 156
MICHALSKI HIERONIM: Rozwój poetycki Przybosia („Miejsce na ziemi" J. Przybosia) . . . . . V, 147
NATANSON WOJCIECH: Deshumanizacja wiedzy . . . . . VI, 150
„ „ Pobratymstwo nie zawsze było cierpkie . . . . V, 165
PREGERÓWNA JANINA: „Lutnia Puszkina" . . . . . IV, 151
„ „ Biblioteczka „Młodego Czytelnika" . . . . . V, 160
PRZYBOŚ JULIAN: Nie ma tajemnicy autorskiej... . . . . VI, 150
RED.: Uzupełnienie artykułu D. Saurat . . . . . V, 176
SAURAT DENIS: Ostatnia książka Romain Rollanda . . . . . V, 173
VOGLER HENRYK: W szklanym kloszu („Droga do domu" J. Zawieyskiego) . VI, 143
WATSON GRAHAM: Angielskie troski księgarskie . . . . . VI, 154
WINKLER KONRAD: O atmosferę dla krytyki artystycznej . . . . . V, 177
WYKA KAZIMIERZ: Dwa razy Szekspir . . . . . V, 171
„ „ Ogrody lunatyczne i ogrody pasterskie („Ocalenie" Cz. Miłosza) . . . . . V, 135
ZAKRZEWSKI BOGDAN: Drugi list z Poznania . . . . . IV, 166

B3 f4608

CZYTELNIK